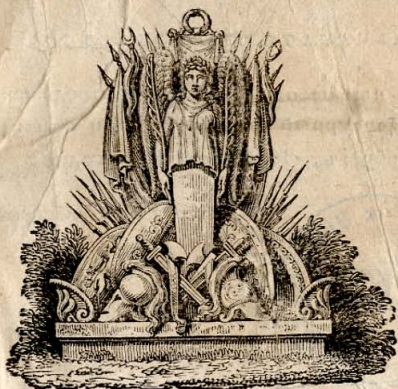


POEZIJE

Juliana Korsaka.



87 139

ST. PETERSBURG.

NAKLADEM A. TORA,

Drukiem Karola Kraya:

1850.

ПЕЧАТАТЬ ПОЗВОЛЯЕТСЯ:

съ шѣмъ, чтобы по оппечашаніи, представленны
были въ Ценсурный Комитетъ при экземпляра.
С. Пешербургъ, 12 Марша 1850 года.

Ценсоръ К. Сербиновичъ.



A. Edwardowi Odynicowi

na pamiątkę kilku lat młodości szczęśliwie
spędzonych

POŚWIĘCA

PRZYJACIEL.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku

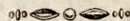


FUW0125080

W/242/01

45

SPIS RZECZY.



LIRYKI.

Karta.

Czas i Genjusz	4
Muzyka	11
Pielgrzymka Myśli	25
Różnica Płci	27
Do Wieczności	32
Upadek Heby, Dytyramb (z Moora)	36
Noty	45

ELEGIJE.

I.	47
II. <i>Tout change tout passe</i>	49
III. Do Niemna	50
IV.	55
V. Pożegnanie do A. H.	54
VI.	55
VII. W dzień moich urodzin	57
VIII.	59
IX.	60
X.	61
XI.	62
XII. Do A * *	65
XIII. «Wszędzie jest dobrze, lepiej między śwami.» 65	

W/242/01

XIV. Wieczór	67
XV.	70
XVI. Noc burzliwa	71
XVII. Do R***	75
XVIII.	74
XIX. Entuzjastka	75
XX.	78
Epilog	79

W I E R S Z E R Ó Ż N E.

Oczekiwanie, (s Szyllera)	81
Nadzieja, (s Szyllera)	84
Miłość i Rossądek (z Moora)	85
Monolog (s Fausta)	88
Bóg i Bajadera, Indyjska Legenda (z Getego)	90
Do grających Sybille	95
W Imionniku Pani S. B.	97
Epilog do Imionnika Ludwiki R...	—
W Imionniku Doktora M.	98
Dzień sądny	99
Niezabudka	105
Dziewczyna (Piosnka)	107
Melodija Irlandzka (z Moora)	109
Łza (z Moora)	110
Pielgrzym	111

A N A K R E O N T Y K I.

I.	112
II.	114

L I S T Y.

I. Do Adama Mickiewicza (w dzień jego imienia)	119
II. Do Edwarda Odyńca	122
III. Do Alexandra Chodźki	124
IV. Do W. W.	127
V. Do I. C.	150
VI. Do L. R.	153
VII. Do M. S.	156
VIII. Do I. D.	158
BEJRAM Powieść Turecka	141
Pieśń Klefów	170
Noty do Bejramu	182

Z L O R D A B A J R O N A.

Więzień Czylonu	187
Oskar z Alwy	202
I. «If some times in the hauts of men»	214
II. «Oh snatched away in beautys bloom»	216
III. «There's not a joy the world can give like that it takes away.»	217
IV. Spiew Medory (s Korsarza)	218
V. «I saw thee weep»	219

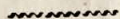
Z H O R A C I U S Z A.

Do Mecenasa (Lib. I. car. 1.)	225
Do Sexta (Lib. I. car. 4.)	225
Do Poliona (Lib. II. car 1.)	226
Do Chloi (Lib. I. car. 25.)	228
Do Mecenasa (Lib. II car. 12.)	229

Karta.

Do Pompejusza (Lib. II. car. 7.)	250
Do Hirpina (Lib. II. car. 11.)	252
Do Delliusza (Lib. II. car. 2.)	255
Do Kaliopy (Lib. III. car. 4.)	255
Do Diany i Apolina (Lib. I. car. 21.)	259
Do Xantia Focejczyka (Lib. II. car. 4.)	240
Do Apolina (Lib. I. car. 31.)	241
Owoc niedojrzały	242
Nauka moralna (Lib. III. car. 1.)	243
Do Planka (Lib. I. car. 7.)	246
Na zepsucie wieku (Lib. II. car. 15.)	247
Epilog	248
UŁAMEK S POETYKI WIDY, O Harmonii na- śladowczej (s Xiegi III. od wiersza 355)	247
ODA PINDARA. Do Azopicha z Orchomeny (Olymp. XIV.)	254

ZNACZNIÉJSZE BŁĘDY DRUKU.



Karta.	Błąd.	Popraw.
4	— chwile lata, wicki,	chwile, lata, wicki
5	— zniszczania	zniszczenia
31	— s staraniem	staraniem
48	— oceenu	oceanu
55	— muzyką	muzyką
57	— Stamuj	Hamuj
58	— wienice	wieniec
71	— gzie	gdzie
76	— dźwiękiem	dźwiękiem
86	— promienieniem	promieniem
92	— Iż	Już
96	— najszczęśliwy	najszczęśliwszy
126	— syrakuzy	Syrakuzy
127	— kocyt	Kocyt
130	— pawagą	powagą
131	— zofarbuja	zafarbuja
158	— poszedł	I poszedł
192	— stworznoną	stworzoną
207	— Dawna	Dawną
211	— ne	na
229	— niechcej	niechciej
256	— Domu	Donu
248	— Dzwignąłam	Dźwignąłam



ZNACZNIERSZE BARDY DRUM

198	— Dzwignostan
199	— Dzwignostan
200	— Dzwignostan
201	— Dzwignostan
202	— Dzwignostan
203	— Dzwignostan
204	— Dzwignostan
205	— Dzwignostan
206	— Dzwignostan
207	— Dzwignostan
208	— Dzwignostan
209	— Dzwignostan
210	— Dzwignostan
211	— Dzwignostan
212	— Dzwignostan
213	— Dzwignostan
214	— Dzwignostan
215	— Dzwignostan
216	— Dzwignostan
217	— Dzwignostan
218	— Dzwignostan
219	— Dzwignostan
220	— Dzwignostan
221	— Dzwignostan
222	— Dzwignostan
223	— Dzwignostan
224	— Dzwignostan
225	— Dzwignostan
226	— Dzwignostan
227	— Dzwignostan
228	— Dzwignostan
229	— Dzwignostan
230	— Dzwignostan
231	— Dzwignostan
232	— Dzwignostan
233	— Dzwignostan
234	— Dzwignostan
235	— Dzwignostan
236	— Dzwignostan
237	— Dzwignostan
238	— Dzwignostan
239	— Dzwignostan
240	— Dzwignostan
241	— Dzwignostan
242	— Dzwignostan
243	— Dzwignostan
244	— Dzwignostan
245	— Dzwignostan
246	— Dzwignostan
247	— Dzwignostan
248	— Dzwignostan
249	— Dzwignostan
250	— Dzwignostan
251	— Dzwignostan
252	— Dzwignostan
253	— Dzwignostan
254	— Dzwignostan
255	— Dzwignostan
256	— Dzwignostan
257	— Dzwignostan
258	— Dzwignostan
259	— Dzwignostan
260	— Dzwignostan
261	— Dzwignostan
262	— Dzwignostan
263	— Dzwignostan
264	— Dzwignostan
265	— Dzwignostan
266	— Dzwignostan
267	— Dzwignostan
268	— Dzwignostan
269	— Dzwignostan
270	— Dzwignostan
271	— Dzwignostan
272	— Dzwignostan
273	— Dzwignostan
274	— Dzwignostan
275	— Dzwignostan
276	— Dzwignostan
277	— Dzwignostan
278	— Dzwignostan
279	— Dzwignostan
280	— Dzwignostan
281	— Dzwignostan
282	— Dzwignostan
283	— Dzwignostan
284	— Dzwignostan
285	— Dzwignostan
286	— Dzwignostan
287	— Dzwignostan
288	— Dzwignostan
289	— Dzwignostan
290	— Dzwignostan
291	— Dzwignostan
292	— Dzwignostan
293	— Dzwignostan
294	— Dzwignostan
295	— Dzwignostan
296	— Dzwignostan
297	— Dzwignostan
298	— Dzwignostan
299	— Dzwignostan
300	— Dzwignostan

L I R Y N I.

LIBRYKI.

CZAS I GENIJUSZ.

Stań się, stalo! — w łonie słowa
Razem ze światem poczęty,
Jestem ja Czas! niepojęty
Jak ta boskich ust wymowa.
Orla myśli! w twoje szpony
Jeszcze wolny, nieschwytny,
Ja Czas jak duch niewciślony
Badany — i niezbadany.
Najstarszy, pierwszy świadek, rówieśnik Stworzenia,
Przebiegałem oteńlanie światła i błękitu;
Tam postrzegłem przy blasku pierwszego promienia
Ziemię, dwoiste państwo nicestwa i bytu.
Przypominam! widziałem pierwszą twarz człowieka,
Gdy ją śmierć marmurową białością powleka;

Pękła życia sprężyna,
Pomyśliłem — to glina!

GENIJSZ.

Kiedy zrazu człowieka Bóg ukształcał z ziemi,
Ciało zimne martwe było;
Bóg tchnął ustami swemi,
I ciało ożyło!
On, gdy światło iść miało na walkę z zaćmieniem,
Odszczepił jeden promień od swojego słońca.
Ja Genijusz na ziemi jestem tym promieniem!
W czyją duszę jam wstąpił, dusza ta świecąca
Jak słońce własnym światłem przejdzie życia progi.
O czasie ja urągam dumnie skrzydłom twoim!
Wieczność gościńcem moim,
Nieskończoność celem drogi.

C Z A S.

Tam! kędy nicość mieszka, na przepaści brzegu
Stanąłem — i z mych skrzydeł, chwile lata, wieki,
Otrząsam, jak ptak s pierza drobne gwiazdki śniegu.
Człowiek o genijuszu wzywa twój opieki,
On twoją tarczą przedemną
Zasłania śmiertelność swoją,
On łamie się, walczy zemną
Geniuszu! dzieła twoje
Leżą w gruzach zapomnienia,
A człowiek, co żądzą płonął

Nieśmiertelności, wspomnienia,
Jak cieni po ziemi wionął.

GENIJSZ.

Ja Genijusz nie żyję w czasie i w przestrzeni,
W wyższych eterach moja gwiazda się promieni.
Na kim ja godła mojej położę pieczęci,
Taki już pieć nie będzie z rzeki niepamięci.
Miecz, pióro, pędzel, dlóto w czyje oddam ręce,
Tego sławy za życia kapłanem poświęcę.
Oto wschodzi bohater! — potrząsnął przełbicą,
I zaśnił oczy ludzi słonecznymi blaski.
Jak magicznej rzutem laski,
Skinął miecza błyskawicą,
I w gruzy runęły trony.
Głowy koronowane podesłał pod nogi,
I zdeptał je jak szczeble — a szczęściem zdurzony
Posadził się między Bogi.
Za nim w ślad idzie wojna i pożoga,
Ludy, narody odrętwiła trwoga:
Wtém ziarno życia wschodzi na grobie żywiołów,
O ileż to żyć nowych, jak Fenix s popiołów,
Wykwitnęło ze zniszczenia!
Zgrzybiałego starością świat odmłodził ducha,
A gałąź ludzkości sucha
W młody liść się rozzielenia:
Rośnie w drzewo, w majowe ubiera się szaty,

Lecz terazniejszość w pomroce
 Tam tylko postrzega kwiaty,
 Skąd przyszłość zbiera owoce.

Patrz! oto kunsztmistrz z godłem poety, snycerza,
 Przychodzi — berłem myśli o duszę uderza,
 I z niej trysnęły źródła czarodziejskiej mocy,
 W których falach ludzkość cała,
 Jak w zwierciadle się przejrzała.
 Twory jego jak gwiazdy, złote urny nocy,
 Przechodząc nieskończoną lat i wieków drogą,
 Wciąż światło leją s siebie — i wylać nie mogą.
 Wielki wieszcz, śpiewak stanął pośród ludzi,
 I melodyjną lutni piersią woła;
 «Przeszłości! błysnij pośród pamięci kościoła,
 Oto z długich snów śmierci głos cię mój przebudzi.»
 Wnet umarłe narody z mogił zmartwychwstały,
 Pieczęć zniszczenia spelzła z ich trupiego czoła:
 A ten wielki, wskrzeszony przeszłości świat cały,
 Ogrzany wyobraźni słonecznym promieniem,
 Dla twórczej wieszczą duszy, czémże jest? — stworzeniem.

Marmur, kamień prochu bryła,
 Matka ziemia go powiła.
 Człowiek dobył go s powicia,
 Lecz on niéma duszy, życia;
 Snycerz dłotem dotknął glazu,
 I weń duszę wlał do razu.

Czarodziejska sztuki dzielność!
 Genijuszu arcydzieła
 Wyższą, trwalszą mają dołę.
 Dusza w sobie je poczęła,
 I swe godło — «Nieśmiertelność»
 Wypisała na ich czole.

C Z A S.

Człowiek zaufał sobie, i z dumą Tytana
 Po szczyblach myśli do nieba się wdziera;
 Coby w prochu miał przednim uginać kolana,
 On berło jego, piorun mu odbiera!
 Pielgrzymkę gwiazd i planet policzył na lata,
 I muzyk, pojął nutę harmonij świata.

Szalony! jeszcze rękami bliźniemi
 Wyłamał podziemne bramy;
 Oderwał od piersi ziemi
 Ogromne skał odlamy:
 Popiętrzył, dzwignął do góry,
 I złocistemi dachami,
 Napowietrznemi wieżami,
 Otarł się aż o chmury.
 Daremnie dumą pijany
 Budujesz na tym padole!
 Spójrz na te zamkowe ściany,
 Co ledwo w gruzach nie legły;

Szczeliny świecą przez cegły,
 Jak zmarszczki na starca czole.
 A gdzież są ich dawne Pany?
 Oni tak pošli, jak przyszli!
 S tarcz spełzły herby ich znakow,
 Ich czaszki, niegdys gniazdo dowcipu i myśli,
 Dzisiaj są gniazdem — robakow.
 Patrz na ich puste pałace,
 Gdzie pędzła i dłóta prace.
 Walczyły o wdzięk z naturą;
 Gdzie wprzód huczała biesiadna drużyna,
 Dziś wielkiem oknem wygląda ponuro
 Milczący dziedzie ich murów — Ruina.

GENIJSZ.

Co raz żyło nie zaginie,
 Ludzkość jak cień nie przepada;
 Człowiek na krajow ruinie
 Ich przedśmiertne dzieje bada.
 Odkopuje numizma, z ich tablicy czyta
 Twarzy narodow niezatarte rysy.
 Tam jest treść cała ich życia wryta,
 Cała rachuba ich wieku na lata.
 Są to jedyne nagrobne napisy,
 Które nam naród po sobie,
 Kiedy już schodzi ze świata,
 Zostawia na swoim grobie.

Mumija Herkulanu! patrz jak czerstwa, cała!
 W łonie ziemi skamieniała,
 Martwa, snem od lat tysiąca
 Pod całunem twym leżąca,
 Ocknęła się — zmartwychwstała!
 Cała ta ziemia, jak ją zajrzysz kołem,
 Jest wielkim drugim Sybilli kościołem,
 Gdzie ludy swoje składają pamiątki.
 Nawet dłoń twoja tknąć się ich nie waży.
 Tam Historyja stanęła na straży,
 Patrzy na drogie zeszyłych wiekow szczątki;
 Słucha wyroczni natchnionej Bogini,
 I pisze na drzwiach świątyni,
 Błoga, pomyslną wróżbę dla ludzkości,
 «Przeszłość przyszłości!»

C Z A S.

Daremnie człowiek myśla, tym językiem ducha,
 S przeszłością się rozmówił — gdy w jej pustej sferze,
 Widzi on tylko końce od zdarzeń łańcucha,
 Chce je spoić, lecz średnich ogniw nie doberze.

GENIJSZ.

Na ziemi i nad ziemią ciągle krąży życie,
 Na gruzach wielkiego miasta,

Usiada wiejska niewiasta,
 I piersią karmi swe dziecię.
 Tam! gdzie na tronach królów zasiadło Zniszczenie,
 Wschodzi młodzieńcze słońce,
 Leje nań żywe złoto — i codzien wschodzące
 Zwalone stopy gruzów wieńczy w swe promienie.
 Ssące pierś matki dziecię się uśmiecha,
 Szczęśliwa matka klóćąc miejsca ciszę,
 Pieśniami zeszłych wieków do snu go kołysze,
 I w jednym technieniu razem dwa życia oddycha.

Spójrzij tylko na ziemię! — cała ta przyroda,
 Jak s końcem swej żaloby narzeczona młoda,
 Zwleka, zrzuca co prędzej s siebie czarne szaty,
 Ażeby, nim wybije jej ślubow godzina,
 Już czoło swe w godowe ustroiła kwiaty.
 Spójrzij, a wyznasz! — miasta jednego ruina,
 Śmierć jednego człowieka wcale nie przerywa

Wielkiego życia łańcucha!
 Ciagle, bez przerwy jego wiążą się ogniwa,
 Aż nim ostatniem kołem wciela się w świat ducha.

r. 1829. Petersburg.

M U Z Y K A .

*Musie alone with sudden charms can bind
 The wandering sense, and calm the troubled mind.*

CONGREVE.

Muzyko! matko pieśni, poezijo ucha,
 Ty cierń życia potrząszasz niebieskimi kwiaty;
 Ty pierwsza, ogniwami myślnego łańcucha
 Powiązałaś s tą ziemią niewcielone światy.
 Poezijo, miłości, muzyko! wy same,
 Jak trzy Gracje piękne greckich zmyśleń dzieci,
 W wieńce żelazną losu stroicie nam bramę,
 W blasku odbitym od was i świat piękniej świeci.
 Was na ziemi, od wiecznej by zachować zguby,
 Same niebo związało troistemi śluby.
 Nieraz kiedy zmęczone lotami długimi,
 Śród błyskawic nadziei a gromow rospaczy,
 Skrzydło miłości ciężyc poczyna do ziemi:
 Gdy miłość poraz pierwszy ze wstrętem zobaczy
 Miejsce swoich nadziei, swych uciech pogrzebu;
 Wnet Poezija skrzydła tęczowe rostoczy,
 I po długiej niepogod i nieszczęść kolei,
 Obląkane jej loty kieruje ku niebu;

A u bram nieba anioł muzyki uroczy
Nóci podróżyującym wielki hymn nadziei.

Muzyko! ty nad wszystkieś wyższa talizmany,
Tajemnicza jest siła twojego uroku;

Bo twój język i niebiany,
Świat i ludzie rozumieją.
Choć nam ziemskość głos twój głuszy,
Ty na strónach naszej duszy,
Grasz rozpaczą i nadzieją.
Ty w nas budząc naprzemiany
To żal w sercu, to łzy w oku,
W harmonijne zlewasz brzmienia,
Słodką nótę rozrzewnienia,
Słodszy od niej głos litości,
I najśłodsze ach! miłości.

Szczęśliwy, kogo uczuć melodija wzruszy,
Lecz ten szczęśliwszy, czyjćj stróny duszy
Same tą muzyką brzmiały.

Ty jeszcze budzisz w nas czasem
Żądze wojny, żądze chwały.
Patrz na te szerokie błonia
Najeżone włóczni lasem!
Wojennego rzenie konia,

Wojennego miecza szczęki,
I wojennej trąby dźwięki
Budzą cęha po dąbrowach.
Patrz! jak wiatrem potoczono
Płyną fale szeregami,
Po dolinach, po parowach
Wyciągnięte linijami,
Płyną tłumy uzbrojone.
Śpieszą, śpieszą na plac boju,
Już zaczernił pył ich czoła;
A na czole kropla znoju
Jakby kropla rosy świeci;
Wtém głos wodza stój! zawoła,
I stanęli jakby wryci.
Cicho, głucho na około,
Słowa do się niemówili,
I w ich sercach nie wesolo:
Wzrok schylony ich do ziemi,
Smutni — rzekłbyś, że w tej chwili
Skrzydło śmierci archaniola
Przeleciało ponad niemi.
Wódz skinął ręką — i w bębny zagrali.
Wtém, jak szmer wiatrem wzburzonej fali,
Szczęki miecza, brzęk panczerzy,
Głościj, dalej łoskot szczy.
Już i serce wojownika
Coraz prędzej, prędzej bije,
Żądzą wojny serce bije!

A wojenny tłum wykrzyka,
 Niechaj wojna, wojna żyje!
 Biją w kotły, grają w trąby,
 I działa zagrzmiały;
 A ogniste kule, bomby,
 Jak ogniste ptaki,
 Przez powietrzne szlaki,
 S szumem poleciały.

Poszli na boje i rzezie,
 S pochew ich miecze dobyte błysnęły;
 Szczerbją miecze na żelazie,
 I krwi strugi wytrysnęły.
 Szczęk żelaza, wżask walczących,
 O! i działa grzmot ponury,
 I cichy jęk konających
 W jedną harmoniję się zlewa;
 W jeden hymn posepny, który
 Do dzikiego wabiąc męstwa,
 Swym kochankom wojna śpiewa.

Na jedną nótę, kopiąc dla ich groby,
 Ona walczącym gra toast zwycięstwa,
 A konającym *requiem* żałoby.

Muzyki urok nie tylko zwycięża
 Walczącego w boju męża,
 Nie tylko serca wojenne zapala,
 I szwajcarskiego górala

W silne więzi obłąkanie:
 Gdy pieśni ojczystej dolecą go brzmienia,
 Wpada w letarg zamyslenia,
 I zasypia na skonanie.

Dziś w wieczornym ciemniał zmierzchu,
 Pirenejskie mgłą się góry;
 Słońce świeci na ich wierzchu
 Barwą złota i purpury.
 Coraz ciemniał pomrok szary,
 Przez głębokie, dzikie jary,
 Szedł wędrowiec zamysłony;
 Szedł bez celu i bez drogi,
 Rój mu drzące wspierał nogi,
 Włos miał wickiem ubielony.

Piękny obraz natury jeszcze go zachwyca,
 Lubi szwajcar w jej piękne wpatrywać się lica;
 Bo piękna wzrok mu wabi okolica,
 Jak krajobraz małowany.

A przed nim stoją góry jak olbrzymy lodu,
 Śniegiem okryte ich ściany;
 Zwierzchu zima, a u spodu

Wiosna kwitnie, i kwiatów tysiące się świeci,
 Jak u nóg starca igrające dzieci.
 Piękna ziemia południa jego wzrok przynęca,
 Po łąkach wabią kwietne wiosny malowidła;
 Lecz on z oczyma smutnemi,

Posepniejszćj, dzikszćj ziemi,
 Wszystkie swe myśli poświęca.
 Na jedne Pireneje ogląda z roskoszą,
 Ich mu widok szwajcarskie przypomina góry;
 Gdzie mgły siwe, czarne chmury,
 Jak żałobne sępów skrzydła,
 W koło nich, i ponad nimi
 To wiszą, to się unoszą.

Szedł wędrowiec i idąc spozierał w około.
 Wtém wieczoru chłodna rosa
 Z gwiazdy lecąc przez niebiosą,
 Zlekka spadła mu na czoło.
 Poczuł starzec tę łzę nieba,
 Radby, czuje że potrzeba
 Ją ze swými zmieszać łzami.

O! kiedyś płakać te oczy umiały,
 Lecz przygasłe dziś z latami,
 Już je dawno wyplakały.

On płakał gdy dom żegnał idąc w kraj daleki,
 Dziś oddalony od swoich na wieki,
 Wędrowiec myślał, o jakże ten błogi!
 Kto żyć może między swými,
 Wrócić z wygnania na rodzinne progi,
 Kto może umrzeć na rodzinnej ziemi!
 Tak idąc marzył, aż wtém po błoni,
 Góralskiego flet pasterza
 Wędrowca ucho uderza,

I piosnkę jemu szwajcarską zadzwonił.
 Wędrowiec stanął, i uchem zdaleka
 Łowił w powietrzu rozwiane jej dźwięki;
 Wnet poznał nótę ojczystej piosenki,
 Duma, i cały w myślach się zaciekła.

Szwajcarska piosnka skonała,
 Wędrowiec w myśli ją nócił;
 Oczy na niebo zawrócił,
 Twarz mu nagle pobledniała.
 Rzucił kij, załamał dłońie,
 Do serca przyłożył rękę;
 Potem na północ, ku rodzinnej stronie
 Spójrzył, i westchnął. — o! w tém westchnieniu
 Dusza wędrowca, na gwiazdy promieniu
 Dośpiewując tę piosenkę,
 Aż do nieba uleciała. (*)

• • •

Muzyko ty nad wszystkich wyższa talizmany!
 Bo twój język i niebjany,
 Świat i ludzie rozumieją.

(*) Znajoma jest powszechnie choroba tak nazwana *heimweh* w którą wpadają Szwajcarowie oddaleni od swojego kraju, i wrażenie jakie na nich muzyka sprawia.

Choć nam ziemskóść głos twój głośny,
Ty na stronach naszej duszy
Grasz miłością i nadzieją.

Młodzieniec i dziewica z dzieciństwa się znali,
On pisał czule i tkliwie piosenki;
W nich sławił urok jej głosu, jej wdzięki,
Nieraz je razem oboje śpiewali.
I razu jednego gdy piosnkę nócili,
Już nie śpiewaniem, lecz sobą zajęci,
Tak się oboje w myślach zatopili,
Że słowa pieśni wypadły s pamięci.
I twarz dziewicy nagły zakwiecił rumieniec,
Jak szkarłat wschodu na śnieżnym obłoku;
A przy niej stoi milczący młodzieniec,
Tylko wzrok utkwił w jej błękitném oku,
W którém, jak na fijołku perląca się rosa,
Zrazu mała i coraz większa łza błysnęła;
Aż przepelniona po licu spłynęła,
I zwilżyła warkocz włosa.
Czemuż po długich znajomości latach
Poraz pierwszy w śpiewaniu dziewica się miesza?
Cóż jej stąd, że jak motyl swe skrzydła na kwiatkach,
On swoje na jej licach spójrzienia zawiesza?
Długo milczeli — czasami westchnieniem
Przerwą milczenie — ich wzrok jak przykuty
Tkwi w jednym miejscu, nieruchomie, smutnie;

Ledwo ich usta piosukę dośpiewały,
Już dusze ich, jak dwie lutnie
Zgodnie do jednej nastrojone nóty,
Jeden hymn miłości brzmiały.

Młodzieniec był szczęśliwy, kochany wzajemnie,
Mógł liczyć długie chwile szczęścia i wesela.
Szczęśliwy kto miłości nie żebrał daremnie!
Młodzieniec pragnął za wiele,
I myśliwa jego dusza
Dalsze, zacniejsze polowała cele.
On skromny wieniec minstrela
Chciał zmienić w laur Tyrteusa.
Wprzód śpiewał kochance, dziś przez cnoty bliźnie
Chciał śpiewać ziomkom, ojezycznic.
Choć myślą pożegnania nieraz duszę krwawił,
Wzrok oderwał od kochanki,
Lecz przy niej serce zostawił.
Wnet pożar wojny wszystkie mu czucia wypali!
Zaledwo zdążył w rycerskie przegony,
Poszły w niepamięć rodzinne strony,
Już chłodniej serce biło s pod stali.
Łzawa, miłośna wzroku błyskawica,
Melancholijna jak promień księżycy,
W surowém zgasła spójrzieniu:
Usta odwykły westchnieniu,
A ogniem grozy iskrzyła źrenica.

Któż ci młodzieńcze ze snu zapomnienia,
Dawne, dalekie obudzi wspomnienia?

Raz pośród uczty, s powagą na czole

Młodzieniec w rycerskim kole,

Rycerskie dogrywał hymny.

Kiedy już ręka mdlejąca

Po strónach lutni błędziła,

W tém ostatnią strónę trąca,

I nótę z niej wydobyła.

Młodzieńca dreszcz przejął zimny,

Lutnia zadrzała mu w rękę;

Bo w tej jednej stróny dźwięku,

Była nótą piosenki, co jego kochana

Śpiewała mu wtórując dźwiękiem fortepiana.

Młodzieniec zbrojne porzucił turnieje,

Wprzód wojenną sławą grzany,

Przystrajał lutnię na wznioslejsze tony;

Dziś żywił miłsze i słodsze nadzieje,

Powrócił znowu w rodzinne strony,

Gdzie kochał, i był kochany.

Ale mu serce ziębi tajemnicza trwoga,

Gdzież twa luba, twoja droga?

Już twa luba śpi w mogile,

Nieprzespane, wieczne chwile.

Jakże cię boli jej strata!

Wyrzekasz się ludzi, świata,

Już w rozpacznych myślach cały,

Gdzie las dziki, strome skały,

Na przepaści stojąc progę,

Błuźnisz życiu, błuźnisz Bogu.

Słuchaj! oto pieśń słowika,

W melodyjnej, tęsknej nócie,

Tęskne w sercu budzi czucie.

Słuchasz, głos jego duszę ci przenika,

I rad roisz tę piosnkę, co twoja kochana

Śpiewała ci wtórując dźwiękiem fortepiana.

Boleść mileżąca, ponura,

Przed technieniem pieśni wionęła;

A czarna rozpaczy chmura

We łzy się rozplynęła.

Młodzieniec pocieszał drugim życiem siebie,

Roił niebieską chwilę powitania;

I marzył naprzemian w godzinach dumania,

To o lubej, to o niebie!

Muzyko! błogo temu, wśród nieszcześć nawału

Romu twojej powieje harmonij skrzydło;

Rto wtedy myślą wzleci w sferę ideału,

I w niej zmarłych nadziei stwarza malowidło.

Wtedy, jakby z ziemskiego odarta pokrycia,

Zabrzmi dusza drugiego melodiją życia.

O! jedne tylko ucho jej dosłyszysz

Ów hymn harmonii, który
 Nocą gwiazdzistych miryadow chóry;
 Gdy wtórując ich nócie o północnej ciszy
 Dla eterowych światów zabrzmi Lira nieba. (*)
 Są to sny wyobraźni, a w nie wierzyć trzeba,
 By w drugiem je sprawdzić zyciu.
 Marzy je dusza, po długiém czuwaniu
 Mąk i cierpienia; a cierpiąc w ukryciu,
 Wtém nowém myśli dumaniu,
 Roi że wszystko stracone odzyska,
 Znow się ze swémi zobaczy;
 Nieśmiertelności gwiazda jej błyska,
 W nadziemskie życie ulata;
 I nieśmie dziką nótą rospaczy
 Mieszać harmonii świata.

1828 Warszawa

(*) Konstellacja tak nazwana Lira. Astrologowie wiele jej przymiotów przyznają; niektóre z nich wspomniane są przez Pontana w jego Uranii.

— *Ecce novem cum pectine chordas
 Emodulans, mulcetque novo vaga sidera cantu,
 Quo captae nascentem animae concordia ducunt
 Pectora, etc.*

PIELGRZYMKKA MYŚLI.

*Ich schau' wie alles sich zum Ganzen webt
 Eins in dem andern wirkt und lebt
 Die wirkende Natur vor meiner Seele liegen.*

Г Ö Т Н Е .

Już widzę świat s klamiącej odarty obłudy,
 Znikczemniały, skarłaly pierworodne ludy.
 Dojrzali ludzie, jak te drobne dzieci,
 Zda się na pozor wielmożni rozumem,
 Wirem społecznej porwani zamieci,
 W matnię przesądów wikłają się tłumem.
 Patrz na młodzieńca, w saméj krasie wieku!
 Ledwo zabłysnął na obszarach świata,
 Już pierś jego lodowata;
 Tonąc w brudnych uciech steku,
 Żyje samotny wśród ludzi.
 Ni go ze snu lenistwa pieśń sławy przebudzi,
 Ni się nauk ślachtetnym zagrzeje zapalem:
 Sam ściera życia najpiękniejsze kwiaty,
 Aż nim strawiony zgrzybiałemi laty,
 Umrze i duszą i ciałem.

Ten choć sławy pragnieniem palił się za młodu,
 Choć z bratniem sercem żył dla swej braci,
 Dziś chyłąc się do zachodu,
 Zaledwo śnieg sędziwy czoło mu przypruszy,
 Tylko się w imię a pieniądz bogaci.
 Z wielkiem wszystkie mu uczucia wyziębią się w duszy,
 Wysztydza cnót i uczuć młode ideały;
 Sam pożytkując s fortuny obłowu,
 Rad po spleśniałym przewala się złocie;
 Wkońcu łakome uzbierawszy krocie,
 Gaśnie, jako żar rostławy
 Śród samotnego parowu.

Tu znów piękność roskwita anielskiego lica!
 A której oczu silna błyskawica
 Duszę nam wrzącym pali Wulkanem;
 Którą jak cacko wyobraźnia młoda
 W niebieskie ubrała kwiaty.
 Patrz! czarująca zda się jej uroda,
 O! już jej niższém hołdujesz kolanem,
 Już ją w Platońskie wynosisz światy,
 Lecz ledwo zdejmiesz z niej mgłę urojenia,
 Zaraz w prawdziwość zstąpisz z ideału;
 A ślepe jej narowom poznawszy złudzenia,
 Słońcem prawdy rozświecisz ciemny mrok zapału,
 O jakże świat ten chłodny, jak czezy, jak znikomy!
 Myśli moja! ty wzbij się nad ziemskie poziomy.

Wzleć tam, gdzie na tle nieba tysiąc gwiazd się pali,
 Gdzie słońce swe ogniste zatoczyło koła;
 Gdzie ledwo skrzydło sokola,
 Wiosłem pierza steruje po powietrznej fali.

I wnet myślą wzleciałem nad ziemskie poziomy,
 I duch mój powędrował w napowietrzne domy;
 I nagle mgłą obłoku zakryłem się ciemną,
 Niebo było nademną, a ziemia podemną.

Tam! xiężycu skroń młodzieńczą
 Bładem złotem gwiazdy wieńczę.
 Tam! kometa złoto-włosy,
 Trzęsąc żar z ognistej kosi,
 Jak po morskiej łodzi powodzi,
 W zakreślonych drogach chodzi.
 Śród ich brylantowe gwiazdy,
 Wieczna krasa nocnej szaty,
 Na wieczorne idą jazdy.
 Tak dzwignawszy górne loty,
 Podsłoneczne badam światy.
 Czyją sprawą, czyją mocą
 Zrachowane gwiazd obroty?
 Kto im kazał świecić nocą?
 Ten-li co stworzył niebiosą
 Powiązał je nicią zgody?
 Znów-li im berło Chaosą
 Nowe nakaże rozwoły.

Aż wtém mgła mi wzrok obwieje,
 W dali niebo błękitnieje;
 Wszystko znikło w mgnieniu oka:
 I ta przestrzeń ziem szeroka,
 I ocean niezmierny,
 Co staręj ziemi olbrzyma
 Mokrémi objął ramiony,
 Już drobniczej — już go nie ma.

Wtém, jak piorun co z wysoka
 Gdy się s czarną swarzy chmurą,
 Głos mi zagrział z za obłoka,
 «Orla myśli zniż twe pióro!
 Wstrzymaj, wstrzymaj harde loty,
 Śmieszli wzniesć krok mdły, poziomy,
 Nad gwiazdziste nieb namioty,
 Gdzie króluje Nieznajomy?
 Marne chęci, czeze życzenia,
 Tam! w krainie urojenia,
 Gdzie duch wieszczy gościć lubi,
 Niech się twoje skrzydło gubi.
 Tam twe państwo, tam mieszkanie!
 Niechaj przyjaźń, niech kochanie
 S czarującym swym urokiem,
 Chodzą s tobą krok za krokiem.»

I zdrożona myśl poszła w kraje wyobraźni,
 I spoczęła w objęciach kochania, przyjaźni.

r. 1825 *Wilno.*

RÓŻNICA PĘCI (*)

Zaledwo w rościeplonych śniegach zima skona,
 A wiosna umaluje kwiatami ogrody;
 Patrz, jak razem wychodzą s spólnęj matki łona
 Róża i narcys; — jedne tam ich rzeźwią chłody,
 Jedna ich rosa poi, jedna karmi ziemia,
 Toż słońce im przyświeca, taż ich noc zaciemia.
 Ten zaledwo rozwinie zawój śnieżnej bieli,
 Zaraz dumny swym kształtem czołem w górę strzeli.
 Ta skromniejsza, w drzew cieniu swe rozwija krasę,
 Każdy z nas ją w najdalsze rad zachować czasy;
 Wdzięczna ona dla woni i piękna na wieniec,
 Tą różą jest dziewica, narcysem młodzieniec.

Patrz na te dzieci jeszcze s powicia

W objęciach piastunki śpiące!

Ledwo stanęły na progu życia,

Już jak na wiosnę majowe słońce

Przemalowane w szybach potoku,

(*) Naśladowanie s Szyllera *die Geschlechter.*

Wszystkie ich czucia malują się w oku.
 Każdą myśl przejrzyś we zwierciadle lica,
 Sam głos ich mową, tłumaczem źrenica.
 Lecz z laty ich wiążący łańcuch się rozdziela,
 U tej bojaźni, u tego powaga na twarzy;
 Tej się wzrok słodką łagodnością żarzy,
 A temu z oka promień przyszłej dumy strzela.

Patrz, jak chłopiec zaledwo dwa ukończył roki,
 Zaledwo się pouczył śmieliej stawiać kroki,
 W dzieciunciej myśli coś męskiego roi.
 Zawsze sam w sobie, sam sobą zajęty,
 To z rówiennemi igrając chłopięty,
 Wojenne hufce do pobojów zbroi.
 To na wyścigi do przegonów leci,
 To s kart warowne zamki, miasta kleci;
 A kiedy starość dawne dzieje grucha,
 Rad ich powieściom nadstawuje ucha.

Piękna! już się rozwinął twojej kwiat urody,
 Już nie jeden ją pasie głodnemi oczyma;
 Wzrok twój ogniem się pali, a pełność dojrzała
 Kwitnące kształty zaokrągła ciała.

O! wzrok ten same rostopilby lody,
 Lecz duma, jak pas jaki, wdzięk na straży trzyma.
 Trwożna, jak łani gdy ją w kniejach ogar ściga,
 Dziewka obca miłości zrazu chłopców stroni.
 Czy kiedy lekką stopą w krąg tancezny śmiga,

Darmo za nią młodzieży czujne oko goni.
 Jak słońce s chmur, ukradkiem pogląda z uboczy;
 Sama siebie się wstydzi, wzrok po ziemi toczy,
 A wnętrzną bojaźń twarzą wyjada rumieniec.

Śmieliej s pod ciemnych rzesów wyziera młodzieniec!

Ledwo mu lica miękki włos odzieje,
 W przyszłość olbrzymie budując nadzieje,

Karmi umysł bezspokojny.

Piers mu wre pożarem wojny,

Wyrzeka się domu, krewnych;

Wśród łez i pożegnań rzewnych,

Stoi jak skała, lzy nie puści z oka.

Usycha pragnieniem męstwa,

Aż nim na skrzydłach zwycięstwa

Wzleci, kędy go sławy przywabia opoka.

Więc pozwól, niech za młodu miecz mu w rękę błyska,
 Niech mu pancerz żelazny młodą pierś ociska;
 Niech na błoniach, gdzie gęsto las włóczni się jeży,
 Krzepką stopą co lepszych ubiega rycerzy.

Niechaj — lecz czas tę uczuć gorączkę przepali.

Patrzcie! już wraca — jako łódź na fali,

Porwany burzą z orężem w rękę,

Świat jak szeroki owędrował kołem.

Ledwo z ojcystym powitał się progiem,

Łza mu się hojna ze źrenic poleje;

A dłoń stężała w dużaniach się z wrogiem,

W objęciach krewnych, przyjaciół się chwieję.

Aż w tém w kwiecie lat i wdzięku,

Ujrzy przed sobą dziewicę.

Piękności! któż ci nie bije czołem?

Ledwo ją poznał — te okolice,

Też same błonia, te miejsca rodu,

Gdzie s chłodném sercem igrał za młodu,

Jéj mu ogniście mnożą obrazy.

Jak na wiosnę lodów głąży,

Cieką przed słońca promieniem;

Tak przed dziewicy spójrzeniem,

Serce jego jak lód tonie,

A wzrok mu zarzewiem płonie.

Dziewico! skąd ci pierś twa westchnieniem się wzdyma?

Młodzieńcze! za kim gonisz łzawemi oczyma?

Gdy ją zoczy — już szczęśliwy,

Lecz mniej śmiały jak uprzednio,

Więcej skromny, więcej tklivy,

Więcej niemy stoi przed nią:

Bo choć z ust nie idą słowa,

Czynna oczu ich wymowa.

O słodkie troski, słodsze nadzieje,

O złoty pierwszjéj miłości wieku,

Błogi kto w życiu skosztował ciebie!

Jak ci lubo o człowieku!

Szczęściem ci się przyszłość śmieje,

Duch przedwcześnie ginie w niebie.

O kwitnij wiecznie w zielonjéj krasie,

Najśladzsy pierwszych miłostek czasie!

Długo własnym upałem trawi się młodzieniec,

Ale żądza łakoma nie przestaje na tém.

I cóż w nim te wulkanów przygasi rostopy?

Patrzcie! już skroń dziewicy stroi mirtu wieniec,

A tak za bożkiem skrzydlatym

Uskrzydłone zwycięstwo polatuje w tropy.

Chwała tobie miłości! ty s staraniem tkliwém

Pierwszaś dwie dusze wieczném związała ogniwem.



DO WIECZNOŚCI (*).

Gdzieś uleciał wieku mój młody,
Gdzie twoje szczęście rojone s powicia?
Jak uśmiech słońca podczas niepogody,
Ledwo zabłysnął poranek życia,
Przeszło południe — już i zachód blisko.

Raz tylko dla nas kwitnie maj żywota,
Lecz gdy kwiat jego czasasem zwiędnieje,
Ach, jakaż potem szaruga i slota,
Jak skąpym blaskiem lampa życia tleje!
Bywaj mi zdrowe piękne snu ziawisko!

Wieczności! stoję na twoim progu.
Lecz wprzód nim ciałem w nicosé przypadnę,
Nim ducha mego powrócę Bogu,
Niech wprzód zagadkę przyszłości odgadnę,
Ja ciągle byłem tak dobry, tak tkliwy!

(*) Naśladowanie s Szyllera *die Resignation*.

Miałem na szczęście przywilęj' od ciebie,
Słodka nadziejo przepadnij s pamięci!
Przyjmij go nazad! jako Bog na niebie,
Nirazu jego nietknąłem pieczęci,
Nieznałem szczęścia, nie byłem szczęśliwy!

Więc nim się w twojej pograżę głębi,
Przed twoim tronem wnoszę skargi moje!
Tam złych, jak mówją, wieczna trwoga ziębi,
Dobrych niebieskie czekają napoje,
I życie wieczne i wieczne roskosze.

Tam to wygnańcom po błędnej drodze
Ciernista cierpień kończy się ścieżka:
Więc nim śmierć życia pokróci wodze,
Nim duch mój w twoich sferach zamieszka,
Przed twoim tronem skargi me zanoszę!

— «Daj mi swą młodość! a stłum próżną trwoję,
W drugim cię życiu nie minie zapłata.
W tém tylko ciebie dziś objaśnić mogę — »
I wnet młodzieńcze oddałem ci lata,
I duch mój wyćwiczyłem w długiej cierpień probie.

Daj mi swą przyjaźń! i ową dziewicę,
Której, miłośny pędzel wyobraźni
W twém sercu wiernie przemalował lice — »
Wyrzekłem się na zawsze miłości, przyjaźni,
Wyrwałem ją z mych piersi — i oddałem tobie.

— «Daj mi swe życie!» i te ci dam jeszcze.
 Ale Wieczności gdzież twe drugie życie,
 Którém dziś dumę duszy mojej pieszczę?
 Czyż twoja jasność, jak gwiazda o świetle,
 Zawsze zakryta mglistą niepewnością?

Czyliż te życia kłamiące obrazy,
 Mumiję czasu strawioną zniszczeniem,
 Którą, wpędziwszy między zimne głazy,
 Wonném nadzieja owionęła technieniem,
 Szaleni śmiemy zwać nieśmiertelnością?

O któż mi wskrzesi umarłe uciechy!
 W tobie ufając wiek styrałem młody;
 Znosiłem świata szydercze uśmiechy,
 Wieczności! gdzież są twoje nagrody,
 Azali drugim odmłodnisz mię życiem?

— «Zamilcz, twa skarga w powietrzu nie ginie,
 Odwieczna Mądrość prawdziwa, głęboka.
 Dwa kwiaty rosą na życia dolinie,
 Dwa kwiaty kwitną dla mędrców oka,
 Jeden zowią nadzieją, a drugi użyciem.

Pięknie się wprawdzie kwiat uciech zieleni,
 Lecz kto szczęśliwszy uszczkniesz kwiat nadziei,
 Nic pragnij więcej! — bo drugi s kolei
 Rychło ci zwiędnie, i w dosyt się zmieni,
 I cały urok poodziera z życia.

Co do przyszłości? nie tobie ją zgadać!
 Niebo ci do niej zatrzasnęło wrota.
 Tymczasem umiej to co masz posiadać,
 Bo błogo temu! kto po kres żywota
 Trwał ciągle w chęci użycia.



Wszystko musi zachować jako się zachuje
 Piękny on portret pięknego chłopa
 Wszystko i wszystko było w zachwyceniu
 I wiec wzięty wyczerpy o siebie
 W rozpiętych karkach kółko po niebie
 Szpane w słonec promieniu
 Orlaki ich wona lechate
 Na wesołych wspan wędrują
 Już na ścieżce nieba szczyty

UPADEK HEBY.

DYTYRAMB

z *Moora*.

Było to podczas, gdy na swe biesiady
Bogów i bogiń Kronion przyzywał.
Gwiazdzistą rosą puhar połykiwał,
Rosą co sączą światel miryady:
S którego niegdys, jak wieść dawna słynie,
Wszechmocny w pierwszej stworzenia godzinie
Duszy eteru wylał płyn obfity 1).

Już na średnie nieba szczyty,
Ze wschodnich wysp wędrujące
Obłoki ich wonią technące,
Skapane w słońca promieniu,
Wrospierzchłych kształtach kołują po niebie,
I świt wilgotny wysączyły s siebie.
Wszystko i wszystko było w zachwyceniu!

Wszystko musi zachwycać gdzie się Bachus śmieje,
Piękny on pośród biesiadnego choru;

Złoty warkocz meteoru,
Na głowie jego jaśnieje.
I w kształt liścia utrefiony,
Jak winograd przechylony,
Promienne czoło ocienia.
Na jego łonie Cyterei głowa
Wdzięcznie spoczęła — o rzekłbyś zdumiały,
Ze sławiąc wschód jej piękności,
Syreny hymny śpiewały!
Gdy ją w dzień jej urodzenia
Ukołysała do snu fala lazuruwa,
I straż nad nią wśród morskiej trzymała głębini.
Patrzaj, jak piękna bogini,
Rzucając na jego wzrok pełen miłości,
Wzdycha w więzach zachwycenia!
I znowu w jego objęciu szczęśliwa,
Ognistym okiem powłoczy;
I pas mu uroczy s pod szaty odkrywa,
I w dłoni chowa zapłonione oczy.
To znów, gdy zagrzmia toasty godowe,
Ona usta koralowe,
Gdy ją pragnienia pałą,
Chłodzi nektaru falą.
Sam Bachus czarę do ust jej pomyka,
A s pod jej rzęsów taki blask wynika,
Jak przed wieczorem słoneczna rosa;
Upada, błyska na czarce,
I już się odbił w nektarze.

Tymczasem fale złotego jęj włos
 Świeże jęj jagód ocieniając różę,
 Zmieszane z lica jęj śniegiem,
 Igrając nad czary brzegiem,
 Malują się w przejrzystej nektaru purpurze.
 Tak złotem lśniący kwiat safranowy,
 Tak i Cyreny różę gorejące,
 Nim zajdzie wieczorne słońce,
 Odbija w swém zwierciadle strumień kryształowy.

Już Olympian czara błyska w Heby rękę,
 Już bogini w kwiecie wdzięku,
 Szafarka boskich napojów;
 Lecąca na szczyt samej empirejskiej góry,
 Czerpała krople duszy z jęj gwiazdzistych zdrojów. (2)

I gdy pływ jeszcze rozgrzany upałem,
 Pieniąc się kipiał po brzegach puharu,
 Jak woda w kotle ogniem rospalonym:
 Jęj było staraniem całym,
 Niebieski ogień nektaru,
 Chłodzić w powietrzu śniegiem upierzonym.
 Jakiem Równnika oddychają dzieci,
 W kraju urocznym, gdzie z żądzą miłością
 Życie zakwita nieprzekwitłą wiosną,
 I wiatr północny nigdy nie doleci.
 O Hebe! powiedź wtedy jakżeś się spłakała,
 Jakimże się rumieńcem twoja twarz oblała,
 Jakżeś pobladła od trwogi?

Kiedy powiew Charyty uskrzydlał twe kroki,
 Leczącej szybko na Olymp wysoki. . . .
 Już, już niosłaś puhar drogi
 Dla samego Kroniona!
 Wtém Heby wdziękiem zdumiona,
 Podniosłszy głowę nad niebieskie stopy,
 Ciekawa gwiazda zabiegła jęj drogę:
 I by jęj piękne ucałować stopy,
 Niechająca rączą uczepiła nogę.
 I Bogowie widzieli, jak trwogą pobladła,
 W całym wdzięku swych kształtów wzdłuż nieba upadła! (5)
 I na gwiazdzistej przestrzeni leżała,
 Jak na swych łakach lilija biała:
 Gdy jęj wiatr mleczne przechyli czoło,
 A lzy poranku błyszczą wokóło.
 Patrz; wiatry zalotne jak pędzą ochocze,
 Igrając, całując jęj włos warkocze.
 To niby jęj chęciom powolne,
 Kształty jęj ciała pieszczą z roskoszą.
 Ach jakże wiatry swawolne!
 I długie jęj szaty na skrzydłach podnoszą,
 Któręj tak skromne, tak święte osłony,
 Strzegły jęj ciała alabastr pieszczony;
 Że zdały się ową tajemną zasłoną,
 Pod którą świętość Eleuzyńską czczono.
 * * *
 Junony oczy,
 Gniewem zaiskrzyły;

Stojące w uboczu
 Muzy się rumieniły :
 I za liry uwiecznione,
 Kryły lica zaplone;
 A przez złote stróny liry,
 Błyskały jasne ich ocząt safiry.
 I w chwili kiedy Hebe w kwiecie wdzięku
 Niebieski puhar upuściła z ręku,
 Nektar z niego wylany skrós niebios przecieka.
 Jakież duch wtenczas opiekuńczy człeka,
 Gdy wszyscy Bogowie tak zajęci byli,
 Pamiętał o nim w tej rokosznej chwili?
 I skrzydłami miłości
 Zmiatając nektar w krople rozlany,
 Zesłał na ziemię dar pożądaný,
 Treść nieśmiertelności!
 Deszcz nektaru gorejący,
 Błysnął w eteru przestrzeniach,
 I wonnym oddechem tchnący,
 Złocony w słońca promieniach,
 Jak tęcza świecąca,
 Zbiegł po nieba łęku :
 Rzęsistym potokiem
 W powietrzu błyska,
 Kroplistym obłokiem
 Na koło pryska ;

I stróny Liry niebieskiej potęca, (4)
 Unosząc s sobą harmoniją dźwięku.
 Ci co Atlasu zamieszkali grzbiety
 Widząc plyn ognisty,
 Lecący przez stępy nocy wieczystej,
 Wierzyli go ogniem nowego planety :
 Którego miotła promienna
 Wtak jasny plyn się zmieniała,
 Jak gdyby ją gwiazda dzienna,
 W swoich ogniach rostopiła.
 Już piękne dnia dzieńce,
 W wodnej lilii kielichu,
 Wdzięcznie spokojnie drzemało! (5).
 Jeszcze go zlekka, pocichu,
 Morze do snu kołysało.
 Wiém deszcz spadając po niebios błękiecie,
 Kropił obłoki różowe,
 Które wieńcząc chłopca głowę,
 Trefiły się w kształt warkoczny.
 Chłopiec się budzi, otwiera oczy —
 I złoty warkocz włosa,
 Zarzucił na niebios.
 O dniu radości ! precz ziemskie troski!
 Już nektar boski,
 Jak srebrna rosa
 Z nocy puharu,
 Spada na ziemię.

Śmiertelne plemię,
S twarzą zdumiała,
W kroplach nektaru,
Wino ujrzało!

Szczęśliwa ziemia! szczęśliwe kwiaty!
Co po raz pierwszy na swoje łono
Przyjęły kroplę święconą!
Lecz te daleko mniej droższe kwiaty,
Lecz ta daleko ziemia mniej błoga,
Na które, w kształcie obręczy
Zarzuca geniusz tęczy
Płaszcz czarodziejski słonecznego Boga! (6)



NOTY.

- (1) Jest to wyobrażenie platońskie. — Plato mówi w swoim *Timeuszu* że Bóstwo, naprzód po ukształceniu duszy świata, przystąpiło s kolei do tworzenia dusz drugich, w którym procesie użyło tegoż samego puharu, choć już płyn weń wmieszany i wlany mniej był czystym jak pierwszy. Przemięszawszy więc do tej mieszaniny nieco s swojej własnej treści, Bóstwo rozdało go pomiędzy gwiazdy, które odtąd mają służyć za źródła podobnego płynu.
- (2) Heraklit fizyk utrzymuje, że dusza nasza jest nie jako iskrą z gwiazdzistój materji. «*Scintilla stellaris essentiae.*» *Macrobius in Somn. lib. 1. cap. 11.*
- (3) Serwiusz i drudzy Starożytni wspominają o tém nieszczęśliwém wydarzeniu Heby podczas sprawowania przez nią pod czaszego urzędu; a Hoffman za nimi powiada: «*Cum Hebe pocula Jovi administrans perque lubricum minus caute incedens, cecidisset, revolutisque vestibus.*»
- (4) Konstellacja Lira.

(5) Egipcianie wyobrażają wschód dnia w postaci
młodego chłopca siedzącego na lilii wodnej, raczej
na lotusie.

(6) Starożytni wiele przymiotów i wdzięku przywią-
zują szczególnie do tych miejsc, drzew i kwiatów,
na których tęcza zwykła się odbijać.

BLBGIJB.

W I E R S Z E R Ó Z N E .

Bilder so wie Leidenschaften
Widgen gern am Liede baffen.
W d t e.

WIERNN RÖNNE.

Blęski szałwii wiat ten, co pod drzewa cienkim
Czołgać wiać jedwabny wiewch dźwięk walcowy
Swe jagody

Gdzie ty mieszkałaś tam ciachem majam kwiaty
Tam i kwiatom wybrakom strój do ogrody;
Tam szły niebieskie, czyste jak szkło wody.
Wieny, szarokwiatki, wiewch dźwięk ciachowy

I.

Widziałem ja dzicwice niebieskiej urody,
Tych purpurową różą zakwitnęły lica,
Tęj białość lilijowa oblala jagody,
Tych słońca błyskawicą przelyska źrenica

Tłum pięknych dziewic ujrzyś w Mendoga krainie,
Gdy na wiosnę ustroją powilejskie błonie;
Wdzięczne są, jak na młodej rosnące darninie
Kwiaty, gdy swe w powietrzu rozlewają wonie.

O! czarowna ich postać, ogniste spójrzenia,
W nich i minstrel wiślański czerpa swe natchnienia:
Cóż za dziw! że i pełni lirycznej ochoty
Hold ich wdziękóm litewskie nócą wajdeloty.
Piękne są, jak huryski w Mahomeda niebie,
Lecz tyś temu piękniejsza co pokochał eiebie.

Błogi kraj który twoje oświecają oczy,
 Błogi, szczęśliwy wiatr ten, co pod drzewa cieniem
 Całując włos jedwabny twych długich warkoczy,
 Swe łagodne oddechy s twoim zléwa technieniem.

Gdzie ty mieszkasz tam ciąglým majem kwitną góry,
 Tam i kwiatem wybrańszym stroją się ogrody;
 Tam safiry niebieskie, czyste jak szkło wody,
 Nieznają zazdroszczającj swoich blasków chmury.

O luba! czemuż w enoty i piękność bogata,
 Tak długo swój wdzięk kryjesz przed obliczem świata?
 Snać stronisz przed natrętnych młodzianow spójrzeniem,
 Chcących pierś twą miłośnym zapalić płomieniem.

Tak ów koral kosztowny w oceanu łonie,
 Którego oko słońca nigdy nie ogląda,
 Trwożny, by go śmiertelne nie skaziły dłonie,
 Wilgotnym fali rąbkim wdzięk swój zakryć żąda:
 I w dziewiętej czystości wiecznie mieszka na dnie,
 Aż nim jego dłoń nurka z głębi wód wykradnie.

II.

Tout change tout passe.

Wszystko mija! i czemuż tak wszystko przemija?
 Niebo raz nachmurzone znowu lśni pogodnie,
 Zwarzony zimą wiosna znowu kwiat rozwija,
 I stara twarz xiężyca na nowiu odmłodnie.

Jeden czas dla nas tylko skarbu uciech skąpi.
 Jakże długi żal bywa uciechy niedługięj!
 Znikłęj jednęj roskoszy druga nie zastąpi,
 Pamięć piérwszej jest często trucizną dla drugięj.

Wszystko mija! szczęśliwy kto polubił chwałę,
 Kto rad zapomnieć siebie, śród wojennęj wrzawy
 Na dolinach zwycięstwa uszczknął wieniec sławy:
 Piękne są kwiaty jego — lecz ach, jak nietrwałę!

I ten któremu wieszczę głos bogowie dali,
 Szczęśliwy, jeśli pieśnią w późny wiek zasłynię.
 Jeśli jęj ogniem serce kochanki zapali!
 Cóż? gdy dźwięk jęj jak echo przebrzmi i przeminię.

I w roskosznęj miłośnych uniesień godzinie,
 Gdy łą ze łą, westchnienie z westchnieniem się zléją;
 Łzy się s czasem wypłaczą, westchnienia przewięją,
 Ledwo że sama pamięć o nich nic zaginie.

Lecz gdy piękne młodości upłyną nam lata,
Wtedy odarci s skarbow, jak okręt z rozbicia,
Żeglujem po samotnym oceanie świata,
Niespokojni, gdzie kotew zarzucimy życia?

Błogi jeszcze! gdy duszę niepewności dręcza,
Komu gwiazda nadziei świat rozświeci drugi:
Komu niebo zabłyśnie przebaczenia tęcza,
Jakaż wtedy wnas cisza, jaki cel żeglugi!

Tak sięgaj gdy wrę morze, i wodniste góry
Niosą wojnę spokojnym muszlóm i koralóm,
Jako poseł pogody wychodzi z za chmury,
I do snu kołysanym uśmiecha się falom.

III.

D O N I E M N A.

Niemnie! rodzinna wodo, rzek litewskich xiążę!
Jakże piękne s twój urny wylały się zdroje!
Lecz gdzież są tak sławione wajdeloty twoje?
Kto godną ciebie piosnkę na lutni nawiaże?
Gdzież są, i także snadnie oni cię zabyli!

Gdzie ów śpiewak słowicy s kurhanku Maryli (*)
Sławiący twoje wody, doliny i kwiecie?
I on dzisiaj gdzieś goni po szerokim świecie!
Niemnie! gdzie są rodzone twych brzegów Rusalki?
Jak narcys urodziwe, skromne jak fijkalki.
Ile gwiazd niedoliczyć przy księżycu blasku,
Ile pereł na morskim rozbielonych piasku,
Tyle dziewic na brzegach niemieńskich świeciło.
Gdzieście piękne Rusalki, cóż was stąd spłoszyło?
I za kim dziś splakaną pogonię powieką?
Was tu niema — a moja dobrze stąd daleko!

Niemnie! ojczyzna rzeko! gdzie są tamte wody,
Gdzie Litwin s chwałą bieżał w rycerskie zawody?
Gdzie twoje możne zamki, co błyszcząc do koła
Grożące szturmującym nadstawiały czoła?
Zamki w gruzach leżące kurhany pokryli,
A z niemi krymskie łuki krzyżackie grabieże;
Zamki, miasta, i wszyscy ciebie opuścili,
Jeden dąb wierny tylko twoich brzegów strzeże;
O stokroć dąb szczęśliwszy na dolinach Niemna!
Bo czy mu ranek świta, czy noc mgli się ciemna,
Wdzięczny ziemi, gdzie starzał, i gdzie rośł za młodu

(*) Tam u zielonej rozłogi,
Tam u niemnowej odnogi,
Co to za piękny kurhanek?

Zielonym cieniem zdobi miejsce swego rodu.
 A choć go czasem piorun ogniem zapłomieni,
 Zimą z liści obnaży — znów się rozzieleni,
 Zimą gasnący starzec, z wiosną znów młodzieńczy,
 Majową zielonością nagie czoło wieńczy.
 Nie wszystkim ręka czasu tej ugina szali!
 Raz nam genijusz życia zapala pochodnię:
 Mur, zamek już nie wstanie, gdy się raz powali,
 Żelazo rdza przetrawi — człowiek nie odmłodnie.

Niemnie! zwierciadło Litwy, stoku kryształowy,
 Wciebie, litewskie ziemie, litewskie dąbrowy,
 Jak dziewice na świetną idące biesiadę,
 By w lustra wyglądzone wpatrują się rade!
 Niemnie! widziałem ciebie, gdy tłum ciężkich łodzi
 Uroczyście po twojej pławił się powodzi;
 Widziałem cię, gdyś ginął w nieprzejrzanym lesie,
 Gdzie ci rąca Molczadka wodny haracz niesie;
 Gdzie Wiliją miłośnym uściskasz kryształem,
 Lecz nigdy jam cię s takim nie witał zapalem!

Niemnie! jakżeś mi cichy — zda się że twe wody
 Zdrzémały się, dziennymi zdrożone uchody.
 Jakże lubo na ciebie spojierać wieczorem!
 Te we mglistej powłoce ciemniejące fale,
 Te brzegi wód cienistym oczernione borem;
 Słowik melancholijne śpiwujący żale,
 I te głosy natury w cichém wód szemraniu,

Jakże zgodnie wtórują mojemu dumaniu!
 Wdzięcznym ci — lecz tę wdzięczność słuszną zawiść dzieli,
 Tyś mi wziął najlepszego z moich przyjacieli!
 Bo już barka ochotna za pomocą wiosła,
 Niechętnego na drugie brzegi mię uniosła.
 A na tamtych zostały najlepsze dni moje,
 Na tamtych łez najśłodsze wyłakałem zdroje;
 Tam piłem rajski nektar miłości, przyjaźni,
 Wszystko przeszło! jak przeszły sny mej wyobraźni.
 Tylko zdala twe fale błyskają w noc ciemną,
 Tak przeszłość błyszczy za mną a przyszłość przede mną.
 Tym czasem witaj dla mnie, witaj kraju nowy!
 Żegnaj luba przeszłości — Niemnie bywaj zdrowy!

r. 1825 Strzała

IV.

Dzień pochyły na zachod jasne zwrócił ślady,
 Coraz ciemniejszy błękit powleka niebiosy;
 Gwiazdy w milczeniu sączą lzy wieczornej rosy,
 I we mgłę xiężyc widny — lecz o jakże błady!

Czemż mi dziś tak nie lśni jego blask promienia?
 Jak niegdyś w miłośnego chwilach zachwycenia,
 Gdy patrzał naprzemiany, to na twarz xiężyca,
 To na wieczorne niebo, to na lubej lica.

Zdrój brzęczy, szumią fale wiosennych bławatów,
Kwiat był piękniejszy, strumień łął głośniejsze dźwięki.
Gdym słuchał twego głosu, czuł uścisk twój ręki,
Gdy mi usta twe wonią oddychały kwiatów.

Gdzie z gęstych drzew zielona wznosi się arkada,
Nadstawiam ucha — słyszę głos twój w szmerze liścia;
Nigdyż się ja tu twego niedoczekam przyjścia?
Pytam echa — i echo nigdy! odpowiada.

Ciemno! xiężyc zachodzi — wiatr westchnienia głuszy,
I myśl moję żalobny cień tęsknoty mroczy:
O luba! chyba twoje tak świecące oczy
Mogłyby dziś rozjaśnić tę noc mojej duszy;

V.

POŻEGNANIE DO A. H.

Bądźcie mi zdrowe wilejskie dziewice,
Lecz nie pytajcie, czego tak mi nudno?
Witać, i żegnać ukochane lice,
O w takiej chwili wesolym być trudno!

Wczora gdy radość brzmiała tu w okolo,
Gdy uśmiech wasze ukraszał jagody;
Ja tylko niosłem nachmurzone czoło,
Lecz mieszać waszej nie śmiałem pogody.

Tylko jak widmo szczęśliwszej przeszłości,
Przyszedłem błędzić na pamiątek grobie;
Patrzałem na was — i marzyłem sobie,
O chwilach z wami spędzonych w radości.

Czemuż myślałem lat minionych dzieje?
Tak wiele w sobie mają dziś uroku?
Wrócąli kiedy tych czasow nadzieje?
Wspomniałem przeszłość — i lży miałem w oku!

O z łez niechciejcie urągać pocie!
Łzóm a westchnieniom trudno znaleźć tamy;
Wy sercem czule, wy pojąć możecie
Ży, co gojące leją nam balsamy.

Bo czego oko łzą nie wypłakało,
Ulżyć westchnieniem pragniemy daremno!
Dziś niebo szczęścia za mną już zostało,
A pickło cierpień może już przedemną.

VI.

O najmiłsza przez litość zbliż do arfy rękę!
Znajomej ręki stróna milcząca posłucha:
A głosem wypieszczonym, tą muzyką ucha,
Zanóć mi niegdyś dla mnie śpiewaną piosenkę!

Powiedz, długo-li milczeć będzie arfa twoja?
 Obudź w jej złotych stronach harmoniją śpiącą!
 Lecz pieśń kiedyś radością i weselem tchnącą,
 Noc mi tęskno — albowiem tęskna dusza moja.

Może myśl martwa skrzydło marzenia rostoczy,
 I omdlałe w mej piersi orzeźwi wspomnienie:
 A ja nieme przez usta pošę ci westchnienie,
 I w twém licu utopię dumające oczy.

O wtedy spójrzyj na mnie! a jak lekkiem tchnieniem
 Wietrzyk wieczorną rosę otrąci z obłoku,
 Westchnij i z ust powoli wiejącem westchnieniem
 Owiej łzę, jeśli jaka zabłyśnie w mém oku.

Ty śpiewasz — o i czemuż głos twój dziś za słaby
 Wstecz cofnąć lat szczęśliwszych upłynione zdroje?
 Wszak jeszcze wiosną życia kwitną twe powaby,
 Jeszcze ogniem młodości palą oczy twoje.

Rzuc arfę! przestań śpiewać! głos twój mię nie wzruszy!
 Uśmiech zbyt częsty, czoło za nadto pogodne,
 Słabo się odbijają w kochającej duszy;
 I serca nasze bliskie — lecz o jakże chłodne!

VII.

W DZIEŃ MOICH URODZIN.

Pokłon ci opiekuńczy geniuszu życia!
 Tyle lat mi najlepszych wzięłeś z mej młodości,
 A jeszcze ufny w tobie, jak żeglarz z rozbicia,
 Resztę dni moich pławię do portu wieczności!

Złe czy dobrze, to morze nam przepłynąć trzeba!
 Lecz gdy kompas pewnego nie wskazuje biegu,
 Gdy śród drogi za chmurę zaszyły gwiazdy nieba,
 Jak trudno s całym żaglem zawinąć do brzegu!

Pomnisz, gdyś mego życia zapalał pochodnię,
 Gdyś swą ręką mnie złożył w piastunki objęcia,
 Jak one piękne było w godzinie poczęcia,
 Jakże niebo nademną świeciło pogodnie!

Niegdyś dzieckiem pod czujną twoich skrzydeł strażą
 Usypiałem na przyszłość długich cierpień jeniec;
 Dziś żyć, i żyjąc cierpieć dla nadzici każą,
 Jakżem drogo okupił ten męczeński wieniec!

— «Stamuj żal twój! rzuć okiem po życia dolinie,
 Taż sama gwiazda co ci świeciła w powiciu,
 Dla tylu drugich świeci — w twojem dalszém życiu
 Może tobie kwiat jaki jeszcze się rozwinie.»

—» Widziałem wiele kwiatów, i biegłem s pośpiechem
Wieniec dni moich zdobić miłością i chwałą;
Lecz ledwom czego dotknął, wnet wszystko wędniało
Jak gdyby przed zatrutym Syroki oddechem.»

— «Jeśli ci tak nie błogo w rzeczywistym świecie,
Wszak nie darmo ci dałem skrzydła wyobraźni;
Bujaj, lataj gdzie latać godzi się pocię, —
Tam stwarzaj godne wzory miłości, przyjaźni.»

— «Widziałem ja wylęglę w myśli mojej światy,
Pięciłem piękne wzory stworzone przeze mnie;
Lecz ach! cały ten orszak z dojrzałszymi laty,
Daleko, bez powrotu uleciał odemnie.»

— «Przyszłość twoją przed tobą jeszcze mgła powleka,
A na drodze do grobu, mimo tylu cierni,
Wiele na ciebie kwiatów jeszcze w pączkach czeka,
Kochająca dziewica, przyjaciele wierni.»

Szczęśliwy kto swe losy powierzył kobiecie!
Ona, jak ta gołąbka zwiastunka pogody,
Przychodzi, i zwiastując pogodniejsze życie
Niesie w nasz korab rószczkę pokoju i zgody.

VIII.

Chwilę tylkom ją widział — a w tej jednej chwili,
Zebrało się lat tyle i przeszłość tak długa!
Przecież, gdyby mi przy niej zbiegła wieczność druga,
O! jeszczebyśmy s sobą chwilę tylko żyli.

Chwilę tylkom z nią mówił — lecz ze słów tysiąca,
Ledwom wybrał dwa słowa, powiedział dwa słowa:
Wprzód rzekłem «witam ciebie!» a potem «bądź zdrowa!»
O! czemuż i ta chwila tak była lecąca?

Przecież w czasach szczęśliwszych gdyśmy siebie znali,
Rozmawialiśmy nieraz i więcej i śmielęj!
Z lawało się, gdybyśmy wieki rozmawiali,
Jeszczebyśmy coś s sobą do mówienia mieli.

Chwilę tylkom ją witał — z jakimże zapalem,
Czemuż z głowy tej myśli nie mogę odegnać?
Znajomęj nam przeszłości w jej oczach pytałem!
Zawsze chciałbym ją witać, ale nigdy żegnać.

Chwilę tylkom ją żegnał — w tej okropnej porze,
O sobie i o czasie pewnobym nie wiedział:
Gdyby wtedy kto spytał, jaki czas być może?
«Wieczność!» pytającemu wnetbym odpowiedział.

IX.

Przez iskrę gniewu błyszczy twa zrenica,
Gdy pocałunkiem zabrzmia usta czyje?
Wiedz, że kto lice przybliży do lica,
Ten pierwszy kielich roskoszy wypije.

Gdy się pierś czuciem pocałunku wzruszy,
Co człek czuć może a pojąć nie umie,
O! kiedy serce s sercem się zrozumie,
On dla kochanków jest muzyką duszy!

Spójrzj! jak niebo, i ziemię i wody,
Łańcuch wzajemnej miłości oplata!
Spornych żywiołów pocałunek zgody,
Pierwszém był hasłem harmonii świata.

Gdy świat był w chwili swojego poczęcia,
Ciemność pierzchała, dzień zatlił niebiosy;
Słońce wyciekło s chaosu objęcia,
I gwiazda nocne wyplakała rosy.

Bóg tchnął miłością — ziemia, woda, niebo,
Świat cały gore kochania potrzeba.
Skinął! — i pierwsza Edenu ziemianka
Płonie w objęciach rajskiego kochanka.

W swych brzegach grają roskochane fale,
Czula gołąbka swoją miłość grucha,
Lutnia poety brzmi miłośne żale,
I miłość drugi poczęła świat ducha.

O! tam, wysoko, gdzie święte Cheruby
Strzegą spraw naszych — gdzie Anioł zbawienia
I lzy kochanki, poety westchnienia,
Wpisuje w księgę niebieskiej rachuby.

Tam, zmarła para kochanków szczęśliwych
Dzielących wzajem przeszkód zapomina,
Wita się s sobą w uniesieniach tkliwych,
I pocałunkiem ślub duszy zaczyna.

X.

Jakież ja dziecko! gdy moja dziewica
Czasem odrzuci me prośby natrętne,
I w obojętność ustroi swe lica;
Już z ust jej lada słówko obojętne,
Pada na serce, i jak kamień ciśnie.
Nudzę sam sobą, uciekam od ludzi,
Aż nim z mych oczu żalu lza wytryśnie
I szal gorącej rospaczy przystudzi.

Lecz kiedy moja wesola dziewica,
 Zacnie się do mnie uśmiechać i wdzięczyć;
 Ach! gdy w łagodność ustroi swe lica;
 Już ja przestaję siebie smutkiem dręczyć!
 Zaraz myśl czarna w głowie rozednieje,
 I świta gwiazda wesela na czole;
 Znow z nią rozmawiam, bawię się i śmieję,
 I wciąż jak dziecko swawolę, swawolę.

 XL

Skapa jesteś w rozmowie, nieliczne twe słowa,
 A wszystkie drogie dla mnie! — słów twoich zbiór cały
 Pamięć moją w zamknięciu pod swym kluczem chowa,
 By czasem w lat kolei z myśli nie zwietrzały.

Była jedna rozmowa, w którejś mnie mówiła,
 «Bądź ze mną jak brat s siostrą jak siostrzyczka z bratem!»
 Dusza te słowa w urnę pamięci złożyła,
 A tę urnę myśl wienący niezabudki kwiatem.
 Jak wędrowiec gdy stanie na obcej mogile,
 I dłótem wcięty napis w marmur nagrobowy
 Czyta, tak ja w samotną rozmyślania chwilę
 Wypisane na duszy czytam twe rozmowy.

Czytając nieraz w oczach łza mi się zakręci,
 A ja czytam, bym więcej rozzalał się, smucił;
 I s pamiętek zdejmuję całun niepamięci,
 Który na nie swą ręką sam czas już narzucił.

XII.

D O A

Powiedz mi piękna, czemuś zawsze tak wesola?
 Zawsze twarz twą promienia słoneczne uśmiechy;
 Drudzy płaczą, ty naksztalt rajskiego anioła,
 Nawiedzasz chore serca nadzieją pociechy!
 Wpół ziemską, wpół niebieską, s pierwszego spójżenia
 Zdajesz się być królową ze sfer urojenia,
 Gdzie wszystko jest duchowném, prócz że w ziemskie ciała
 Śmiertelna wyobraźnia swe twory ubrała.
 Snać jeszcze w złotém paśmie twoich dni s powiecia
 Troska ci nieszczerzyła żadnej nitki życia;
 Wesolość twoja, naksztalt promienistej tęczy,
 Blaskiem myśli pogodnych twoje czoło wienczy.
 Ty, jak wróżka przez morskie żeglująca wody,
 Gdy burze fale pienią, gdy gra grzmot na niebie,
 Skinieniem laski karci burze, niepogody,

Uśmiechając się smutki odpędzasz od siebie:
 Jest jedna myśl o śmierci bolesna, dręcząca,
 Co jak zły wróg wciąż idzie śladami człowieka;
 Lecz i ta, jak ptak nocny przed oczyma słońca,
 Ukrywa się przed tobą, i krąży zdaleka.
 Jak miło być przy tobie! — szczęśliwa istoto,
 Patrząc na ciebie serce żegna się s tęsknotą!
 Nieraz mój czarny smutek i wesołość twoja,
 Jako chmura ze słońcem s sobą się spotyka;
 Ty się śmiejesz, i zaraz mniej smutna twarz moja,
 Rozjaśniona od twoich uśmiechow promyka.
 Już tęskną duszę moję rajską słodycz poi,
 A chmura smutku mego, coraz, coraz mniejsza,
 Coraz weselszej barwy, coraz mniej ciemniejsza,
 Błyszczy odbitem światłem wesołości twojej!

Lecz samotny, gdy myślę i marzę o tobie,
 Gdym ci te rymy składał, pomyśliłem sobie!
 Czém jest moja wesołość? — błyskawicą chwili,
 Gwiazdą co przebieć chmurę daremnie się sili;
 Lub nocnym meteorom, który wśród ciemnoty
 Razem z nieba na ziemię deszcz sprowadza złoty:
 Lecz po chwili jak widmo przepada w obłoku —
 I tylko podróżnemu zwiększa ciemność w oku!

XIII.

«WSZĘDZIE JEST DOBRZE, LEPIEJ
 MIĘDZY ŚWĘMI.»

Świat ten żyjących tak wielki, szeroki,
 Ze na nim granic naszym celom nie ma!
 Tak różne sceny, tak różne widoki,
 Po drodze życia zajmują pielgrzymą.
 Przecież znudzony, po długim obiegu,
 Jak łódź po burzy stęskniona do brzegu,
 Mówi, gdy stanie już na swojej ziemi,
 Wszędzie jest dobrze, lepiej między śwęmi!

Nie jeden wirem pochwycony świata,
 Swojej rodzinnej zapomnial ustroni;
 Myśl jego ciągle lecąca, skrzydlata,
 Z motylą żądzą za uciechą goni.
 W końcu zrażony w kilku lat kolei
 Dosytem uciech, obłudą nadziei,
 Nieraz pomyśli, bawiąc się z obcemi,
 Wszędzie jest dobrze, lepiej między śwęmi!

Ten się rad w szrankach ubiega honorów,
 By imie dzwignął s pod gminnego piasku:
 I całe życie czepia się u dworów
 Lecz ten meteor zwodniczego blasku,

Co swoim światłem tak lśnił jego oczy,
Gdy znów go pierwszą ciemnością zamroczy;
Wyzna, znużony trudami próżnemi,
Wszędzie jest dobrze, lepiej między swými!

Błogi! kto żyjąc w swoim własnym domu,
Imię kochanki zamienił na żony;
Kto mając myśli swe powierzyć komu,
Był drugim życiem w dzieciach odrodzony.
Ten z domowego szczęśliwy ukrycia,
Patrzy spokojnie na ocean życia;
Śmieje się z burzy, i mówi z drugimi,
Wszędzie jest dobrze, lepiej między swými!

Lecz gdy śmierć lubie zabierze osoby,
Wdowi, samotny na tym wielkim świecie;
Gdy z duszy ciężkiej nie zdjąwszy żaloby,
Umiera z żalu w samym wieku kwiecie!
Taki przed siebie patrząc, nie za siebie,
Konając duszą zatapia się w niebie:
I jeszcze woła ustami skrzepłemi,
Ach! tam mnie będzie lepiej między swými!

XIV.

W I E C Z O R.

Nudzą mię swą rozmową moi towarzysze,
Mówią do mnie, ja tylko udaję że słyszę;
Za odpowiedź im uśmiech na twarzy wymuszę,
A tymczasem w dumania pograżam mą duszę.
Ci zimno, choć mię widzą tak samotnym w tłumie,
Pytają, czym nie chory? a nikt nie rozumie!
Jakże czasem gwar ciżby nieznośny dla ucha,
Gdzie wszyscy zda się mówią, a nikt ich nie słucha.
Jeden prawi serdeczne, ów kartowe dzieje,
Jeden ziewa słuchając, a drugi się śmieje.
Ten ssąc dymy s cybucha łokciem o stół wsparty,
Razem z dymem wypuszcza z ust szczypiące żarty;
I rad, że śmiech wzbudzając, lub wesołą wrzawę,
Dymem siebie zaczernił, żartem drugich sławę.
Początek był rozmowy o deszczu, pogodzie,
O wojnie zadunajskiej, o żurnalów modzie.
Wtém jeden s ciżby, niby to czuły kochanek,
Wzdychał, i chwalił piękny majowy poranek.
Jak to miło oddychać wonią kwiatów zrana,
Lub s tych kwiatów, gdy jeszcze śpi czyja kochana.
Na dzieńdobry jej okno ubierać w bukiety:
Wkońcu dodał, przełknąwszy ostatnie niestety!
Jak to miło w poranek budzić się na łowy,
I skończył przechwałkami myśliwej rozmowy.

Drugi, którego tylko myśl ucztą zatrudnia,
 W wymownych słowach porę wychwalał południa;
 I zbliżywszy się do mnie zadał mi pytanie,
 Jaka porę dnia wolę? — zmilczałem me zdanie,
 A pomyśliłem w sobie, najmilsza mi pora;
 Błogosławione szare godziny wieczora!
 Bo wszystkie myśli moje wesole, marzące,
 Jak zmrokiem nocne ptaki na światło lcejące,
 Krążą przy nich; — zwabione blaskiem przypomnienia,
 Zawieszają nad niemi skrzydło zamyslenia.
 Pamiętam! ile razy z moją lu bą byłem,
 Pobyt mój na wieczory nie na dni liczyłem.
 Nieraz rano, gdy znajdę ją z gośćmi w salonie,
 Niosąc moje dzieńdobry, grzecznie się jej skłonię;
 I ona rano więcej zimna, czy nieśmiała,
 Obojętnie mnie wita, jakby mię nie znała:
 Ani mię spyta, jaki sen tej nocy miałem,
 Czy marząc, może o niej choć przez sen myślałem?
 Wzajem jej podobnego nie śmiem dać pytania,
 Ona, jakby w godzinach pierwszego poznania,
 Grzeczna tylko, lecz zawsze ode mnie zdaleka,
 Od rozmów moich stroni, od spójrzeń ucieka.
 Choć jej wdzięki tak silnie duszę mą tyranją,
 Ja dzień cały przemilczę, lub przepatrzę na nią.
 A tak w nadziei dziennych uciech zawiedziony,
 Smucę się, i dzień cały już mam za stracony.
 Lecz gdy nadpłynie szara godzina wieczora,
 Z lichwą dnia nieużyta wypłaca się pora:

Jam w niej śmiały, wesoly, i moja kochana
 Więcej zda się być śmielszą, weselszą niż zrana.
 Wieczorem żywszy szkarłat czerwieni jej lica,
 Wieczorem lśni w jej oczach żywsza błyskawica.
 Jak ciemność, gdy po słońcu zajmie tron na niebie,
 Nowe, błyszczące ciała wyprowadza s siebie,
 W dzień obec, niewidziane na nieba przestrzeni,
 Tak jej piękność wieczorem mocniej się promieni.
 I jakby już z gwiazdami sympatyczną była.
 W dzień się kryje, by jaśniej wieczorem świeciła.
 Wieczorem wciąż się śmieją usta jej różowe,
 Wieczorem dłuższą ze mną prowadzi rozmowę:
 Wieczorem — przypominam! był to wieczor błogi,
 Po raz pierwszy mnie ona nazwała «mój drogi!»
 Dźwięk tych słów, jak zegaru bijąca godzina,
 Co chwilę, co pół chwili mnie się przypomina.
 Czemuż, gdy w myśli lubię powtarzać ich brzmienie,
 Jak druga tarcza słońca, przeszłości wspomnienie
 Rzuca tylko cień smutku na kompas pamięci?
 Boli nas to co przeszło — przecie mimo chęci
 Przeszłością często dusza orzeźwia się chora,
 Gdy przypominam szare godziny wieczora!
 Wieczorem — chciałem dalej o wieczorze marzyć,
 Wtém jakiś mi natrętnik jął do ucha gwarzyć,
 Pytając wciąż mię, czegom taki zamysłony?
 Spójrzałem nań — on zimną złością zaprawiony
 Śmiech na ustach przygryzał — gdy wtórzył pytanie,
 Spać mi się chce, ziewając odrzekłem mu na nie.

Zemściłem się, skłamałem — bo od snu daleki.
 Cały w myślach nie czulem ciężącej powieki.
 Już dobranoć mi dają moi towarzysze.
 Odeszli — gwar ich rozmów jeszcze w uchu słyszę.
 Spać idę, przeczuwałem na myślach noc całą,
 Aż w dumaniu usnąłem gdy już rozedniało.
 Spać nawet, nim nadeszła przebudzenia pora,
 Błogosławiłem szare godziny wieczora.

XV. (*)

Gdybyś ty była moja — wszystkie bym ci skarby,
 Powietrza, ziemi, wody, podesał pod nogi,
 W różne ognie kamieni, w różne kwiatów farby,
 Ustroiłbym dla ciebie przyszłe życia drogi.

Dla mnieby tchem ust twoich oddychały kwiaty,
 A dla ciebie źródł moje szemralby westchnienia;
 Gwiazdyby nam świeciły jak miłości światy,
 Gdziebyśmy pošli razem sprawdzać swe marzenia.

Gdybyś ty była moja — różę najwonniejszą
 Z ogrodu wyobraźni uszczknałbym dla ciebie!

(*) Naśladowanie z Moora.

I z muzyki rokoszy nótę najpiękniejszą
 Grałbym ci, nim podobnej pójdziesz słuchać w niebie.
 Co tylko użyć może roskochanych dwoje,
 Czem się tylko na ziemi ezule serca poją,
 Wszystko na twe roskazy miałabyś jak swoje,
 Gdybyś tylko o luba ty być chciała moją.

XVI.

NOC BURZLIWA.

Grzmot, błyskawica! gdzie spojrzę, pioruny
 Z za chmur wstęgami ognistymi wicją;
 Niebiosa błyszczą jak pożarów łuny,
 A wciąż na ziemię potop światła leją.

Blask bije w oczy, ja na blask spozieram!
 Wtém świat otchłanie ciemności pochłona;
 Ja znowu oczy na ciemność otwieram,
 I budzę w sobie myśl już rozmarzoną!

A w rozmarzeniu dumać jest najmilej,
 Grzmot, błyskawica, północna godzina!
 Gdzieś moja luba może śpi w tój chwili?
 Może w tój chwili mnie we śnie wspomina?

Jeśli wspomina! piorun co tu głuszy,
 Niech jój rokosznych marzeń nie przerywa;
 Serafów pieśnią niechaj gra w jój duszy,
 By śpiąc o niebie marzyła szczęśliwa!

Niech ta rażąca wzrok mój błyskawica,
 Jak oblask światła ponad świętych głową,
 Tylko jój senne opromieni lica,
 I znów niech wraca razić mię na nowo!

Spójrzę! aż niebo ogniem się oblało,
 I strumień światła rzucił się w noc ciemną:
 Jak gdyby duchy swoją jasność całą
 Brzez okna nieba wylały nademną!

Coż to znów błyska na nocy żalobie?
 To piorun chmurę na dwoje rozdzielił!
 Gdyby ten piorun, pomyśliem sobie,
 Znalazł mię przy niej, i we mnie wystrzelił.

Wtenczas zmuszony usypiać na wicki,
 Spokojnie na śmierć szedłbym z jój obietcią;
 Patrzącym na nią zamykał powieki,
 Z nadzieją drugiej chwili wniebowzięcia!

XVII.

D O K * * *

Piękna skarżysz na miłość! o jakże się boję
 Wierzyć w to, co me ucho s twoich ust słyszało!
 Jeszcze ty taka młoda! czyliż serce twoje
 Tak wczesnie od dosytu przekwitło, zwiędniało?

Młodość twoja, jak xiężyc na nowiu, kwitnąca
 Świętym blaskiem i wdziękiem, swęj nie doszła pełni.
 Wierz mi, martwo lśni dla nas blask piękności słońca,
 Jeśli nam czczości serca miłość nie zapelni.

Jeśli ciebie lza drugich do litości wzrusza,
 Jeśli ci lzy wyciska cudzej jęk katuszy,
 Czemu twoja tak piękna, tak przezysta dusza,
 Nie szuka równie pięknej, drugiej takiej duszy?

Dziś z rokoszą zgaduję powód skargi twojej,
 Są to skutki bojaźni nie miłości wstręty;
 Serce twe pragnie kochać, i kochać się boi,
 Lęka się, choć pojmuje kochania ponęty.

Serce twoje, jak róża sród wiosny poranka
 Nim roskwitnie w słonecznej południa godzinie,
 Czeka tylko, nim promień spójżenia kochanka
 Jak słońce jego pączek w piękny kwiat rozwinie.

XVIII.

Widziałaś sród wiosennej nocy piękną burzę?
I tę ciszę przed burzą, i ten całun mroku,
Gdy jeszcze piorun, nim on wypadnie z obłoku,
Jak myśl nicobjawiona w swojej drzewie chmurze.

Słyszałaś-li hymn burzy, tę muzykę grzmotów?
W której rozpacz podoba z łzawemi oczyma:
Gdy świst wiatru, szum deszczów, sród ciągłych łoskotów
Lananych drzew, gór echa, wtór jej wielki trzyma.

Jest to chwila rozmowy nieba s przyrodzeniem!
Gdy ziemia się otoczy mrokami ciemnymi,
Wtedy niebo namiętne piorunem, płomieniem,
Objawia swoją miłość, i kocha się w ziemi.

Ziemia mu odpowiada — góry, lasy, pola,
Wody szumią, wrą, huczą, g'łos s siebie wydają.
Wtedy cała natura jest arfą Eola,
Którój stróny wzruszone same drzą i grają.

Dziś o luba! gdy miłość mą tłumaczę tobie,
Gdy myśli tak ogniste, tak wrzące w mój głowie,
Stygną mi w ustach ledwo oddane w półowic;
Obym miał język nieba! pomyśliłem sobie.

Wtedy ustną wymową nie męczyłbym siebie,
Z błyskawicą, s piorunem przyszedłbym do ciebie!
Tego głosem w twe ucho wlatłbym słów mych zdroje,
A tamtąbym zapalił zimne serce twoje.

O! wtenczas serca nasze, jak dwa bliskie drzewa
Które ognie piorunu zatliły, objęły,
Aż nim śmierć oddech życia z naszych ust pozwiewa,
Wciąż niebieskim płomieniem tlałyby, płonęły.

XIX.

ENTUZJASTKA.

Myśli moja, niebo moje!
S pełném czuciem młodej wiary,
Gdym raz pierwszy dotykała,
Złotych brzegów życia czary;
Myśli moja, włókna twoje,
Tak promienne, tak tęczowe,
Jam wyprzedła, i związała
W rajską marzeń mych osnowę.
Ach! nie z ziemskich brane wzorów,
Wdzięk miłości i przyjaźni,
Najpiękniejsze z ich kolorów,

Wszystko w jedną całość zlałam,

Jeszcze do nich przymieszałam,

Malowidła wyobraźni.

Duszo moja, lutni moja!

Jak łza z oczu wydobyta,

Gdy się słodko chwilę prześnią,

Jak najczystsza nota pieśni,

Co się zaraz wtóru chwytą;

Tys tak łatwo brzmiała, Ignęła

Do kamiennej piersi ludzi!

Czemuż dziś w niej nota twoja

Drugiej noty nie obudzi,

S którąby się zlać pragnęła?

Były lata, dni szczęśliwe,

Gdy w mém sercu upojoném,

Melodiją był świat cały!

Gdy mi wszystkie dusze tkliwe,

Jednym dźwiękiem, jednym tonem,

Tonem mojej duszy brzmiały.

Serce moje, piekło moje!

Jak gadzina rozdrażniona,

Gdy się w liczne skręca zwoje;

Gdy snów swoich nie sprawdziło,

O swym raj, o swém niebie;

Z bolu, żądkiem skorpionowa

Skaleczyło, i zabiło,

Ach, zabiło same siebie!

Dziwne moje losy były!

Co me serce ukochało,

Co me oczy polubiły;

I do czego duszą całą

Byt swój wlałam, i wcieliłam,

Wszystko marło, lub wędniało.

Raz ja ptaszka polubiłam,

Ptaszek śpiewał mi piosenki,

To wypijał z ust mych wodę,

To brał pokarm z mojej ręki;

My jak dwa gołąbki młode,

Rozumieliśmy się jedni!

Ptaszek chudniał — skonał w jęku,

Kwiatek wędniał w moim ręku,

Wprzód nim wplotłam go w mój wianek.

Ach, miłością moją biedni

Ptaszek, kwiatek, i kochanek!

On mi oddał serce swoje,

Lecz swęj ręki dać nie może.

Jam już za nim, cóż pomoże?

Wyplakała oczy moje.

Drudzy ludzie ślą mi swaty,

Chcą, by drugi, że bogaty,

Dziś mię ślubnym darzył wiankiem.

Biedne moje serce, oko!
Chyba w niebie, tam! wysoko,
Zasłubiemy się s kochankiem.

XX.

Gdyśmy się poznawali
Grzecznie, obojętnie,
Czyśmy się spodziewali
Kochać tak namiętnie?
Twój wdzięk co drugim wdał,
W przód był bez wrażenia;
Zimno blask na mnie padał
S twych oczu promienia.
Raz gdysmy coś mówili,
Tyś na mnie spojrzęła!
I wzruszona w tej chwili
Dusza ma zadrzała.
I jakoś w pół niechęce
Żądze mię objęły;
Serca żywiej bijące
Zatlały, płonęły.
Długo dobrze nam było!
Szczęście zawiść budzi;

Drugim w oczy to biło,
Zle nam od złych ludzi.
Ach, jeszcze nie dość na tém!
Języki zbyt czynne,
Okłamały przed światem
Twe serce niewinne.

Dziś przed ludźmi sam w siebie
Miłość zamknąć muszę;
Że przyglęła do ciebie,
Przeklinam mą duszę!
Świat położył nam tamy
Kochać się namiętnie;
Jakże się dziś spotkamy? —
Grzecznie, obojętnie.

E P I L O G.

Kwitną róże na dolinie,
Śród zielonych łąk jedwabi,
Lecz przy jednej blask ich ginie,
Jedna tylko wzrok mój wabi.
Tam, na niebie gwiazd tysiące
Brylantowym ogniem płonie;
Wszystkie równie palające,
Ja za jedną okiem gonię.

Z gór swawolne pienia źródle,
Gdzie płaczące brzozy stoja,
Pochyliwszy urny swoje,
Zwiędłe usta kwiatów poja!

I ja niegdyś, cóż s tej chluby?
We wzajemnym serc zachwyce,
S płomienistych oczu lubej,
Piłem miłość, piłem życie.

Dziś na niebie takie burze!
Gwiazdy w chmurach potonęły,
Róże w gajach przekwitnęły,
Tylko brzęczy zdroj na górze!

Dziś i w sercu równie ciemno!
Gdzież westchnienia me poleca?
Darmo patrzę, już przedemną
Gwiazdy oczu jęj nie świeca.

I młodzieńczych uczuć kwiaty,
Coraz częściej wędna, gina,
Znikły piękne marzeń światy,
Tylko łzy jak dawniej płyną.

OCZEKIWANIE

Szylłera.

Któs drzwi zatrzasnął powoli,
Coś zlekka klamką zadzwoni;
Nie — to wiatr wiejąc po błoni,
Świegoce w listkach topoli,
Strójcie się drzewa, piękne zielonóm sklepieniem,
Promieniejącą wdziękiem przyjmcie pod swe dachy;
Wy gałęzie, budujcie nieprzejezane gmachy,
S cichą nocą przyjaznym opaszcie ją cieniem!
Powieście wdzięczne wiatry! to pochlebnóm wianiem,
To swawolném jęj usta pieszcząc całowaniem;
Ach wierzcie mi! piękniejszych nigdy kształtów ciała,
Ani kształtniejszej nózki miłość nie widziała!

Cicho! z gaju któs tu kroczy,
Jęj-li to bieg tak ochoczy?
Nie — to tylko strach z za krzaka
Jakiegoś wypłoszył ptaka.

O słońce! zgaś twe ognie, sam tu nocy wdzięczna!
 Niech twój mrok tylko światłość rozświeci miesięczna:
 A gdy nas drzew pokryją gałęziste sklepy,
 Rozwiń koło nas swoje purpurowe krepy.
 Bo miłość od czujnego zwykle stroni ucha,
 Ona ma natrętnego świadka w dnia promieniu:
 Jój tylko powiernicą może być noc głucha,
 Ta jój wszystkie skrytości przechowa w milczeniu,

Onaż to ona mię wola?

Zabrzmiało echo w oddali?

Nie — to jest labędź co plynne koła

Po srebrnej zatacza fali.

Jeszcze brzmią harmonijne strumienie ogrodu,
 Tam lecą wodotryski s pieniając się wodą;
 Spragnione kwiaty piją wilgoci zachodu,
 Wszystko co żyje nocną rzeczwi się ochłoda.
 Tu winograd swym cieniem blask miesięczny tłumi,
 Owdzie wiśnia dojrzalsza między liściem szumi:
 A powietrze zaprawne wonią, chłodnym tchnieniem
 Studzi mi żar na ustach spalonych pragnieniem.
 Słyszę, słyszę krok jój chodu,
 W drzewach liście zaszumiały;
 Ach nie! — to owoc przejrzały
 Spadł z drzewa w głębi ogrodu.
 Topiąc się w słodkiej śmierci powoli zagasa
 Płomieniste dnia oko, błędnie jego krasa:

Już skromne kwiaty którym, przykre słońca żary,
 Na wpół roskryte nocy mrok otulił szary.
 Xiężyc s promiennem czołem cicho wóz swój toczy,
 Świat się w mgłach topi w kształcie wielkiego obłoku;
 I noc ze wszystkich wdzięków zdjęła pas uroku,
 A każda piękność naga staje mi przed oczy.

Widzę, widzę śnieżny rąbek, wórn i okbud

To pewno jój biała szata!

Ach nie! — to tylko biały gołąbek,

Wzdłuż ciemnych ulic przelata,

O i czemuż im dłużej myśl ma za nią goni,
 Tém więcej sam obrazy urojone mnożę?

Ja zamiast jój czcze mary w mój uściskam dłoni.

Lecz mię żaden cień szczęścia nakarmić nie może!

Obym ją samą widział tu, sród tej dąbrowy,

Obym mógł czuć jój uścisk, mógł jój widzieć wdzięki,

Wreście, choćby najmniejszy rąbek jój sukienki!

Kiedyż mi w rzeczywistość przedzie sen jałowy?

Aż wtém, jak rychło z niebiós czekana

Godzina szczęścia zablýśnie,

Ku mnie się zbliży — i niewidziana

W swych mię objęciach uściśnic.

NADZIEJA

s. Szyllera.

Ludzie i mówią, i marzą wiele,
Lepszość dni przyszłych rojąc s powicia:
Ci jak na fali, w żegludze życia —
Płyną, i gonią szczęśliwsze cele.
Świat raz sstarzały znowu młodnieje,
Człek zawsze lepsze karmi nadzieje.

Ta u bram życia wskazuje mu wicńce,
Ona jak cacko igra przy piastunie;
Jéj czarodziejski blask ślepi młodzieńce,
Z nią i zgrzybiałość zamyka się w trunic.
Bo choć do grobu stępuje s kolei,
Jeszcze na grobie szczepi kwiat nadziei.

O! ta myśl nie jest zwodnicza i dzika,
Wylęła gdzieś tam na mozgu wietrznika!
W sercu przeczucie objawia się wieszczce,
Że Bóg na lepsze utworzył człowieka.
Ciało okrzepnie, życie ucieka,
Żyjąca dusza spodziewa się jeszcze!

MIŁOŚĆ I ROSSĄDEK

z Moora.

*Quand l'homme commence a raisonner
il cesse de sentir.*

I. I. ROUSSEAU.

Było to latem, najpiękniejszą dołą,
Gdy już dojrzałe i serca i kwiaty;
Raz w rzadkiej zgodzie, w progu wiejskiej chaty,
Miłość, Rossądek spotkali się s sobą.

Ranek był piękny, słońce nie wysoko.
Miłość, Rossądek chodzili oboje;
Rossądek idąc coś myślił głęboko,
A Miłość sny mu powiadała swoje.

Lecz lekka Miłość biega, to swawoli,
Ciężki Rossądek nieufny swéj nodze,
Jak druga Juno stąpając powoli,
Cień długi rzucał za sobą po drodze.

Nie dziw, że idąc za Rossądku cieniem
Miłość na zimno skarżyć się poczyna;
Choć słońce lśniło palącym promienieniem,
Przeziębnał cały skrzydłaty chłopczyna.

Próżno skrzydłami to zamiatał trawy,
To zwinne w locie motyle uganiał;
Rossądek cieniem olbrzymiej postawy
Przed nim jak na złość twarz słońca zasłaniał.

To być nie może! miłość z gniewem rzekła,
Słońce nie dla cię jednego stworzone;
Bądź zdrow! — » i zlekka poskoczywszy w stronę
Co prędzej w gaje mirtowe uciekła.

Rada s swobody Miłość się uśmiecha,
Biega po łąkach, kąpie się w strumieniu;
To żądzą w każdym powiewie oddycha,
To pije rosę w słonecznym promieniu.

Wszystkie dąbrowy i wszystkie ogrody
Psuje, pustoszy, swawoli do zbytku;
To zrywa kwiaty, owoce, jagody,
Potem swawolna choruje s przesytku.

Lecz gdy na niebie już promienie słońca
W południm blasku pomknęły się dalej,
Niestety! Miłość omdlała z gorąca,
I krew w jej żyłach płomieniem się pali.

We mgle omdlenia zagasa żrenica,
Uśmiech już więcej nie krasi jej lica:
Gdzież jest Rossądek, coby ją swym cieniem
Zakrył przed słońca palącym promieniem?

Któż się jej teraz uzali męczarni?
Gdzie rosną letnie palmowe drzewa,
Pod niemi leżał Rossądek na darni,
A wiatr mu czoło swym chłodem obwiewa.

« O daj mi teraz przed skwarem zachronę! »
Prośba Miłości Rossądek rozczuła:
Rzeczwiąc jej usta gorączką spalone,
Do zimnej piersi wnet Miłość przytula.

Ledwo zimnego dotknęła się ciała,
Krew w niej zakrzepła, i serce nie biło.
Niestety! zimno już zbyt czyste było,
Miłość na łonie Rossądku skonała.

(?) Umieszczony tu w przekładzie wyjątek z jednego z najstarszych i najpiękniejszych utworów z języka łaski. —
Lust przesycony miłością Markowej, jedyną skromną
wielką dziewczyną, umiarkowaną i czystą, która
Melancholiam, szlachetnym i spokojnym do rozmar-
zeń towarzyszy. — Wzrost, nie może znaleźć poroju
w sobie, nie wniknie w życie. Nie piękniejszego w wy-
ganie wyjątek nie możemy, jak ten Monolog, w którym
poeta narzeka, entuzjastycznie i przesyconie widać
wyjątek.

MONOLOG

s Fausta (*)

Duchu! ocom ja błagał, com ja chciał posiadać,
Wszystko mi dałeś, nie wzgardziłeś niczem.
Nie darmo płomienistém błysnęłaś obliczém!
Rzekłeś, panuj naturze! chciój ją na skrós zbadać,
Weź moc do jej uczucia, siłę do użycia;
Wnet nie s chłodną uwagą, s całym ogniem życia
W jej licu niezbadaném spójrzałem w jej tajnie.
Jak w serce przyjaciela spójrzałem w jej tajnie.
Ty przedemną żyjące wywodziśz postaci,
Tyś mi dał poznać wszystkie mieszkające rody,
Po przestrzeniach powietrza, i w otchłaniach wody.

(*) Umieszczamy tu w przekładzie wyjątek, z jednej z najświetniejszych produkcji Getego, s trajedyi Fausta. — Faust przesycony miłością Margerety, jednej skromnej wiejskiej dziewczyny, znudzony ciągłą szatańską ironiją Mefistofelesa, szuka rostargnienia. Uczęszcza do rozmaitych towarzystw. — Wkońcu, nie mogąc znaleźć pokoju w sobie, na wszystko wyrzeka. Nic piękniejszego w oryginalnie czytać nie możemy, jak ten Monolog, w którym Poeta zarazem entuzjazm nauki i przesyccenie uciech wyraża.

Badam w nich byt mój własny, widzę moich braci,
A gdy w lasach zawyje Uraganu ślota,
I letnie sosny, dolin urodziwe córki,
Lamiąc jedne po drugiej wicher podruzgota,
A ich upadkiem zagrzmia okoliczne wzgórki:
Ty mię wówczas do bliskiej uprowadzasz grotty,
Tam to sam w sobie badam mojej treści istoty.
Wówczas myśl ginąc w niebie, drugie niebo roi,
I niezgadnione cudo zgadam w piersi moiej.
A gdy księżyc z za chmury rzuci blask nieśmiały,
I s poziomej zarośli, i górzystej skały,
Wnet usrebrzoną szatą przeszłość mię osłania,
I swą barwą łagodzi surowość dumania.

Lecz doskonałość nie jest udziałem człowieka,
Czuję to, im się dalej moja myśl zacięka.
Przecż w tej roskoszy, która zbliża mię do Boga,
Mam ciepieć towarzystwo tak zimnego wroga?
Poniżony sam w sobie, ciągłą karmiąc trwozę,
Dłużej znosić go nie chcę, wzgardzić nim nie mogę.
On to wszystkie twe dary złane mi przez ciebie,
Jedném słowem, skiniciem jedném w nicosć grzebie.
On pożar dzikich ogni wrzucił w serce moje,
Abym gorzał, dziewczyno wielbiąc wdzięki twoje!
Tak żądzą i dosytem upojeni błędzą,
Z żądzy rzucam się w dosyt, i tęsknię za żądzą.

BÓG I BAJADERA

INDYJSKA LEGENDA

z *Gctego*.

Bóg Mahadoch, mocarz ziemi,
Po raz szósty z nieba schodzi;
Jak człek z ludzmi się obchodzi,
Troski radość dzieli z niemymi.
Wszystko poznać jął się starać,
W nim współzucie ludzkość budzi;
Kto nagradzać chce i karać,
Niech pó ludzku widzi ludzi.
On nieraz wśród miasta jak pielgrzym przechywał,
Po pańskich pałacach, po domach szpiegował;
Raz gdy mrok wieczorny niebiosą pokrywał,
Wychodził za miasto, i dalej wędrował.
Gdy ostatnie mijał domy,
Spotkał dziewczę na ulicy;
Witaj! prawi do dziewicy, —
Witaj piękny nieznanomy!

Wróć się! na noc już się zbiera,
Wróć się! dom ten cię ugości, —
Kto ty jesteś? — Bajadera —
A ten dom czyj? — dom miłości!
I w lutnię do tańca uderza dziewica,
I w tańcu jej stopa tak lekko pływała;
Zwinnością swych kształtów młodzieńca zachwyca,
I bukiet mu z wdzięcznym ukłonem podała

Zalotném okiem i słowy
Wabi, i mową przyjemną
Zaprawia uśmiech cukrowy.
Piękny gościu spocznij ze mną!
Skromną chatką nie gardź dumnie!
Daj znużonej spocząć nodze.
Co chcesz? cichy sen po drodze,
Żarty, rokosz znajdziesz u mnie.
I pilno go rzeźwi, i skutkiem współzucia
Litośne jej piersi westchnienia podnoszą;
Bóstwo się uśmiecha, i widzi z rokoszą
Jeszcze ludzkie serce w przepaści zepsucia.

Już dzień mijał jeden, drugi,
Dziewcze gościem zachwycona,
Wszystkie spełnia mu usługi,
Ciągłym trudem nie zrażona.
S kwiatu owoc wnet dojrzeje,
Cała w myślach się zacięka;

Piers jej czystsze czuciem tleję,
 Iż i miłość nie daleka!
 Mahadoch na różne rzuca się sposoby,
 By snadniej mógł zajrzeć w głąb serca dziewicy;
 Choć ostro, przez wszystkie doświadcza ją proby
 Roskoszy, i trwogi, i srogiej tęsknicy.

Ledwo w usta ją różowe
 Pocałował, już drzy cała,
 W piersi ogień czując nowe,
 Po raz pierwszy zapłakala.
 To naprzemian w zachwyceniu,
 Czerwieniła, to znów bladła,
 I w miłośnym rozrzewnieniu,
 We łzach do nogi mu upadła.
 Wnet kryjąc w swój dloni lica zaplionięte,
 Wytkaną z jedwabi i s ciągłego złota,
 Nad łozem co prędzej rospięła zasłone,
 Czynnich jej godzin najmilsza robota!

Ledwo błysnął świt poranny,
 Już się budzi, lzy w jej oku:
 Patrzy! — ach, to jej kochany
 Leży martwy przy jej boku.
 Cóż mu wrzaski jej poradzą?
 Już go ujął sen głęboki,
 Już młodzieńca martwe zwłoki,
 Na płonący stos prowadzą.

I słyszy kapłanów ich pieśni pogrzebne,
 A skargi jej biją o chimury podniebne;
 I tłumy potrąca, a tłum jej uraga
 Kto jesteś? co ciebie na stos ten pociąga?

Pyta tłumy pogrzebnego,
 Płacze, włosy rwie na sobie;
 Ach! oddajcie męża mego,
 Ja go pójde szukać w grobie.
 On był moim — dzisiaj biedna,
 Skarżę, płaczę przy mogile:
 Jak te prędko przeszły chwile,
 I noc słodka tylko jedna!
 Brzmią chory kapłanów — i młody i stary
 Od śmierci nie umknie, śmierć jedna dla obu.
 My starość zgrzybiałą kładziemy na mary,
 My młodzież kwitnącą prowadzim do grobu!

Wruszon kapłan łą jej szczerą,
 Wierz! jej rzecze, słowom moim;
 Żyj, jak żyłaś Bajadero,
 Żyj! on nie był mężem twoim.
 Przecz się w żalach myśl twa błąka?
 Tylko cień za ciałem chodzi;
 Tylko żonie dla małżonka,
 W kraj umarłych wejść się godzi.
 Udercie więc w bębny! niech zabrzmi chór cały!
 Nim gwiazda wieczorna zabłyśnie na niebie,

O przyjmcie Bogowie kwiat wieku zwiędniały,
 O przyjmcie w płomieniach młodzieńca do siebie

Już się choru pieśń kończyła,
 Oblakana Bajadera,

Na płonący stos poziera,
 I w gorącą śmierć skoczyła.

Wtém Bog-młodzian lotem błysku
 Nad płomień się podnosi,

I dziewicę w swym uścisku,
 Przez powietrzny szlak unosi.

S poprawy grzesznicy Bóstwo się raduje,
 I boskie z obłoku odsłonił jęj lice.

W ognistych objęciach trzymając dziewicę,
 Z najczystsza, z najmilsza ku niebu wlatuje.



DO GRAJACYCH SYBILLE.

Siostry Sybille, w królewskich obsłonach,
 Przeszłość i Przyszłość zasiadły na tronach:
 Nieme, milczące, jakby z gwiazd promienia
 Zleciał na usta ich anioł milczenia.
 W oczach ich święte natchnienie się żarzy,
 Jak na pogodnej męczennika twarzy,
 Gdy duszą z ognia ku niebu ulata.
 Rzekłbyś, że obie z Genijuszem świata
 O losach ludzi prowadzą rozmowy.
 Bagaty turban ukwicił ich głowy,
 Jak różnowzory zawój tulipana.
 Ni to na płótnie grupa malowana,
 Tchnąca pełnością i życia i wdzięku:
 Obie s xięgami, jedna s piórem w ręku,
 W jedne swe Przyszłość wróżby wpisywała,
 Na drugich Przeszłość wpisane czytała.

O piękne wróżki! patrząc na was obie,
 Wpół rozmarzony pomyśliłem sobie:
 Kto całe życie obecnością żyje,

O przyjmcie Bogowie kwiat wieku zwiędniały,
O przyjmcie w płomieniach młodzieńca do siebie

Już się choru pieśń kończyła,
Obląkana Bajadera,

Na płonący stos poziera,

I w gorącą śmierć skoczyła.

Wtém Bog-młodzian lotem błysku

Nad płomienie się podnosi,

I dziewicę w swym uścisku,

Przez powietrzny szlak unosi.

S poprawy grzesznicy Bóstwo się raduje,

I boskie z obłoku odsłonił jęj lice.

W ognistych objęciach trzymając dziewicę,

Z najczystsza, z najmiłszą ku niebu wlatuje.



DO GRAJACYCH SYBILLE.

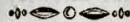
Siostry Sybille, w królewskich obłonach,
Przeszłość i Przyszłość zasiadły na tronach:
Nieme, mileżące, jakby z gwiazd promienia
Zleciał na usta ich anioł milczenia.
W oczach ich święte natchnienie się żarzy,
Jak na pogodnej męczennika twarzy,
Gdy duszą z ognia ku niebu ulata.
Rzekłbyś, że obie z Genijuszem świata
O losach ludzi prowadzą rozmowy.
Bagaty turban ukwicił ich głowy,
Jak różnowzory zawój tulipana.
Ni to na płótnie grupa malowana,
Tchnąca pełnością i życia i wdzięku:
Obie s xięgami, jedna s piórem w ręku,
W jedne swe Przyszłość wróżby wpisywała,
Na drugich Przeszłość wpisane czytała.

O piękne wróżki! patrząc na was obie,
Wpół rozmarzony pomyśliłem sobie:
Kto całe życie obecnością żyje,

Taki nie długo s czary szczęścia pije.
 Terazniejszości, już mi cię nie trzeba!
 Jak duch zamknięty pomiędzy dwa nieba.
 Na Przeszłość Przyszłość patrzalbym naprzemian.
 I tak patrząc, najszczęśliwy z ziemian,
 S kwiatow nadziei, i s przędzy wspomnienia,
 Snułbym wciąż złote, tęczowe marzenia,
 Ażby, co bogdaj kiedy się ziściło!
 Całe me życie jedną tęczą było,
 Jedną Irydy promienistą łeską,
 Zmienną, ulotną, lecz ach, jak niebieską!



W IMIONNIKU PANI S. B.

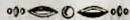


Miło jest wybranemu po wzajemnej chęci,
 W poświęcone przyjaźni zapisać się karty:
 Lecz ten u mnie zawiści i niebiańskiej warty,
 Kto się sercem w przyjaźnej zapisze pamięci.

Bo gdy nas tu wiążący łańcuch się roskruszy,
 Gdy się przeszłość zagrzebie w gruzach zapomnienia;
 Jeszcze słońce pamiętek wschodzi w naszej duszy,
 I jak lampa przyświeca we mgle oddalenia.

EPILOG

DO IMIONNIKA LUDWIKI K....



Jest czarodziejska skrzynia, jak mię wieść poucza,
 W której błyszcą kosztowne pamiętek kamienie;
 Skrzynia ta jest pod strażą twój pamięci klucza,
 A każdy kamień ciska słoneczne promienie.
 Gdy Pani spojrzysz na nie, jak jej wspomnieć miło
 Że słońce dni weselszych nad niemi świeciło!
 Dziś po jego zachodzie, dawnymi ogniami,

Dawném światłem wesela każdy głaz jaśnieje;
 Każdy promień z nich wyszły, złotemi głoskami
 Wypisałby ci piękne twój przeszłości dzieje.
 Skarb ten składali Pani Litewsey poeci,
 Złóż i mój prosty kamyk w tym kosztownym zbiorze
 Śród pereł i brylantów; — i mój kamyk może
 Odbitym od ich blaskiem w oczach twych zaświeci?

W IMIENNIKU DOKTORA M.

Dalibóg! a toć cudo! album u doktora.
 Snać go, jeśli mam wierzyć, jakaś piękna chora
 Darowała ci, wpadłszy w gorączkę miłości;
 Widziałem ja tysięczne albomy Piękności!
 Są to więgi trofcow. — gdy jej wdzięków czary
 Zwojują hołdowników, i serca podbijają,
 W nich imiona na kartach, jak w wojnie sztandary
 Zdobyte, w zapomnieniu butwieją i gniją.
 Na wszystkich jeden napis: «piękne twoje oczy,
 Piękne lica, jedwabny twoich włos warkoczy —»
 Jam kiedyś był tym jeńcem — wierzaj! dziś mię nudzi
 Zbierać kwiaty z drugimi na jej pochwał wieńce!
 Lepiej z nowym napisem kartę ci poświęcę,
 Żem jedne twoje serce wybrał s ciżby ludzi!

DZIEŃ SĄDNY.

Mamy dwa wzroki: jeden wzrok oczu, zmysłowy,
 Sługa przestrzeni, który tyle tylko sięga,
 Ile granic obejmie koło widnokręga.
 Drugi, teleskop duszy nasz wzrok nadzmysłowy,
 Wzrok prorocki. — tym wzrokiem patrząc nie zwyczajnie
 Niezgadnione przyszłości posiedzamy tajnie.
 Tym wzrokiem na lat tysiąc od dzisiaj widziałem —
 Drugie chaos, wstrząśnienie w przyrodzeniu całym.
 Dziecinna, młoda, potem męska ludzkość cała,
 Nakoniec od starości z wiekami przejrzała.
 Ciągłe drobnieli ludzie różnych stref, narodów,
 Jeśli kto zdziwił kształtem rozroślejszym ciała,
 Już do przedpotopowych należał on rodów,
 Jako skielec Mamuta — lecz choć ciałem drobni,
 Ludzie stali się myślą sobie niepodobni.
 Myśl ich porosła pierzem — człowiek ośmielony
 Odebrał ptakóm skrzydła, zbudował balony.
 Jak okrętem po morzu niezłękły powodzią,
 On stérował w powietrzu latającą łodzią.
 Ludzie bez swój ojczyzny, bracia jednej ziemi,
 S kolei językami mówili wszystkiemi.

Od źródeł Orenoki po Fińskie wybrzeża,
 Budowała się druga babilońska wieża,
 I świat miał jeden język. — wszędzie liczby były,
 Liczby w ustach po xiążkach słowa zastąpiły.
 Kształt był wszystkiem, a ludzie do tego już przyszli,
 Że po abrysach w mózgu wyrabiali myśli.
 Wszystkie widzą przedmioty przez szkło wyobrażeń,
 Lecz dusze ich ubogie, zabrakło im wrażeń.
 Człowiek myślą w pojęciu uczując do zbytku,
 Zarazem na czczość serca chorował s przesytku:
 I ci, co już myśleli że żyli, użyli,
 Niczego nieużywszy, przesyćeni byli.
 Tajemniczość kryjąca skielety, widziadła,
 Od twarzy tego świata jak maska odpadła.
 A drzewo wiadomości bez owocu stało,
 Ludzie wszystkie owoce zeń zdjęli, strząsnęli;
 Cały świat był w ich oczach, jak okrzepłe ciało
 Przed pogrzebem na trupięj leżące pościeli.
 Lecz wiadomość wszystkiego czynność im odjęła,
 Z dosytem nieruchomość w ich głowie spoczęła;
 Wszystkie żądze uczucia zamilkły, i ludzie
 Niewiedzieli, co począć w tej spokojnej nudzie?
 Z nudy, wsie, okolice gdzie z wieków mieszkali;
 Kolebki ich dzieciństwa, ich wspomnień, ich rodu,
 Z suchém okiem bez żalu, bez łez porzucali.
 I gnieździli się razem śród jednego grodu
 Tłumnie, ciasno, jak jakie w skorupie owady.
 Po drogach spotykałem podrózne gromady,

Zbytek do miast ich wabił; — męczyzna, niewiasta,
 Dziećci i starzec ciągną do jednego miasta,
 Jako korab' Noego przed potopem świata.
 Zdało się, że świat stary już kończył swe lata.
 W tym wielkim, nieruchomym, kamiennym korabiu,
 Ludzie chodzą bogato, w atlasach, w jedwabiu;
 Ale twarze ich były wychudłe, wybladłe,
 Oczy ich w pół przygasa na czoło wysiadłe,
 Ludzie trupięj postaci. — śród zbytkow, zepsucia,
 Ci jeszcze zapomniane kłamali uczucia.
 Te się w xiążkach chowały jak numizmat stary,
 Stąd powstała zaraza powszechnej niewiary.
 Bliżni bliźniego uczuć sercem nie podziela,
 Z ustnej mowy wygnano wyraz przyjaciela,
 Kochankowie przed sobą swoją miłość kryli,
 Okropne skutki zdrady! — w xiążkach od tej chwili
 Widziano same kłamstwa, i xięgi palono,
 Xięgi całego świata w wielkich stosach płoną.
 Ci co roili sobie nieśmiertelną sławę,
 Pocieszali się, szerząc bluźnierstwa i wrzawę,
 Że s tych xiążek płonących duch promienny Feba
 Genjusze w płomieniach unosił do nieba.
 Drudzy widząc w tym ogniu czystą treść żywiołu,
 Nic po nich nie znaleźli prócz dymu, popiołu.
 Wkońcu zjawił się Upior — dziwne sceny były,
 Widziałem! matki swoich dzieci nie mamczyły.
 Upior chodził po domach, dzieci im kołysał,
 Usypiał ich w kolebec, s śpiących krew wysysał.

Upior ucztował we krwi: — jeśli w czyje ciało
 Swój żąb wraził, gdy komu kroplę krwi wytoczył,
 Ten wzajem we krwi drugich swoje usta broczył,
 Stąd powstał tłum upiorow; — (*) tych piekło zesłało
 Jak gońców potępienia. — Dzikim sząłem wściekli
 Ludzie kalecząc siebie wzajem się wysiekli.
 Grody były bezładne — i wsie, okolice
 Wyglądały jak wielkie królestwo pustyni.
 Lew król zwierząt porzucił swą leśną stolicę,
 I rozgościł się w polach jak w swojej jaskini.
 Wielkie gmachy, pałace świecące zdaleka,
 Dzikie zwierzęta w imię zajęły człowieka;
 Bo ludzi już nie było — prócz kochanków dwójga;
 Ci zostali na miejscu, widziałem obójga.
 Wspomnienie ich tak silnie do miejsca wiązało,
 Pamięć młodej miłości. — Tu zielone lata
 Ich żółkły; stąd na resztę obcego im świata
 Poglądali, jak z wyspy co morze oblało,
 S samotnej, rajskiej wyspy: gdzie wciąż kwitną drzewa,
 Gdzie pełno kwiatów, zdrojów; gdzie wciąż wiatr powiewa
 I w upały południa daje chłód przyjemny,
 I w około jej morze, step błękitno-ciemny.

(*) Upior czyli wilkolek podług podania gminu przy-
 chodzi z tamtego świata, wysysa krew dzieci, kaleczy,
 zabija ludzi: człowiek zraniony lub zabity od Upiora
 sam zostaje Upiorem. To podanie dotąd zachowujące się
 w Illyrii jest wspólne wszystkim ludom Sławiańskim.

Właśnie jakby w zaćmienie zastąpiło słońce,
 Mrok był dzienny — powietrze zgęszczone, duszące,
 Jak ciężar przezroczysty ciężyło do ziemi;
 Wiatr zimny wiał zarazą — z oczyma smutnemi
 Oni stali, w rozpaczę ręce załamali,
 I westchnęli, to s sobą mówili — milczeniem,
 Niestety! ich westchnienie powietrze odbiło,
 I od wiatru zatrute znów do ust wróciło.
 Tak powoli wzajemnym trując się westchnieniem,
 Rzucili się w objęcia — w objęciach skonali.

Widziałem drugą scenę, — pioruny spadały
 Z nieba, i jak umyślnie domy zapalały.
 Jeden dóm ogień objął — przez dachów wylomy
 Płomień wpadając wszystko pożerał łakomy;
 Szalejąc wiał i sypał na koło iskrami,
 To się klębił i w górę uchodził z dymami,
 Ściany wpół dopalone s trzaskiem się waliły,
 Jak podrabane drzewa — szyby się paliły,
 Pękały w ogniu. — Jeden tylko koniec domu
 Stał cały, jeszcze płomień nie zrobił wylomu.
 Tam pośród małej, ciasnej, narożnej komnaty,
 Przy łunie rzucającej blask na okno kraty,
 Siedzącego za stołem widziałem Lichwiarza:
 Świeca się dopalała już na dnie lichtarza,
 Ładował trzosi złotem — nad stolikiem zgięty,
 Brzękiem kruszcza zgłuszony, czy liczbą zajęty,
 Nie wiedział o pożarze. — palcami chudemi

Zbierał, ważył dukaty i piścił się z niemi
 Jak dziecko ze swém cackiem. — Jedną sztukę złota
 Trzymał, i z niej pleśń ścierał, a ręka mu drżała.
 Snać z rąk jakiej sieroty wydarł ją niecnota,
 Może iza, którą pieniądz wydarty oblala,
 S czasem w zamkniętej skrzyni zastygła, spleśniała?
 Zbladł, i pieniądz do trzosa cisnął w oka mgnienu;
 Pleśń ta widać leżała na jego sumnieniu.
 W tém ogień wpadł przez okno — patrzałem z uboczy,
 Lecz nie widzieć nie mogłem, blask mi raził oczy.
 Słyszałem tylko zdala, jak płonąc w płomieniach
 Wrzasnął i skonał w długich przeciągłych jęczeniach.

Wylekłe od pożarów ptaki nie latały,
 Sępy i kruki głodem spędzone ze skały,
 Tylko w chmurach krążyły skrzydłami czarnemi,
 Jak gdyby snuły całun na pogrzeb dla ziemi.
 Smutny, okropny widok był całego ładu!
 Jak ów w Apokalipsis dzień straszego sądu,
 Gdy Pan Bóg rozgniewany na Adama plemie,
 Wszystkie siedm czasz gniewu wylał sam na ziemię.

r. 1850 Petersburg.

100
 Gdy ów kwiatek apokryfy,
 Co przedaj się natchy,
 Tu niezabudka
NIEZABUDKA.
 Jak chwiał on tak się stał
 Pasterka kwiat
 I swą mu wzięła dłoń
 Wzruszając
 Kwiat nie
 Pasterka za
 Słowa
 I rumienię
 Za parę
 Kwiat nie
 Błęd mi
 Daj mi
 Zapomnieć
 Gdy już
 To
 Choćby
 Nie mówili
 Rozwali się
 Jest ich
 Coś mowi
 O niezabudka

Jakiż to błyszczący kwiatek
 Na zielonej murawie?
 Mniejszy on jak bławatek,
 A błękitny tak prawie.
 To niezabudka!

Pasterz chory na serce,
 Samotny, dumający;
 Roskochany w pasterce,
 Szedł, i zoczył rosnący
 Kwiat niezabudki.

I zawola w zapale,
 O gdybym mógł z jej ręki,
 Choćby przez łzy i żale,
 Wyżebrać kwiat maleńki,
 Tę niezabudkę!

Wtem pasterka przybiegła,
 Wita go, i po chwili

Gdy ów kwiatek spostrzegła,
Co prędkiej się nachyli,
Ku niezabudce.

Jak chciał on, tak się stało!
Pasterka kwiat zerwała,
I swą mu rączką białą,
Zrumieniona, podała
Kwiat niezabudki.

Pasterz za dar z jej ręki,
Słowem, duszą dziękował.
I rumieniąc jej wdzięki,
Za pas, przy sercu schował
Kwiat niezabudki.

Bądź mi zdrowa! ja w drogę
Dziś jadę wierny tobie:
Zapomnieć cię nie mogę,
Gdy już mam przy sobie,
Tę niezabudkę.

Nie mówili ni słowa,
Roskali się za gajem:
Lecz ich oczu rozmowa,
Cóż mowiła nawzajem
O niezabudce.

Jeśli kto jaki kwiatek,
W pielgrzymu ujrzysz rękę;
Gdy mniejszy jak bławatek,
A skromniejszego wdzięku,
To niezabudka!

DZIEWCZYNA.

(Piosnka.)

Wciąż śmiejące się lica,
Oczy jej nie palące,
Nie, ogniste jak słońce,
Świecą blaskiem xiężycy.
Jakże piękna dziewczyna!
Gdy rozmawia z młodzieńcem,
Co ją kocha, szaleje;
Twarz zakwita rumieńcem,
Wzdycha, czasem łzy leje,
Jakże czuła dziewczyna!

Raz gdy s sobą mówili,
Tak go czule objęła,

Tak go czule ścisnęła,
I tak szczęśliwi byli!
Jak namiętna dziewczyna!

Słodka miłość w młodości,
Cóż, gdy skrzydło niestatku
Godło wdzięku, i kwiatku,
Godło serca, miłości —
Gdzież jest stała dziewczyna?

Znów w miesiąc, w pół miesiąca,
Dla drugiego młodzieńca,
Nie szczędzi łez, rumieńca,
Znów czuła, kochająca,
Jak niewierna dziewczyna!

Serce dała pierwszemu,
A rękę dla drugiego;
I ślubuje drugiemu,
Ach, zabiła pierwszego!
O przekłętą dziewczyna!

MELODIJA IRLANDZKA.

z *Moora*.

Nieraz na licach wody promień słońca świeci,
Choć spodem ciemna zimna fala wre i pieni;
Nieraz uśmiech słoneczny twarz nam opromieni,
Choć już serce zbyt chłodne w przepaść zguby leci.

Gdy jedna troska, jedno złowrogie wspomnienie,
Rzuci swój cień na nasze szczęście, jak niedole;
Dla której, gdy nam duszę długie zdrętwią bole,
Roskosz nie jest balsamem, ni żądłem cierpienie.

O! ta myśl pośród uciech, jak schorzałe zbytnie
Latem bezlistne drzewo, świeci nie wesoło!
Próżno promienie słońca nad niem lśnią około,
Uśmiechnie się w ich blasku, lecz już nie odkwitnie.

z Moora.

Na śniegow pościeli śpi promień księżycy,
Choć chłodno i wietrzno, do grobu kochanka
Codziennie wieczorem przychodzi dziewica,
Modli się i wzdycha i płacze do ranka.

Choć chłodno i wietrzno, ni śnieżne zawieje,
Ni wicher kochanki nie straszy zimowy;
Na grobie miłego dziewica łązy leje,
I łąza jęć raz padła na kamień grobowy.

Łza była gorąca, lecz wiatrem zmrożona,
Przystygła do głazu wśród nocnej zamieci;
Jak sronu perełka na drzewie zwieszona,
Noc całą, dzień cały, na mogile świeci.

Wtém postrzegł to anioł, i leskę na grobie
Przeziębłą, co prędzej pochwyił w swe dłonie:
Stąd Litość ją w niebie podobała sobie,
I perłę tę na swęj zwiesiła koronie.



Pielgrzym idący w zimny kraj północy,
Gdzie wokoł wodząc oczyma smutnemi,
Prócz gwiazd na niebie, złotych kwiatow nocy,
Niema nadziei spotkać kwiat na ziemi.

Jakże mu błogo! gdy na pustej błoni,
Spotka przechodząc kwiat niespodziewany;
Co go zachwyca wdziękiem farb i woni,
I przypomina kraj już pożegnany.

Tys mu błysnęła tym podróżnym kwiatem!
Dziś choć na północ ciekawość go nęci,
Niezapomniana, za północnym światem,
Odkwitniesz w jego ogrodzie pamięci.

A jeśli czasem kwiat twego imienia,
Owionie oddech północnego grudnia;
Ogród pamięci ma słońce wspomnienia,
Co mu przygrzeje promieniem południa.



ANAKREONTYKI.



I.

Hejże dalej do wina!
Niechże dziś nie dziewczyna
Z ładnym okiem, z uśmiechem,
Lecz niech chłopiec, podczaszy
Zadzwoni nam kielichem,
Zagra muzyką flaszki!
Ile krajów, win tyle
Postawcie mi na stole;
Co zdążam, po mej sile,
W uczującym kole,
Wypiję, i wesoło
Znów kolej posłę w koło.
Niech burgundzka jagoda
Co łyże leje różowe
Co jak w uczyt godowe
Naręczona młoda,
W kryształę się rumieni,
Niech nam twarz zaczerwieni!
Bogdaj takie łyże winne!

Te jak grzechy dziecinne
Nie ciąży nam ołowiem
Na sercu, na sumieniu;
Lecz na mózgu, na głowie —
Darzą siłą i zdrowiem,
Tylko w myśli zdurzeniu
Płaczą słowa w rozmowie;
Ktoś niewieściem muszkatem
Niech wypełnia puhary!
Przy palącej Maderze;
Kosztowny długim latem
Dziś u mnie sotern stary,
Pierwsze holdy odbierze.
Patrz sotern! złoto czyste,
Najpierwszy z win nektaru!
Gdy po brzegach puharu
Skry jak gwiazdy zapali,
Tak iskrzące, przejrzyste!
Nektar z brzegów się wzbiera,
Myśl, jak s konchy Wenera,
Pośród soternu fali:
W mózgu lęgnie się, rodzi;
Wprzód na twarz nam wschodzi,
Wprzód w oczach błyszczy, świeci,
Aż przez usta wyleci.
Kto miłością pijany,
Kochający, kochany
Sam do mnie! w ręce twoje!

Niech miłośna tęsknota
 Utonie w winne zdroje!
 Więc jak złoto do złota,
 Przrzucź żar do płomienia!
 Kto skarżysz w złe godziny
 Na nieczułość dziewczyny,
 Kto wśród nudow pożaru
 Łajesz drugich i siebie,
 Pij! a wiedz że dla ciebie
 Leży na dnie puharu
 Talizman zapomnienia.

II.

Gdzie te czasy, wiek złoty,
 Wiek pieśni, męstwa, cnoty,
 Ogień Prometeusza?
 Którym rozgrzana dusza
 Kochała i marzyła,
 Ach, tak ognistą była!
 Gdy miłośne westchnienia,
 Gdy namiętne spójrzzenia,
 Namiętne pocałunki,
 Krew nam w żyłach paliły,
 Zmysły, duszę poły,
 Dzisiaj zwietrzały te trunki!
 A ten z nieba skradziony
 Ogień w ludziach zgaszony!

Ledwo zakradł się w winic,
 Co po pięknej dziewczynie?
 Gdy od chłopca dziś stroni,
 Gdy dłoń wymyka z dłoni;
 Ni nań spójrzy uprzejmie,
 Ni go czule obejmie.
 Twarz swą barwi tęsknotą,
 Wzrokiem czułość udaje;
 A gdy jej serce daje,
 Ona pyta o złoto!
 Gdy pozna że kochana,
 Z wyklamaną czułością
 Rajskiem słowem, miłością,
 Złowi serce młodzieży,
 Potém zdradzi, odbieży.
 Patrz! butelka szampana!
 Oderwij z niej pieczęci,
 Jak wre, szumi, wir kręci,
 Korkiem w górę szturmuj.
 Wiercie mi! nie w dziewczynie,
 Nie w ludziach, lecz w tém winic
 Dzisiaj jeszcze się znajduje
 Ogień Prometeusza;
 Więc duszo bez kuntusza
 Hulaj, pij, brodź w nektarze!
 Gdy choć kropla w puharze
 Zakradnie ci się na dnie,
 Lej! niech na serce spadnie!

Niechaj pali, niech płonie,
 W serce wsięknie, utonie
 Całą treścią palącą!
 Aż mię całkiem owionie
 Taki żar, takie gorąco!
 Aż grzany ogniem wina
 Zapomnę choć w ułudzie,
 Ze jest zimna dziewczyna,
 I że są zimni ludzie.



L I S T Y.

121

Wiersze w podniebie i w powietrzu
W przeszłości i w przyszłości
Czasem przyniesie nam z nieba
Niś cie przyniesie z nieba
Aż na ciekawym świecie twoje oko
Lecz kto jak ty to szerokie powietrze
Poboczył tobie niemiłymi w powietrzu
Taki przyniesie nam z nieba

W I E S Z E

I.

DO ADAMA MICKIEWICZA.

(w dzień jego imienia.)

Zaledwo błysnę ranek, a słońce z obłoku
Złoty włos rozwinęło na szkarłacie wschodu;
Jakże piękny dzień wschodzi o zachodzie roku,
Dzień twojego imienia, dzień twojego rodu.
Adamie! jeśli święcim uroczyste świętki,
Ten stokroć uroczystszy s twój dla nas pamiątki:
Bo choć wielkim gościńcem los nam ciebie dzieli,
Tyś zawsze bliski serca twoich przyjacieli.

Lecz czegoż ci wieszować, czego życzyć trzeba?
Tobie, co wyroiwszy idealne nieba,
Jak meteor przelotny goszcząc na tej ziemi,
W podniebnych sferach mieszkasz myślami swojemi!
Ty jak duch, co po długiej cierpieniu życia probie,

Raz wróciwszy do ziemi, skąd swój wziął początek,
 Wstaje w północ, i krąży przy swym własnym grobie;
 W przeszłości tylko bawisz s cieniami pamiętek.
 Czegoż pragniesz Adamie? złoto cię nie wabi,
 Ni cię purpura stroi s tyryjskich jedwabi;
 Ani za cackiem szczęścia twoje oko goni:
 Lecz kto jak ty ze szczodrej przyrodzenia dłoni,
 Podobny tobie talent otrzymał w posagu,
 Taki bogatszy, niżby posiadał złoto Tagu.

Szczęśliwe gwiazdy twoję kolebkę najrzały!
 Natura, jeszcze w pićrwsze twoich dni poranki,
 Dzieckiem w pierś twoję wieszce rzuciła zapaly.
 A jak dłótem kształcający obraz swęj kochanki,
 Pigmalion w miłosném objęciu do razu
 Swym pocałunkiem rozgrzał zimne usta glazu,
 Zarzucił jej uścisk; — i w słodkim zachwycie;
 Zaraz młodzieńczą żądzą twoja pierś zapłonie;
 Natura obojętna, tajemnicze życie
 Odetchnęła na twojem poetyckim łonie,
 Wnet serce twe uczucie piękności poruszy,
 Człowiek jak we zwierciadle przejrzał się w twęj duszy.

Lecz skąd ta twoich pieśni harmonija dzika?
 Skąd ci lutnia żalobna przypadła do smaku?
 Czemu tak, jak ów orzeł w podobłocznym szlaku,
 Co niecierpiący swoich lotów rowiennika,
 Topi się w chmurach próżen śmiertelnęj bojaźni,

Samowładnie królujesz w sferach wyobraźni?
 Bo czy z gminnej powieści wyczerpując skarby,
 Gminu mowę ubierasz w poetyckie farby;
 Czy własną skargą drażniąc własne serca rany,
 S samym Bajronem walczysz o palmę wygranęj:
 Zawsze, jak ta syrena swém łudzzącą pieniem,
 Krępujesz nasze serca silném zachwyceniem;
 Jakkolwiek bądź Adamie! daj swe słyszeć pienia,
 Orzeźwij nową pracą nieczynnego ducha,
 A harmoniją pieśni znowu brzmiąc do ucha,
 Nowém dziełem uwiecznij dzień twego imienia.

Nuż twa muza nowými zbogacona plony,
 Tam gdzie Kafa (*) śniegami uwieńczywszy skronie,
 Niższym góróm panuje na skalistym tronie:
 Zwiedziwszy Krymu grody, Georgii strony,
 Do swęj barwy wschodniego nasiękła koloru?
 Więc zanóć nam Adamie od granic Bosporu!
 A sława zmordowana nabrawszy ochoty,
 Znow na twoje pochwały swe rozwinie loty.

r. 1825 Wilno.

(*) Góra Kaukaz.

II.

DO EDWARDA ODYŃCA.

Powiedz mi mój Edwardzie! powiedz, skąd pochodzi,
 Że ledwo zegar czasu piąty dzień obchodzi,
 Aż nim tydzień odciągnie na tablicy roku,
 Już każda chwila wiekiem staje się bez ciebie.
 Bo czy się wschodnie słońce wyiskrzy na niebie,
 Czyli gwiazda wieczorna sen porai oku,
 Zawsze skarzę dnia długość! zda się że czas wprzódy
 Bystrzejsze, dla mnie tylko oleniwił chody,
 Śnać nie rychło cię grasza powita stolica,
 Silniej cię nad nią więzi Kowna okolica.
 To miasto, hołdujące Riejsutowej własci,
 Długo Wilnu rowienne nadstawiało czoła,
 Stąd Litwin, swe grabieże szłąc w niemieckie siola,
 Nieraz s chwałą krzyżackie odganiał napaści;
 Nieraz tu dziec zamorska zbrojnymi tłumami,
 Całą północ załala, i waleczyła z nami.
 Do dziś tam widać zamku sterczące bezłady,
 Niegdyś olbrzymie w niebo dźwigając kolumny
 Nie jednym szturmom zdzierzał swą obroną dumny,
 Nie jedne przezeń przeszły kul ogniste grady;
 Wkońcu mdlejąc powoli, śród wichrów zapasu,
 Runął, dotknięty berłem żelaznego czasu.

Lecz po co ze snu wieków dawne budzić dzieje?
 Blask ich, jak lampa grobu, słabem światłem tleje:

Albo zaszcze rdzą czasu giną w myśli zmierzchu,
 Chwastami niepamięci porosłe po wierzech.
 Trudno się myśl przeciska przez wieków ruiny,
 Lecz temu, kto nad gminną sferę wzwyy uleci,
 Jak brylant brazylijskiej mieszkawiec doliny,
 Po nocach niepewności gwiazda wschodu świeci.
 Więc na nie tajemnicze zarzućmy zasłony,
 Pono z inną dziś myślą w te pobiegłeś strony.
 Przypomnij, coś tam uczuł w zawczorajszym roku,
 Tam myśl twoja, jak piorun po mglistym obłoku
 Pogoniwszy w przeszłości pokruszonej szczątki,
 W jej gruzach dziś nie jedne odgrzebie pamiętki.
 Tam jako fenix, siebie zaniejszą połową,
 Terazniejszością w przeszłość odkwitniesz na nowo.
 Jednakże upojony pamiętek urokiem,
 Pomnij swą czułość trzymać na rossądku straży;
 By nimfa pięknych dolin, lub srebrnej Niewiaży,
 Znówu cię czerodzijskim nie urzekła okiem.
 Sam wiesz, jak niebezpieczny pocisk jej spojżenia,
 A więc dawne s pamięci wywołaj wspomnienia!
 Bo serce raz zranione snadniej się skaleczy,
 A rana podrażniona nie łatwo się leczy,
 Lepiej sielskiej dziewicy swoje oddaj serce,
 Wszak i Kownu nie zhywa na pięknej pasterce.

Lecz już ty s końcem maja muz kochanku młody,
 Poetykiemiś Litwę udarował plody.

Już na niemeńskich błoniach, u Wilii brzega,
 Wdzięcznie się w uchu ziomeków twoja pieśń rozlega.
 Całe Wilno brzmi jeszcze twoich wierszy echem,
 Przybywaj więc, przybywaj Edwardzie s pośpiechem!
 Niech tu rad własną chwałą słuch się twój napoi,
 Niech się tobą nacieszą przyjaciele twoi:
 A z jakim sercem byłeś ode mnie żegnany,
 S témże samém i dzisiaj będziesz powitany.

r. 1825 Wilno.

III.

DO ALEXANDRA CHODŹKI.

*Coelum non animum mutant, qui trans
 mare currunt.*

HORAT. EPIST.

Już pono szósty miesiąc, jak s czasów wymiaru
 Zakreśla nam skazówka wiecznego zegaru,
 A jeszcze czekam skutku twojej zapowiedzi!
 Powiedz mi, czy twe serce wykształcone z miedzi,
 Czyś zwlekając na dalej pisać się zalenił,
 Czyli ze zmianą nieba i serceś odmienił?
 Lecz mniejsza, dość tych sporów; dziś w naszym rozdziale,
 Nie waśnie, bardziej obu przystoją nam żale.
 A jeśli chcesz co prędzej zawstydzić mą zrzędę,
 Napisz tylko, a więcej gniewać się nie będę.

Sam wyznaj, jeśli duszy znana ci wymowa,
 Jak słodka nieobecnym listowna rozmowa!
 Chwała temu, kto pierwszy pisma wynalasku
 Udzielił, swoje cyfry malując na piasku:
 Kto pierwszy, w jarzmo pióra słowa wprzącłszy ścisłej,
 Głosa i głosu niemęj przypożyczył myśli.

Gdzież jesteś Alexandrze? czyś zdrow, czyś wesoly?
 Czy jeszcze masz w pamięci dawne przyjacioly?
 Czy ci zima północna twych uczuć nie ziębi?
 Czy myśl twoja odbita w przeszłych czasów głębi,
 Jak grających kolorów siedmiofarbna wstęga
 Wielkim łukiem śmigając w błękit niebokrega,
 Obu końcami zda się przeginać do ziemi,
 Jeszcze kiedy się zbiega z myślami naszemi?
 Czy cię kiedy natchnienia zagrzewają wieszczę,
 Czy w poezii sferach myśl twa gości jeszcze?
 Gdzie dueh Bajrona w kształcie wielkiego olbrzyma
 Wydarte Greków berło geniuszu trzyma.

Szczęśliwys! ni cię troska zasepi żalobą,
 I przeszłość jeszcze s tobą, i przyszłość przed tobą!
 Niedługo może mroźne rzuciwszy Tryony,
 I wdziękiem, i pięknością miéjsca przychęcony,
 Pobiegiesz między kraje czarodziejskie Wschodu:
 Gdzie, nakształ bajecznego Armidy ogrodu,
 Wieczne sobie pałace zbudowała wiosna;
 Gdzie słońce, jak o świecie dziewica miłobna,

Naprzód wzrokiem ognistym rzuca na młodzieńca,
 Świecąc gorącą, pierwszy promień swój poświęca;
 Gdzie same skały, co gdzieś grzbiot dźwigają nagi,
 Hojniejszemi natura nadała posagi.
 Tam to nieraz dziwiąca podróżnika oczy,
 Tempe kwietne doliny przed tobą rostoczy.
 I gdzie Teby kwitnęły, możne syrakuzy;
 A choć je grube czasu przysunęły gruzy,
 Choć w łonie ziemi leżą zasute głęboko,
 Łatwo je znaleźć twojej wyobraźni oko.
 Na nich to zaprawując twój pędzel bogaty,
 Polskie niwy we wschodnie poustrajaj kwiaty.

O jeśli dobre chęci są u ciebie w cenie,
 Przyjm szczere przyjaciela na drogę życzenie!
 Niechaj gwiazdy przyjazne co ci świecić mają,
 Los pożądnny, i podróż szczęśliwą naraja.
 A czy przez stałe lądy poniesiesz twe stopy,
 Czy się łodzią zapuścisz na morskie potopy,
 Niech się wichrów przed tobą pociszą swawole!
 Panuj tam, jak na sobie służebnym żywiole.
 A za przyjaźnią wiatrów, niewstrzymany w biegu,
 Zdrow i wesoł dopływaj żadanego brzegu.
 Więc nim s czasem cię losy spotkają łaskawsze,
 Bywaj zdrow, pisuj do mnie i kochaj mię zawsze.

r. 1826 *W ilno.*

IV.

D O W. W.

Jeślić w myśli przytomne przeszłych czasów dzieje,
 Jeśli ci terazniejszość przeszłością się śmieje,
 S kraju, gdzieś poznał pierwszej miłości ponęty,
 Od zabrzeża Prypeci piszę ci Walenty!
 Miejsce to dla nas obu urok ma niemaly,
 I jam tu pierwsze uczuł kupida postrzaly.
 Mały bożek, a ciężkie narzuca nam pęta!
 Dziś, jak Arab idący na mekkańskie święta,
 Choć skarży na upały słońcowego blasku,
 I dniem i nocą brodzi oceany piasku,
 Aż mu xiężyc półkolny z meczetu zaświeci,
 Błądę, a błądę tylko brzegami Prypeci:
 Aż nim moja z wdziękiem anielskiego lica,
 Z uśmiechem wschodniej Peri, zablęśnie dziewica.
 Rzecz dziwna! że w tak pustej, zapadłej krainie,
 Gdzie jak kocyt leniwym nurtem Pina płynie:
 Gdzie tylko dzika kaczka swe rozwija loty,
 I pierzaste po bagnach, wicją się czeroty,
 Tyle kwiatów piękności zarazem wykwita!
 Z zadumieniem przybylec wdzięk tameczny wita,
 Widząc piękne kobiety, przytém dzikość kraju,
 Sam nie wie, dać mu imie czy piekla, czy raj?

Dość o tém — spytasz może, com w tych stronach robił,
 Czym się na przyszłość w zapas życia usposobił?

Bym jak pszczołka zapaśna, pókim jeszcze młody,
 S kwiatów uciech pamiątek powysysał miody.
 Czym wiersz jaki napisał, hym przy młodym rymie,
 Ostygły duch zapalał w późnej wieku zimie?
 Próżne twoje pytania, ni jedno, ni drugie,
 Ty lepiej coś mi napisz na wieczory długie!
 Mnie wsi mieszkanka wieści zabawią stołeczne,
 U nas coraz to krótsze godziny słoneczne:
 Noc dzień prześciga, i nim gnuśna zejdzie zima,
 Białe państwo dnia na wpół pod śwem berłem trzyma.
 Nigdzie ruszyć, śnieg drogi zasypał sąsiednie,
 Wszysey siedząc po domach nudzim niepowszednie.
 Czasami o wieczorniej weselszy godzinie,
 Przemarzę jaką błogą chwilę przy kominie,
 I o sobie, i o was przyjaciele moi,
 Bo między mną a wami myśl się moja dwoi.
 Inna tobie Walenty! wśród ulicznych wrzasków,
 Śród przepychów stolicy, wśród wielmożnych blasków;
 Odurzony tak różnym przedmiotów natłokiem,
 Patrzysz na nie malarza badającym okiem.
 Chwała ci! że twój umysł rad być ciągle czynny,
 I twój pędzel już u nas poprawnością słynny:
 A jeśli ci prac dalszych chęć twa nie poskąpi,
 Godnie nam Czechowicza talent twój zastąpi.
 Lecz słyszę, wkrótce rzucisz Petersburga mury,
 By się napatrzeć wdziękóm południej natury.
 Gdzie Italija piękna wdzięcząc lica swoje,
 Jakby snem czarnoksiężkim pieszcząc oko twoje,

Milszą ziemią, piękniejszą zachwyci cię gwiazdą.
 Zwiedz to święte klasycznych geniuszów gniazdo!
 Tam wszystko ożywione, tam promień stworzenia
 Wyobraźnię silniejszym ogniem rozplomienia!
 Nieme płótne, marmuru nieruchome bryły,
 Przemówiły pod pędzlem, pod dłotem ożyły.
 Błoga ziemia, szczęśliwy na tej ziemi plonie!
 Każde ziarno talentu wylęgłe w jej łonie
 Pod niebem pogodniejszém, przy piękniejszej wiosnie,
 Prędzej niż gdzie dojrzeje i swobodniej wzrośnie.
 My północni, pod mroźne osadzeni nieba,
 Obumarłej naturze darmo się przeciwim,
 Gdy iskrę geniuszu w piersi naszej żywim,
 Aby ją rozdać, słońca italskiego trzeba!
 Spiesz więc tam mój Walenty! zwiedz klasyczne skarby,
 Umocz pędzel w natury czarodziejskie farby;
 I nim, jeżeli wyższe czucie myśl twą wzruszy,
 Wypisz na płótnie całą historję duszy!
 Tak, gdy twój talent w siły porośnie olbrzymie,
 Miej w zysku cześć rodaków, i rozgłośne imię.
 A jeśli wieść ta dojdzie i na moją grzędę,
 O! sercem przyjaciela radować się będę.

V.

D O J. C.

Myślisz może Ignacy, czemu łatwo wierzę,
 S tobą ustnie zawarte żem zgwałcił przymierze;
 Chociaż go stęplowana nic poświadczy karta,
 Znaj więc, że słowność moja wiary twojej warta.
 Dane słowo na duszy ryjmy jak na miedzi,
 Masz list, a z nim i skutek mojej zapowiedzi.
 Co za treść jego będzie? jeszcze w tém zagadka,
 Bo myśl, nakształt w swym pączku więzionego kwiatka,
 Nie wprzód w ziarno się zetnie i w owoc dojrzeje,
 Aż ją promień rozważy blaskiem swym ogrzeje.
 Lecz nie pytaj porządku listownej rozmowy,
 Bom pisząc do przyjaciół nie zwykł suszyć głowy.
 A jeśli go zapragniesz, jak przysłowie niesie,
 Szukaj kłębka po nici, albo błędź jak w lesie.
 Oto słońce dziesiąte już gore nad nami,
 Od czasu gdym Dziewictnią pożegnał ze łzami.
 Wierzaj! nigdy ją pamięć nie przepomni moja,
 W niej grzeczność pięknych dziewic, i gościnność twoja,
 Nie jedną zajmie kartę w xiędze mych pamiętek.
 Tu poznania, tu naszej przyjaźni początek.
 Nieraz może siedzący za pańskimi stoly:
 Gdzie dosyt zbytku dowcip przytępił wesoly,
 Gdzie gwiazdziste pijaki s pawagą na czole,
 Zagrzani winem, gwarzą przy biesiadnym stole. —

Wtedy do cię Ignacy myśl uleci moja,
 Pomysłę sobie w duchu lepsza uczta twoja!
 Choć stoly twe ciężarem sreber nie ciążyły,
 Choć cukrów różnofarbnych zamrożone bryły,
 Brylantowym polyskiem nie lśniły się w oku:
 Miód ojezysty i woda s ciekącego stoku,
 Miłsze były, niż owe przywożne nektary,
 Gdy krwią winnej jagody zofarbują czary.
 Dotąd w myśli uczt naszych żywy obraz stoi,
 Kiedy stół twój zasiedli przyjaciele twoi:
 Kiedy piękna, a skromna jak lilija wodna,
 Przy twym boku usiadła małżonka urodna,
 Gdy twą Stasię małą trzymając na ręku,
 Rumienila się wstydem anielskiego wdzięku.
 A ona, jak dwa róży wychylone pączki,
 Drobnie na jej ramiona zarzucała rączki:
 To do twoich lic męskich wdzięcząc twarz dziecinną,
 Rzewniła cię uśmiechem, i grą słów niewinna.
 Przypomnij nie myślane naszych uczt rozmowy,
 I wesołość zaprawną dowcipnemi słowy.
 Czasem cichość milczącej, spóźnionej wiczerzy,
 Klócił kiedy nie kiedy głośny dźwięk talerzy:
 Ten do marzeń, ów znowu skłaniał się do spania,
 Wtém twój dowcip przerywa ciągłą nić dumania!
 Budzim się, i przez ciebie rzeźwieni na nowo,
 Płnëm uchem chwytamy twe zabawne słowo;
 A śmiech głośny, milkzenie płoszący dokola,
 Z roztwartemi ustami biegał w okrag stola.

I kiedyż ci podobną gościną zawdzięcę?
 O przyjedź tylko do mnie Ignacy, a ręczę
 Że radęj tobie chatki nie rzucisz bez żalu!
 Nie zadziwię cię zbytkiem wykwintnego balu,
 Wierzaj mi, ani tłumnie zaproszonym gminem,
 Nie zamorskim owocem, nie tokajskiém winem,
 Ale sercem otwartém przyjmować cię będę.
 A jeśli twęj zbawiennęj rady nie zabędę,
 Jeśli twojęj podobną znalazłszy kochankę,
 Taką sercem, i licem zaślubię Ziemiankę,
 I tę ci bez zazdrości tak jak ty pokażę ...
 Lecz cyt — już i dwónasta bije na zegarze,
 Chcę pisać, tu jak na złość na sen mi się zbiera,
 Nie trudnego chcącemu, i to prawda szczéra.
 Więc nim wschód słońca gwiazdy zapowiedzą gończe
 Daruj że jeszcze zrzęda list ci mój zakończę.

Pomnisz, jakeśmy nieraz łajali ci za to,
 Ze beczynnie upływa piękne dni twych lato.
 Kiedyś ziarna talentu zasiał w wieku wiosnie,
 Czemuż ich dojrzałości owoc nie dorosnie?
 Maszli więc jak ten skąpy, co z laty długimi
 Uzbierany skarb kryje we wnętrzościach ziemi,
 Niekorzystać sam z darów zesłanych od nieba?
 Że będziesz odtąd pisał, przysiąż mi na Feba!
 Mówisz, złe na wsi pisać wszak śpiewak Blanduzy (*)

(*) O fons Blandusiae splendor vitro.

H O R A T.

Zył na wsi przecie śpiewał za przyjaźnią Muzy.
 Pisz więc, jeszcze do sławy otwarte ci wrota,
 Niechcesz wierszem, pisz prozą na wzór Walterskótą,
 A jeśli z wad lenistwa szczerze się poprawisz,
 Sam na sławę zarobisz, i drugich zabawisz.

r. 1827 Strzała.

VI.

D O L R.

Skąd ci tak smutno piszę, spytasz się Leonie?
 Od wesela do smutku łatwe pójdą wnioski,
 Wszystko ma swe wesele, wszystko ma swe troski.
 I słowik smutnięj śpiewa po kochanki zgonie,
 I dzwon jęcząc nad zgonem tęsknięj brzmi do ucha,
 J gołąb nie wesoło swoje żale grucha,
 Gdy się s swoją gołąbką na chwilę rozdzieli;
 I ja smutny daleki moich przyjacieli.

Błogo temu, kto jeszcze od swoich wydarty,
 Uchem myśli przez pismo głos dalekich słyszy!
 Lżej jest nam własne bole tłumaczyć przez karty,
 I troska powierzona snadnięj się pociszy.
 Wprawdzie głos żalu w ustach naszych złe się wyda,
 Myśl rozżali, i męskość ducha nam zniewieści;
 Lecz surowość stoicka na nic się nie przyda:
 Spytaj wieków, a zawsze był język boleści,
 Zawsze człek skargą żalu do czucia przenikał,

Cierpiał, cierpiąc czuń drugich cierpienia przywykał.
 Gdy walczyć z rozrzewnieniem nie po naszej sile,
 Więc wspomnieniom przeszłości poświęćmy te chwile.
 Nieraz tam mój Leonie nasza myśl ulata,
 Gdzie zielone młodości przekwitnęły lata!
 Przeszłość jakiś ma urok tajemniczy w sobie,
 Jak łza szczera wylana na kochanki grobie;
 A wrodzoną łzy gorycz słodka boleść słodzi,
 Jakaś boleść, co samą rozpacz nam łagodzi.
 Tak za widmem przeszłości wszyscy radzi gonim,
 Szczęście przeszłe nas boli, przecież marzym o nim!
 Cóż gdy jeszcze w niej nasze są zamknięte dzieje,
 I chwile najszczęśliwsze, i piękne nadzieje?
 Gdy rozum się przeczyszczają, pierś czuła głęboko,
 Serce szukało serca, a młodości oko,
 Bystre jak myśl poety, jak skrzydło sokole,
 Biegało na przyszłości ukwiecone pole.

Jednakże ci Leonie wdzięczne Wilna mury,
 I te Popław i Werek piękne okolice,
 I nad samą naturę piękniejszą dziewice,
 I te zamków ruiny dźwigające góry,
 Na które nikt nie rzuci spojrzaniem wesołem;
 Bo duch przeszłej wielkości krąży nad ich czołem.
 Kto jeszcze jak ty lubi xiąg mozolne prace,
 Zwabią go stare nauk i myśli palace. (*)

(*) Uniwersytet Cesarsko-Wileński.

S tego to odwiecznego wielkich mężów gwiazda,
 Błysnęła nam olbrzymia geniuszu gwiazda. (*)
 Jak kometa s pod złotych błyszczący warkoczy,
 Ta z grubej chmury błędów przetarła nam oczy;
 I przepadłszy za wieków ostatnie zasieki,
 Wstecz cofnęła ku zródłóm stare dziejów rzeki.
 Dzis jeszcze, gdy konieczność twarda nas rozdziela,
 Przystojąz naszej twarzy uśmiechy wesela?
 Wszak gdy niebo pochmurne, słońce nie tak błyska,
 I uśmiech mniej wesoły, gdy żal serce ścisza.

Choć pierzchły kształty w jedne zrastające ciała,
 Jeszcze nam po nich przyjaźń i praca została.
 Tą słodźmy nasze troski, a tamtą zagrzani,
 Dzwignijmy myśli nasze s przesądów otchłani!
 Precz ten Franków obyczaj, co nas w pęta kuje?
 Cóż po nim? gdy myśl martwa, serce nie nie czuje.
 W Szyllerów i Bajronów zapuścimy się szlaki!
 Wszak i orły drobniejsze naśladową ptaki:
 Często orła doścignął bystry lot sokoła,
 I byk młodszy starszemu śmiał nadstawić czoła.
 Tak niezrażeni trudem, w wzajemnym przegonie,
 I kształćmy się i piszmy kształceni Leonie!

r. 1827 Strzała.

(*) Joachim Lelewel, były Profesor historii powszechnej w tymże Uniwersytecie.

VII.

DO M. S.

Już drugi rok ugina ciężką czasu szalę,
 Od chwili gdy cię widział kochany Michale!
 Kto tam w ciemnej przyszłości umie czytać snadnie,
 Może się nam już nigdy widzieć nie wypadnie?
 Świat morzem — po niem tysiąc miryadów płynie,
 A rzadki przecie zdrowo do portu zawinie.
 Wszak nieraz, bratnie łodzie żeglujące razem,
 Pan morza wodą zalał, lub potrzaskał głazem.
 Dość o tém — myśl weselsza w mojej świta głowie,
 Wszak *sic fata tulerunt* stare jest przysłowie.
 Bo z działu dostający rozkosz i cierpienia,
 Nikt s śmiertelnych nie umknął sidlóm przeznaczenia.
 Ten tylko u mnie spełna mądrym się rozumie,
 Kto sam sobie w obojój doli rad być umie.
 Życie nasze, sen, mara! więc użyjmy radzi,
 Co i los nam nadarzy, co serce poradzi.
 Kto tam będzie odświeżać raz zleczone bole?
 Ot lepiej co tu robię powiedzieć ci wolę.
 Już nad borem Sporowa trzecie gwiazdy gorą,
 I trzecie słońce gasnąc zapada w jezioro;
 Jak tu zabywszy życia nużącej mozoły,
 Na łonie wsi rokosznej pędzę czas wesoly.
 Sam wiesz, jak prawy uczeń Epikura trzody (*)

(*) Tak Horacjusz w jednym liście swoim zartobliwie siebie nazywa «Epicuri de grege porcum».

Lubię i stół wymysłny i miękkie swobody;
 Lubię, bom nigdy w niczém nie był stoik ścisły,
 I co duszę zachwyca i co łechce zmysły.
 A tu wszystko zarazem znaleźć można snadnie,
 Jedno duszę upieści, drugie zmysł owładnie.
 Rzadka miejsca przysada, dzikie okolice,
 Ogrody od wymysłu, powabne dziewice;
 A co większą przyjemność ta goszczącym czyni,
 Oto słynna gościnność samej gospodyni!

Michale! wielka szkoda że cię tutaj niema,
 Ciebie prawa labirynt w wieżach miasta trzyma;
 Ja dziś na wsi wolniejsze oddycham powietrze,
 Tu czasem lekki dówcip myśl mi nudną przetrze;
 A po dziennych zabawach, gawędce wieczora,
 Idę błędzić brzegami bliskiego jeziora.
 Tam wzrok mój popuściwszy s ciągłym ruchem fali,
 Myślą w błękitniejszą gubię się oddali:
 To zbierając powoli różne marzeń skarby,
 Po mej chęci cieniuję wyobraźni farby;
 To myśl pławiąc na falach stambulskiego dymu,
 Rospierzchłe słowa wprzegam w ciężkie jarzmo rymu.

Otoż masz mój Michale całe me zabawy!
 Sam wyznaj, czyli nad nie miejskie wolisz wrzawy?
 Wróc z miasta! a wtém zda się dobra rada moja.
 Dom twój tęskni po tobie, i rodzina twoja.
 Co do mnie, czy mię znajdziesz? nie daję ci słowa;

Jutro może polegnam mieszkańce Sporowa,
 Jutro jadę, choć tutaj dobrze mi jak w niebie,
 A wierzę, że mi do niego brakło tylko ciebie!

r. 1826 Sporow.

VIII.

D O J. D.

Długo razem Ignacy, dzisiaj tak daleko!
 Miejscem ciebie daleki, ale sercem bliski,
 Wierzę mi, czekam jak rychło chwile, dni przecieką,
 Aż nim ci witające zarzucę uściski.
 Tymczasem piszę tobie — nieraz w oddaleniu,
 Listy są talizmanem przeciw zapomnieniu;
 Nieraz tych, co w dalekie gdzieś zabiegli światy,
 Których smutek pokrewny już oplakał straty,
 O których sama pamięć s czasem była starta,
 Zapomnianych wędrowną przypomniła karta.

Już trzeci miesiąc mija, jak mieszkaniec miasta,
 Wsi odbiegłszy, oglądam Petersburga mury.
 Piękne miasto! nie darmo ciekawość w nas wzrasta.
 By widzieć jego gmachy piętrzące się w chmury;
 I dziwiące granitów ogromnością bryły,
 Co na ludzkie roskazy zeszyły się, spoiły:
 Pośród których spokojnie wielka Newa płynie,
 Jak zrzódło w marmurowe zamknięte naczynie.
 Wszystko tutaj przybyłca rychło łechce zmysły,

Zaprawdę zmysł, — a duszę wiąże łańcuch ścisły:
 Lecz dla duszy Ignacy, innej karmi trzeba,
 Rozmaitszej natury, słonecznego nieba.
 A tu słońce, jak światło na tanim pogrzebie,
 Skąpym blaskiem przyswieca na poel murném niebie.
 Dzień krótki, rzekłbyś, nocy wlokąca się szata
 Ostatnim rąbkiem cieniu pośród dnia zamiata.
 Jest, mówią, dzień polarny, dzień wielki, bez końca,
 Wciąż świecący, bez wschodu i zachodu słońca;
 Jakże pragnę go ujrzeć! lecz lato daleko,
 A tymczasem zimowe dni długo się wleka.
 Może powiesz, masz xięgi! cóż stąd? gdy niestety!
 Nieradzi w nich smakują leniwe poety.
 Zaprawdę, martwe słowa nie mają potęgi,
 O żaden wieszcz natchnienia nie zaczerpnął s xięgi!
 A dla nas natchnień trzeba — miejscy ludzie, mury,
 Bawią nam myśl i oko, lecz uczucie głuszają:
 Oko pięknej, krajobraz żyjącej natury,
 I milcząca rozmowa gór i nieba z duszą,
 Oto są zrzódła natchnień; błogi kto z nich pije!
 Lecz nikt tego pragnienia w mieście nie przystudzi:
 Tu serce odrętwione śród ziębiących ludzi,
 Jak Chameleon wiatrem, pamiętkami żyje,
 Ty co jeszcze się kopiesz z żądzą Psychologa,
 W głębokich minach myśli, tuby cię zwabiła
 Kręcąca się manowcem doświadczenia droga.
 Dla mnie pielgrzymka po niej nie jest arcymila:
 Doświadczenie jest drugim probierczym kamieniem,

Na nim serce, jak złoto, za każdym dotknięciem,
 Sciera się, i część siebie zostawia po sobie,
 Aż same w powtarzanej skamienieje probie.

Może znudzony trudem rolniczej mozoły,
 Zazdrościsz mi, że w mieście pędzę czas wesoły?
 Sam wiesz, miasto dla młodych jakie ma ponęty!
 W niém czynném próżnowaniem każdy dzień zajęty.
 Lecz tu niema najlepszych naszych przyjacieli,
 Od jednych ziemie, morze od drugich nas dzieli!
 A jednemu, jak mówią, żyć na świecie nudno,
 Serce do obcych ludzi przywyka dość trudno.
 Stémwszystkiem mój tu w mieście pobyt nie jałowy,
 Nie szczupły zbieram zapas do naszej rozmowy:
 A gdy nowy cel jaki chęci mych nie zmieni,
 Wrócę na wieś s początkiem następnej jesieni.
 Tam to luby Ignacy! po długim rozdziale,
 Z upragnieniem pomówim s sobą poufale.
 A gdy szara wieczora nadpłynie godzina,
 Zasiądnem przy ognisku twojego komina.
 Twój pies, naszej gawędki powiernik jedyny,
 U nóg naszych przeleży wieczorne godziny.
 Tam za zdrowie wzajemne pękna wina flasze,
 Lub zamorskim porterem mącąc mozgi nasze,
 W rokoszném upojeniu i serca, i głowy,
 Wypróznim cały zapas wzajemnej rozmowy.

Wydane w Petersburgu r. 1829.

B B J R A M.

POWIEŚĆ TURECKA.

B E J A A K .

(*) «Ludzie mi chwałą roskosze Edenu,
Kwiaty Edenu, co miłsze tchną wonie,
Niż nasze róże córki łąk Jemenu.
Cóż gdy wyższego szczęścia, i po zgonie,
Nad miłość, której hołdujem na świccie,
Nam nie przyrzekasz wielki Mahomecie ?

(*) Piosnka ta jest naśladowaniem następnych stro-
fek s poezii Tomasza Moora.

*Tell me not of joys above
If thath world can give no bliss
Truer, happier than the Love
Which enslaves our souls in this.*

*Tell me not of Houris' eyes
Far from me their dangerous glow!
If those looks that light the skies
Wound like some that burn below!*

*Who that feels what Love is here
All ist falsehood — all ist pain —
Would, for ev'n Elysium's sphere,
Risk the fatal dream again?*

LALLA ROUKH.

Mówisz mi piękne mam huri u siebie!
 Precz mi ich oczu ogniste spójżenia:
 Jeśli te oczy jaśniejące w niebie,
 Zbrojne w niebieski urok przymilenia,
 Pałą nam serca ogniami swojemi,
 Jak te śmiertelne co gorą na ziemi.

Któż z dzieci słońca byłby tak zuchwały,
 Znając już miłość jej trwogi, jej męki,
 Ślepe obludy, nierozważne szaly;
 Coby w nagrodę za niebieskie wdzięki
 Nieśmiertelnego Edenu mieszkania,
 Śmiał się odważyć choć na sen kochania? •

Piosnka ta wszystkim znajoma na Wschodzie,
 Kiedy na morze mrók zapada szary,
 Błądną się łodzią ślizgając po wodzie,
 Majtek ją nóci przy dźwięku gitary;
 Nocą greczynki, każda nótą swoją,
 Gdy kochać pragną, i kochać się boją.

Tam gdzie są w ludziach namiętności wżące,
 Tam inna miłość włada między niemi:
 Tak jest ognista jak ich nieba słońce,
 I tak uroczna jak kwiaty ich ziemi,
 I tak burząca jak wiatr ich pustyni,
 Razem i szczęścia i nieszczęść sprawczyni.

Czemu na ziemi, zapytaj kochanka!
 Tak mirt i cyprys ciąglą przyjaźń chowa?
 Często do mirtu weselnego wianka
 Miesza się czarna gałąź cyprysowa:
 Smutna jak chmura na pogodnym niebie,
 Dzika jak uśmiech na łzawym pogrzebie.

Był Ali-pasza wielkich wsi bogaczem,
 Możny urzędem i jasnością rodu;
 Dwór jego, ziemie wschodu i zachodu
 Swoich piękności darzyły haraczem:
 Tłum wdzięków kwitnął po salach haremu,
 A jedna Leli podoba się jemu.

Kochał on Leli — i któż cudnej Leli
 Nie sławił wdzięków w Mahomeda kraju?
 Twarzą wstydziła śnieg łabędziej bieli,
 Kwiat najpiękniejszy w Alego seraju!
 A ogień w dużym w czarnym Leli oku,
 Takim grał blaskiem jak brylant o zmroku.

Któż był o Paszo szczęśliwszym od ciebie,
 Gdys Leli pieścił o wieczornej dobie?
 Nawet sam Allah królujący w niebie,
 Tej by roskoszy pozazdrościł tobie!
 Na sam jej uśmiech, na sam rzut jej oka
 Z niebios by sstał się święty duch Proroka.

Pasza nie skąpi ni pieczęci ni złota,
Lecz jego uczuć Leli nie podziela:
Leli posępna, jakowaś tęsknota
Lica jej mroczy, a uśmiech wesela,
Jak ów w ogrodzie kwiat zazarowany,
Na smutném licu kwitnie niewidziany.

Bo powiadają, od czasu że Leli
Jak do Alego haremu przybyła,
Nigdy jej rozmów, śmiechów nie słyszeli,
Że ciągle smutna i milcząca była.
Ale jej oczy co ogniem jaśniały,
Widać, że kiedyś z uśmiechem się znały.

Nieraz to było, gdy w dzień Róży święta (!)
Po kwiatnych łąkach, przy świetle księżycy,
Grają, tańczują haremu dziewczęta,
Ona gwiazd tylko blaskiem się zachwyca;
Wzdycha, od nieba wzrok spuszcza do ziemi,
Lecz nie tańczy, lecz nie igrą z niemi.

Nieraz w ognistych objęciach Alego,
Jak zimny posąg marmuru spoczywa,
I swoich wstrętów nie kryje dla niego:
Gdy ją całuje, wnet usta odrywa,
Jej ręka z objąć bez życia odpada,
Serce nie bije, twarz jej zimna, blada.

Pasza w tajemnej komnacie seraju
Siedział na sofie krytej axamitem,
I czego nigdy nie miał we zwyczaju,
Mysłał, s pościeli zerwał się przed świtem;
Mysłem pomagał ciągłym ruchem głowy,
A wzrok miał dziki, iskrzący, surowy.

To wkolo siebie zataczając okiem
Przymknął się ku drzwiom, i nadstawia ucha;
To po komnacie wielkim chodząc krokiem,
Mówi do siebie — i sam siebie słucha.
Zżyma się, ręką długą brodę głaszcząc,
Ściąga ramiona, i na sługi klaszcząc.

«Chodź sam tu chłopcze! wołać mi Hafada,
Wodza cunuchów mojego haremu!»
I poszedł chłopiec wołać go — «o biada,
Pomyślał pasza, wielka biada jemu!
Jeśli mi nędznik w czém się przeniewierzył;
Jeśli haremu komu klucz powierzył.

Ach jeśli ona!» — wtém się drzwi otwarły,
Wszedł siwy Hafad z giermkami, s paziami,
A obok jego dwa stąpają karły;
Sam z złożonemi na piersiach rękami,
Choć już był długim latem pochylony,
Przed paszą niskie wybijał pokłony.

«Słuchaj Hafadzie! lecz nim mię posłuchasz,
Oddał swe karły, i giermki, i pazię,
Słuchaj Hafadzie! kiedy żar rozdmuchasz,
Wnet on wypali plamy na żelazie;
Na kogo iskra mojej zemsty padnie,
Wnet tego pożar niszczący owładnie.

Jeśliś mą Leli za służby najemne
Zaprzedał komu, niech cię zle uchowa!
Jeśli s kim schadzki miewała tajemne,
Patrz! na tym stryczku zawisnie twa głowa!
A co wyrzekłem, mić w myśli przytomnie,
Tymczasem starcze przyprowadź ją do mnie!»

Hafad w milczeniu zniósł obelgi paszy,
Niewolnik pana słowa ma na względzie;
Tam gdzie niewola ust wymowę straszy,
Tam jedno « Stań się » jedno « niech tak będzie »
Jak czarnoksiężski talizman wyrazu,
Lst milijony zamyka do razu.

Tentent idących rozdał się po murach,
Pasza z miłością, z gniewem się pasował;
Już szelest sukni po śliskich marmurach,
Przyjście mu Leli co chwilę zwiastował;
Tentent idących rozdał się we dwoje,
Brząkły wrzyciądźce, skrzypnęły podwoje.

I weszła Leli nieśmiała i drżąca,
Muslinny welon, jak biały obłoczek
Krażący w koło srebrnego miesiąca,
Przejrzysty welon, przez który jej oczek
Blask się przebijał, jak z mgły błyskawica,
Spadając s czoła obwiewał jej lica.

Pasza i Leli sam na sam zostali,
Przez okno tylko wpadał promyk ranny;
Zmierzchno i cicho było jeszcze w sali,
Cichość przerywał jeden szmer fontanny,
Która tryskając w wanny marmurowe,
S szumem zlewała swe krople perłowe.

Długo milczeli, wtém pasza zawoła:
Nie głosem wdzięcznym co s serca pochodzi,
Lecz grzmiącym, jak jest głos śmierci aniola,
Kiedy po duszę zbrodniarza przychodzi;
A w którym zbrodniarz jęk piekielny słyszy,
Jęk dziki przyszłych swoich towarzyszy.

«Słuchaj niewierna! gdzieś mi była wczora
Gdym ja cię wzywał do wonnej kąpieli?
Skąd te samotne przechadzki wieczora?
O niech piorunem we mnie Allah strzeli!
I ty i Hafad — jutro, za godzinę . . .
Lub wnet mi klękaj, i wyznaj twą winę.»

Pasza w zapale i fukał, i groził,
Leli jak posąg nieruchoma stoi:
Czy już tak dreszcz ją śmiertelny zamroził,
Że skinać ręką, rzec słowo się boi.
Wtém twarz zakrytą muślinnym obłokiem
Odsłania, ciska na Alego okiem.

«Posłuchaj paszo! posłuchaj, jam winna!
Hafad nie winien — wieczor był pogodny,
Przyszła do głowy jakaś myśl dziecinną:
Sam wiesz, gdzie ogród grodzi parkan wodaj,
Na prawo rośnie wielki krzak jażminu,
A pod jażminem jest ławka z bursztynu.

Tam ja znużona przechadzką w ogrodzie,
Lubię wypocząć — stroję w kwiaty głowę;
Lubię żegnając słońce na zachodzie,
Liczyć różańca ziarna rubinowe.
Ja lubię razem ze słowika pieniem,
Witać noc piękną modlitwą, westchnieniem.

Tam ja co wieczor jedną gwiazdę witam,
Gwiazdę strażniczkę moich lat dziecinnych!
Tam ja co wieczor, tam ustami chwytam
Wiejące wiatry z moich strón rodzinnych;
Gdzie pośród Kleftów, o pamięci kłiwa! (2)
Byłam kochana, tak byłam szczęśliwa!

— «Dość, dość niewierna! każde słowo twoje,
Po kropli jadu zda się w ucho leje;
Znam ja psy Klefity! dziś seraj uzbroję,
A jutro z mieczem spoluję ich knieje!
Z mieczem i z ogniem — w dzikim zemsty szale,
Co miecz oszczędzi, to ogniem wypale.

Jutro tych zwierząt wysłędzę pieczary,
Gdy miecz mój błysnie, zdrzycie Kleftowie!
Sam krwią ich wodza naleję pułhary,
I pierwszy wniosę toast za twe zdrowie!
Jutro!» to słowo dzikim głosem wizasnął,
Wyszedł i ręką mocno drzwi zatrzasnął.

Leli została zbladła, sama jedna,
Przez okno jaśniej wpadał promyk ranny:
Powiedz, co myślisz, o greczynko biedna!
Czy słuchasz szmeru bijącej fontanny,
Czy kogo płaczesz, czy myśl twa zajęta
Wieczorną ucztą, dniem Bejramu świętą? (3)

Właśnie gdy xiężyc w srebrny nów zachodzi,
Nim bladym złotem swe zapelni rogi,
Post Ramadanu cały kraj obchodzi,
I grób Proroka lud nawiedza mnogi;
Każdy muslemin za swego żywota,
Choć raz przejść musi przez zbawienia wrota.

I po gościńcach, po miasta ulicach,
 Ze wschodu ciągną pielgrzymy od Meki;
 W znojonych czołach, w ogorzałych licach,
 Widać że każdy zwiedził kraj daleki.
 Za niemi idą wozy, karawany,
 A każdy Hassal (*) w biały płaszcz ubrany.

Gdzie cmentarz wkoło sam cyprys obrasta,
 Przy nim, wieżami, rzeźbą ozdobiony,
 Bogaty Meczet wznosi się wśród miasta;
 W nim wiszą złotem pisane zasłony, (4)
 Wklęsłe sklepienia zdobi szafir drogi,
 A biały marmur wyściła podłogi.

I w nim się modlą pobożni Hassale,
 Wielbiąc Allaha za podróż szczęśliwą;
 W obrzędnych sukniach ubrani wspaniale,
 Ku drzwiom meczetu już spieszą co żywo
 Pasza, dwór jego, i miasta Agowie;
 Strofy koranu czytają Muftowie.

Poranny izan s króźganków meczetu (5)
 Wiernym Proroka modlitwę zwiastował;
 Blachami kryte dachy minaretu,

(*) Każdy na wschodzie odprawujący pielgrzymkę do Meki przyjmuje zarazem na siebie przezwisko Hassal.

Mœurs des Ottomans p. 61.

Wschód słońca blaskiem i złotem małowal;
 Miasto jak we śnie, głucha cichość wszędy,
 Wszystkich zajmują nabożne obrzędy.

Psy po ulicach miasta rozrzucone
 Spały, choć słońce już było wysoko;
 Wtém nagłym, mocnym, choć spały głęboko,
 Rżeniem, tententem konia przebudzone,
 Otwarłszy senne oczy do połowy,
 Od ziemi ciężkie snem podniosły głowy.

Czy w dzień z mogiły jakie widmo śmiało,
 Wstało, zwiedzone cmentarzową ciszą?
 Cóż tam bieleje? to gołębie białe
 Jak gwiazdki śniegu na cyprysach wiszą.
 Nie — to przez czarne liścia cyprysowe,
 Rzędem turbany bieleją grobowe.

Coraz wyraźniej jakiś połysk zbroi
 Zdała migóce przy słońca promieniu,
 Jakiś koń biały przy cyprysie stoi,
 A przy nim rycerz w tureckim odzieniu.
 Koń ziemię kopie gniewnemi kopyty,
 A cały pianą i znojem okryty.

Rycerz porzucił i konia i zbroje,
 Wnet na cyprysie długi płaszcz zawicsza;
 I podwowszy ręce kroki swoje,

Co prędzej ku drzwióm meczetu pośpiesza:
Wszedł, spojrzął wkoło, i znów rączym krokiem
Wyszedł, rzuciwszy na Alego okiem.

I znowu śpieszno na cmentarz powraca,
Zdjął płaszcz s cyprysa, zbroię podjął z ziemi;
Skoczył na konia, kolcami ostrémi
Śpiął go, i cugłem na prawo nawraca;
Skoczył na ziemię, do bramy haremu
Biegł co miał siły, lecz po co i czemu?

Zastukał w bramę, i drzwi się otwarły,
Ścisnieniem ręki powitał Hafada;
Wtem Hafad skinął na dwa nieme karły,
Co mają robić gościem odpowiada.
Jeden zasuwą wrzeciǎdze ze stali,
Drugi rycerza poprowadził dalej.

I szli przez kręte tajemne przechody,
Aż w końcu przyszli pod parkan wysoki,
Gdzie leżą piękne haremu ogrody:
Rycerz twarz swoją ukrył w płaszcz szeroki,
Karzeł rycerza wpuścił w drzwi ogrodu,
A sam na straży pozostał u wchodu.

Rycerz w ogrodzie jak w sennych marzeniach,
Wszystko go dziwi i lechce roskoszǎ;
Tysiące kwiatów błyszczą po zieleniach,

Nad niémi tłumem ciągle się unoszą
Wschodnie motyle — a bystrym poletem
Kołując, świecą farbami i złotem.

Woniǎ stólistnej przychęcony róży,
Ten uwiązł na niéj jakby na lep sidel;
Ci już w skrzydlatéj znużeni podróży,
Złociste pyłki strzǎsają ze skrzydeł;
Za których lekkim, migotném wzruszeniem,
Same się zdają tęczowym promieniem.

Rycerz szedł ciągle, gdzie brzegiem jeziora
Bieleją wonne akacii gaje;
Dzień był gorący, i południa pora,
On raz przyspiesza kroku, znowu staje,
Zerwał dwie białe akacii kity,
Potem je rzucił — i stanął jak wryty.

On wzrok i ucho natęży ciekawie,
Raz jakiś szelest, znów jakiś wrzask słyzy.
Czy wiatr tak głośnie zaszumił po trawie,
Że budzi echa w ogrodowej ciszy?
Może szmer źródłu, lub dźwięk brzmiący szklanny,
W głébi ogrodu bijącej fontanny.

Już słyhać coraz wyraźniéj i bliżéj,
Jakieś uśmiéchy, rozmowy, szeptania;
Dziewice biegną, a każda co chyżéj

Jedna za drugą po trawach ugania;
W głębi ogrodu brzmią muzyki dźwięki,
Dziewice jakicś śpiwają piosenki.

Przy słońca promieniu;
W palmowych drzew cieniu,
My kwiaty zbieramy;
Tańcujem, śpiwamy,
Depcąc murawy kobierce.
Choć nasze tu czola,
Zdobi kwiatów wiele;
Choć brzmi pieśń wesola,
Nic zawsze wesele
Brzmi nasza dusza i serce.

Choć tu uciech mamy,
I złota dowoli;
My przecież wzdychamy,
Do szczęśliwszćj doli:
Do naszych krajów rodzinnych!
My dziś piękne, młode,
Lecz gdy czas z latami
Zeszpeci urodę,
Cóż zostanie z nami,
Prócz dawnych wspomnień dziecińczych?

Co z lica rumieńców,
Co nam z ust korali?
Gdy niema młodzieńców,
Coby nas kochali,
I byli wzajem kochani,
Haremowe sałasze,
Zgrzybiałe pieszczoty,
Długie dni tęsknoty,
Oto wszystko nasze!
My żyjem dla nich i dla nićj.

Czas by pieśń ustała,
Nim Bejram z wieczora
Ogłosi grzmot działa;
Nasz czas, nasza pora,
Zbierać, pleść kwiaty do wianka.
W muślinach i szalach
Strojne jak przystało,
Po haremu salach
Przetańczym noc całą,
Wesolo zabawim do ranka.

Złękłe, strwożone, gdy ujrzą rycerza,
W stronę za drzewa pierzchnęły dziewice;
Rycerz, gdy pieśń ich zachwyca, uderza,
Posłał za niemi ciekawe źrenice;
Lecz nie nie dojrzał, choć w bystrém spojrzaniu.
Wszystko się ómiło przy słońca promieniu.

poszedł dalej smutny, zamyślony,
 Ścieżką wiodącą pod gaj cytrynowy;
 Spoziera w koło, w te i owe strony,
 Już nie tak mocno lśnił promień słońcowy.
 Żadnego drzewa nie spuszcza z źrenicy,
 Czy gdzie nie dojrzy znajomej dziewczycy.

Gdy wszedł do gaju, ciekowość w nim wzrasta,
 Na trawie, u stóp cienistego drzewa,
 Siedziała jedna, samotna niewiasta,
 Z gitarą w ręku, niby piosnkę śpiewa;
 A jeśli echo wiernie pieśń odbiło,
 Więcej w niej westchnień niżeli słów było.

Przy niej na miękkich leży tulipanach
 Wschodnia gazella — wyciąga swą szyję,
 I głowę składa na pani kolanach;
 Wierna gazella z nią i dla niej żyje:
 Z jakąś tęsknotą w jej oczy patrzyła,
 Jak gdyby smutek swój pani dzieliła.

Ona z swą panią wśród jednych pokoi,
 Sypia na miękkiej jedwabnej pościeli;
 Pani ją sama i karmi, i poi,
 Z nią swe igraszki, swe swawole dzieli;
 Lecz dziś nie pieści, nie głaszczę rękami,
 Cała zajęta smutnymi myślami.

Jak słaba! zda się słańać od powiewu,
 Ale w jej piersi, w ustach jej różowych
 Mieszka talizman muzyki i śpiewu.
 Ot i śpiew zabrzmiał wśród drzew cytrynowych,
 I dźwięk gitary rozdał się dokoła;
 Lecz nota pieśni nie była wesoła.

Na górach Agrafa są żyźne winnice,
 Na górach Agrafa są wonne jażminy;
 W nich moi najmilsi mieszkają rodzice,
 W nich mieszka najmilszy, mój luby, jedyny!

Gdy wiatry wieczorne powieją ze wschodu,
 Mój luby gdy gwiazdy zabłysną na niebie;
 Ja kwiaty najlepsze wybiorę z ogrodu,
 I niemi pisany list pošę do Ciebie.

Na góry Agrafa niech wiatry zamiosą
 Te kwiaty, na mojej niech złożą je ziemi;
 Gdy gwiazdy wieczorną pokropią je rosą,
 Ach myśl, żem je łzami zlewała mojemu!

Wędrowną jaskółka porzuci krzewinę,
 Ku góróm Agrafa swe skrzydła kieruje;
 Mój ptaku! jeśli tam polecisz w gościnę,
 Opowiedz tam moim co cierpię, co czuję.

Na górach Agrafa są żyźne winnice,
 Na górach Agrafa są wonne jażminy;
 Czy żyją w nich moi najmilsi rodzice?
 Czy mieszka w nich jeszcze najmilszy, jedyny?

Już słowa pieśni na ustach konały,
 A tylko stróny gitary wzruszone
 Jeszcze ostatni s siebie dźwięk wylały.
 Tak echo dolin pełne, przedłużone,
 Zrazu głośniejsze, mniej głośnie w połowie,
 Aż coraz cichsze omdleje w parowie.

Nagłym szelestem gazella strwożona,
 Skryła się między drzewa cytrynowe;
 Dziewica, jakby ze snu przebudzona,
 Podniosła wsparta na gitarze głowę;
 Patrzy, aż widzi przed sobą rycerza,
 Widzi, i oczóm swoim nie dowierza.

I nieruchomie długo spoglądali,
 Jak dwa posągi patrzące na siebie;
 Rycerz wyciąga swe ręce w oddali,
 I wola, «ja tu przychodzę do ciebie!
 To ja twój Hassan! Podnieś oczy swoje,
 Przypomnij, poznaj, idź w objęcia moje!»

Na ten głos znany, lecz niespodziewany,
 Rzuca się Leli w kochanka objęcia:

«Ciebież ja widzę, ciebie mój kochany?
 Dziś, i w tym miejscu? — na wszystkie zaklęcia
 Powiedz, jak tutaj przybyłeś w tej chwili,
 Jak cię haremu strażę nie zoczyli?»

Siądźmy tu razem, wszak kiedyś, przed rokiem
 Lubieś ze mną pod cieniem drzew siedzieć!
 — «Dobrze! lecz nim cię pożegnam ze zmrokiem,
 Wiele ci, wiele rzeczy mam powiedzieć!
 Czego z ust moich nigdy nie słyszałaś:
 Ja tym nie jestem, jakim mię poznałaś.

Za wszystkie skarby Mogola wielkiego,
 Niktby nie przeszedł tych błędów ogrodu!
 Ja znam je! jam je przebiegał za młodu,
 Jam się tu schował, jam jest syn Alego!
 Gdym się urodził, słuchaj moja miła,
 Jakąś mię obca greczynka mameczyła.

Ale przez zawiść, czy przez wstręt do żony,
 Pasza niecierpiał swojego dziecięcia;
 Nieraz mię chłostał gniewem rospalony,
 Ciało katowskie kaleczyły cięcia.
 Ja do Hafada zbity uciekałem,
 Wisząc u szyi drzałem, i płakałem.

Odtąd mię Hafad, jak swe własne dziecko
 Przyjął, pokochał; — pamiętam, w tym czasie

Czynny Kleft ziemię napadał turecką;
 Pasza w zaciętym s Kleftami zapasie,
 To im odporne czasem stawiał czoła,
 To swe zagony zapuszczał w ich siola.

Jam się tajemnie wykradał s scraju,
 Gdzie piękne wzgórza tessalskie się wznoszą;
 Śród ich lubilem błądzić ze zwyczajn,
 Ach! z jakąż nową, nieznaną rokoszą,
 Gdym po raz pierwszy porzucił te mury,
 Patrzał na niebo, ocean i góry.

Zaledwom dzikie i głuźące szумы
 Z gór spadających usłyszał potoków,
 Uczulem w sobie jakąś iskrę dumy!
 Gdym zoczył orła pośrodku obłoków,
 Chęć lotu w sobie uczulem głęboko,
 Ja chciałem z orłem latać tak wysoko!

A kiedym stąpił już na greckiej ziemi,
 Gdym jej swobodnym powietrzem oddychał,
 Zda się kraj cały z wdziękami swojemi,
 Do wyobraźni mojej się uśmiechał!
 Myślałem, lepszej nie znajdę ojezyny,
 Tu ludzie wolni, kraj piękny i żyźny.

Zbrzydły mi w końcu miękkości haremu,
 To miéjsce gdzieem był bity, katowany,

Ach, jam się oddał marzeniu lubemu!
 Obcy śród obcych, sam przez się wygnany,
 Łaknący wojny i sławy zarazem,
 Chciałem na imię zarobić żelazem.

I z żądzą wojny, ze sławy nadzieją,
 Jak żołnierz w Kleftów wstąpiłem szeregi,
 Wnet szeregowy, a potem kolejną
 Gdyśmy tureckie uganiiali zbiegi,
 Jam w tej pogoni słynął męstwem moim,
 Klefity mię wodzem wykrzyknęli swoim.

Znasz ty o luba, znasz Agraфа góry!
 Raz ja na samym stanąwszy ich wierzchu,
 Pamiętam, słońce zapadało w chmury,
 Przy ciemniejącym, przy niepewnym zmiérchu,
 Z góry wąwozem schodzącą w dolinę,
 Ujrzałem piękną góralską dziewczynę.

Czegoż o luba rumienisz się, czego?
 Zapewna pomnisz, kiedym zoczył ciebie,
 Jak pilnie wzroku szukałem twójego!
 Wieczorna gwiazda wschodziła na niebie;
 I przy jej blasku postrzegłem twe oczy,
 Wzrok twój był wtedy smutny, lecz uroczy.

Lecz dość, dość o tém — wszak miłości dzieje,
 Zawsze też same — też lzy i westchnienia;

Nocy bezsenne, znów śmielsze nadzieje,
Potem wzajemne uściski, spójżenia,
Nowe zakłęcia, ofiary, przysięgi,
Oto i cała treść miłośnej sięgali!

Siwy twój ojciec obrał mię za zięcia,
Wtém nocą w dóm twój wpadł turek zdradziecki,
Wydarł cię, porwał z mojego objęcia;
Jam z mieczem zastęp pogonił turecki,
Próżno Kleftowie ich rąbia i sicką,
Już cię unieśli, uwieźli daleko!

O! gdy wieść doszła do mego ukrycia,
Że się znajdujesz w Alego haremie,
Odtąd mojego historiją życia,
Miłość i zemsta! — niech dziś Pasza drzémie;
Ja na śpiącego, jak szakał na zwierze,
Z wojskiem, z orężem napadnę, uderzę! —

Dziewica wszystko co Hassan powiadał,
S trwoga, z roskoszą słuchała ciekawie;
Onby jęj może dalej się spowiadał,
Lecz nagle mowę uczeplił w obawie:
Bo karzeł u drzwi stojący ogrodu,
Świstał i klaskał, dając znak wychodu.

«Bywaj mi zdrowa! niechaj spocznie s tobą
Święta spokojność! wierz słowu Hassana!

Jeszcze o luba spotkamy się s sobą,
Jutro, wieczorem, dziś — tak, jutro zrana —
Bądź zdrowa!» i w tém lotem błyskawicy
Znikł w ciemnej, długiej spacerow ulicy.

A Leli za nim długo spoglądała,
Z jakimś na licu rozpachy wyrazem;
Jak gdyby wzrokiem przyciągnąć go chciała,
I jeszcze chwilę przebawić z nim razem;
Może w tej jednej, pożądanej chwili,
Jeszczeby cały wick szczęścia przeżyli!

Potem s szaloną wesołością czoła,
Jakby go znowu witała uprzejmie;
Wyciąga ręce, po imieniu wola,
Myśli, że jego w powietrzu obejmie.
Biedna! złudzeniem własnym żal swój drażni,
To był sen tylko choręj wyobraźni.

Tak nieszczęśliwy zdradzony od ludzi,
Gdy we śnie widzi wiarynych przyjacieli;
Jakże mu błogo! on gdy się przebudzi,
W rajskim złudzeniu zrywa się s pościeli;
W ciemności błędne wyciąga ramiona,
I senne mary przyciska do łona.

Heż to marzeń uludza nas we śnie,
Tęczową barwą strojąc swe złudzenie!

Lecz marzącemu o jakże boleśnie,
Gdy te pierzchają jak tęczy promienie!
Sny nas swojemi zdradzają kłamstwami,
My przecie w życiu tęsknimy za snami!

Już zmrok, na modłach dzień upłynął skoro,
Ostatnie słońce Ramadanu zgasło,
Domy ogniami wieczornemi gorą,
Grzmot dział Bejramu zapowiedział hasło.
Z miasta kto żyje, i mieszkańce kraju
Przybyli, ciągną do Paszy seraju.

U bram dziedzińca tłumne brzmia okrzyki,
Bo któż Bejramu, nie obchodzi święta?
Odgłosy bębnów, śpiewu i muzyki,
Silna dla uszu tureckich ponęta,
Młodzież i starce wabiły z okola;
Wtém Pasza błysnął śród tłumu, i woła.

«Dziś goście święto uczcijmy przystojnie,
Niechaj Bagdadzkie stół obciążą plody;
Niech nektar Moki do czar płynie hojnie,
Puśćcie fontanny! otwórzcie ogrody!
Sam tu eunuchy! nim błysnie poranek,
Nie zmrużyć oka! dziś uczta dla brank!»

I szli tłumami na Paszy pokoje,
W rzeźbą i farbą świecące komnaty;

Stoją na ścieżaj bronzowe podwoje,
A środkiem dywan rosścielą bogaty;
Dywan wiązany z jedwabi i złota,
Dwóletnia branek czerkieskich robota.

Allahu! głośno zakrzyknie gromada, (6)
A dywan wielkiem okrażają kołem;
Młodzież po krańcach dywanu zasiada,
Powyziej starce z ubielonem czołem.
Sam Pasza, pićrwszy w biesiadników rzędzie,
Wprzód zajął mićjsce po starszym urzędzie.

Bęgalskie ognie rześnicją po sali,
Pasza w dłoń klasnął, «podajcie cybuchów!»
I wnet mu karły cybuchy podali.
Sam na węzłowi z erredońskich puchów, (?)
Wspartą na prawym ręku trzymał głowę,
I kazał wnosić przybory stołowe.

Stół jedwabnemi obrusy zasłano,
Brzegi od sreber, a sam środek stoła
Złotem barwioną lśnił się porcelaną.
Wszystko czém tylko przepych zająć zdola,
Wiśnie bocharskie, pomarańcze złote,
Ostrzyły w gościach do uczty ochotę.

Wszyscy weseli ucztują pospołu,
Wszyscy się rzeźwią z dziennego upału,

Skończono ucztę — i wstali od stołu.
Zaraz po uczcie, s kragłego kryształu
Chłodnym sorbetem pragnienie gasili,
A wszyscy zdrowie Ali-paszy pili.

Nakoniec Pasza w erdredońskim puchu
Topiąc się drzémał, i zasnął głęboko;
Wtém łokciem wsparty na długim cybuchu,
Zbudził się — senne w pół otworzył oko,
I mówiąc, bądźcie zdrowi goście moi,
Wyszedł do swoich sypialnych pokoi.

Goście odeszli, a karły każdemu
Świeciły w ręku trzymając kagańce.
Pusto w seraju — lecz w głębi haremu,
Jeszcze trwa uczta muzyka i tańce.
Jakby na zapas, w dzień Bejramu święta,
Grają, tańczują wesole dziewczęta.

Lecz śród tych tańców, śród śmiechow wesela,
Leli samotna siedziała na stronic;
Ona z drugiemi ucztły nie podziela,
I twarz swą skryła w muślinnym welonie;
Jak gdyby uśmiech tancerek ochoczy,
Niezwykłym blaskiem obrażał jęj oczy.

Martwa, bez ruchu, wzrok by omamiony
Wziął ją za mumję śród ucztły stojąca.

Tylko czasami jęj welon wstrząśniony
Ciężkiem westchnieniem, to lżną spadającą,
Zdradzał kamienną nieruchomość ciała,
W którym znać było że dusza mieszkała.

Już gasły lampy wiszące przy progach,
Już rączym tańcem stopa uskrzydłona,
Więcej nie igra po śliskich podłogach.
Uderzą w bębny — i uczta skończona!
Po uczcie wszystkie branki się udały
Do wielkiej sali, gdzie razem sypiały.

Przy łózkach światła w nocnych lampach płoną,
To raz błękitnym płomykiem ogniska
Błysną, to znowu w swój kryształ utoną.
Przy ich to blasku spiąca odaliska,
Często sny marzy miłości, rozpaczy,
A giest jęj twarzy cały sen tłumaczy.

Śpią branki, wszystkich snem zamknięte oczy,
A senne szarlat rumieni jagody;
Kiedy niekiedy lekki i uroczy,
Oddech ust słyhać, jak szmer cichej wody;
To zesliznięta z ich piersi zasłona,
Alabastrowe prześwieca ramiona.

Czasem na lica cień rzucające,
Długie ich rzęsy rozwieje westchnienie;

To z ust ich perły odsłoni błyszczące:
 Tak wdzięcznie Peri zasypia w Edenie.
 Snadniej w powietrzu cichy lot anioła
 Mogłbyś dosłyszeć, taka cisz dokoła.

A jednej Leli otwarte powieki,
 Próżno na łóżko rzuca się, wyciąga;
 Sen od jój oczu i myśli daleki,
 Tylko jój sennym zrenicóm urąga.
 Serce jój mocno, tak gwałtownie biło,
 Że samém biciem senby odstraszyło.

Wstała, i nogą tak lekko stąpiła,
 Jak biały listek gdy spada na ziemię,
 Listek narcysa; — ona omyliła
 I psy i strażę drzemiące w haremie:
 Wyszła, rzucony płaszcz na piersi spięła,
 I cicho furtkę za sobą przymknęła.

PIEŚŃ KLEFTÓW.

My grecey górale,
 Jak orły we chmurach,
 Jak w morzu korale,
 Mieszkamy po górach,

W nich nasza kwitnie swoboda!
 Po całym Epirze,
 Sąsiedzi okolni,
 W tureckim jassyrze,
 Dziś jęczą — my wolni,
 Jak to powietrze i woda!

Dziś Pasza Janiny,
 Hareny buduje;
 W nich greckie dziewczyny
 Więzi, przechowuje,
 Dla swojej żądzy, lub dumy.
 On wielki, potężny!
 A przecie zdaleka,
 Choć silny i mężny,
 Od Klefta ucieka,
 Jakby od moru lub dżumy.

O! Kleft nie niewiasta,
 Zna się na żelazie;
 On w tureckie miasta,
 Niesie mord i rzezie,
 Pałacą niesie pożogę.
 Trafna ich rusznica,
 Straszny grzmot janczarki;
 Lecz nasza konnica
 Wpada im na karki,
 Szerząc zniszczenie i trwozę.

Gdy legnie Kleft w boju,
 My dzieląc trud miły,
 Na górach, przy źródle
 Kopiem dół mogiły,
 W niej Kleft spoczywa zabity.
 Hymn smutny, żałobny,
 W płacziwym brzmi chórze;
 Nasz napis nagrobny
 Nie w miedzi, marmurze,
 Lecz w sercu mężnych wryty.
 My dzisiaj s tych wzgórków
 Orężnie, i zbrojnie,
 Wpadniemy na Turków;
 Niech drzemią spokojnie,
 My ich i we śnie mordujem.
 Nasz kindżał nie tępy
 Już krwawe zna próby!
 Hej orły i sępy,
 Zaostrzcie swe dzioby!
 My dla was ucztę zgotujem!

Tak Klefity w nocy swe pieśni śpiewali,
 A wszyscy pilnie za wodzą rozkazem,
 Strażnicze ognie po górach trzymali;
 A każdy błyszczał zbroją i żelazem.
 Nie jeden drzemiąc wsparty na żelazie,
 Marzył jutrzniejsze wycieczki i rzecze.

Wtém hasło baczność w obozie zabrzmiało;
 Cóż tam się bieli z za dalekich wzgórków?
 Czy to łabędzi stado przeleciało,
 Płaszcze albańskie, czy zawoje Turków?
 Wkońcu wołali Klefity naprzemiany,
 To Hassan, wódz nasz za Turka przebrany!

«Klefity słuchajcie! nabić karabiny,
 Strażnicze ognie zagasić po górach;
 Osiodłać konie — w chwilę, w pół godziny
 Silnicjsze ognie rospalim na murach. —
 Ognie na murach seraju Alego,
 Gdzie jest mój sługa, wołać sługi mego!

Klefity słuchają, lecz w tłumie rozkazów
 Zgadnąć nie mogą, co głos wodza znaczy;
 A z niewyraźnie jakanych wyrazów,
 Z oczu w nim widzą gorączkę rospaczy.
 Tylko oczyma powłoczył po niebie,
 I kazał słudze zwlekać szaty s siebie.

Ze wzrokiem wzgardy razem i tęsknoty
 Zrzucił strój turka, i cisnął pod nogi;
 A kaftan, jaki noszą Sullioty,
 Wdział na się — niby miał się znów do drogi;
 Jakoż i poszedł — niecznużony biegiem,
 Długo wciąż morza przechadzał się brzegiem.

Noc była cicha — Archipelag cały
Zdał się pogrążyć w letargu uspienia;
A fale morskie tak cicho szumiały,
Jak wespół stłumione kochanki westchnienia;
Jak dźwięk gitary s picnią majtka w zgodzie,
Dalekiem echem odbity po wodzie.

I ze wszystkimi swojemi wypami,
Które jak piastun na swém łonie trzyma;
Jak srebrny dywan naszyty perłami,
Błyszczał — i z głębi modrémi oczyma
Poglądał na nie, jak fala ich drzewa
Małowne na nim zwiewa, to rozwiewa.

A człowiek między scenami takimi,
Dopóty zimném okiem je ogląda;
Aż nim myślami uleciawszy z ziemi,
Spójrzy na niebo, i być w niém zażąda!
Choć sam śmiertelny, w niebieskim zachwyce
Marzy dla siebie nieśmiertelne życie.

Lecz myśl Hassana od nieba daleka,
On całą duszą do ziemi przybity,
Myślą ku ziemskiej kochance ucieka,
Ach! kogo oczy podbiły kobiety,
Dla tego świata zewnętrznego niema:
Wszystko w niej widząc, patrzy jej oczyma.

Kto żadnych skarbów nie zebrał s powicia,
A dla przyszłości wszystko ważyć gotów;
Taki sam w sobie aż nadto ma życia,
By go od cudzych pożyteż przedmiotów:
Zbytku nieszczęścia, lub szczęścia, potrzeba,
By całą myślą ulecić do nieba!

Już nad Hassanem ranna weszła zorza,
On spójrzył na nią — serce w nim zdrzało.
Ciche szemranie drzemiącego morza
Jego burzliwej duszy uraęało:
W której wylęęła jego przyszłość całą,
Ręką nadziei swój raj wskazywała.

Hassan w marzeniach zabłądził daleko,
Znów zorzę spotkał jego wzrok ponury;
I jak lunatyk z rostwartą powicką,
Po nocy darł się przez skały i góry;
Aż szedł w dolinę, skąd wzrok odkrył jemu,
Błyszczące mury Alego harcmu.

Harem śpi cały — jakże noc pogodna!
Rzeźwiąc się ciepły wieje wiatr ze wschodu;
Jezioro ciche, przejrzyste aż do dna,
Jakby zwierciadło stoi śród ogrodu.
Tylko płaszcz jakiś s po za drzew bieleje,
A wzdęty wiatrem długą połą wieje.

To odaliska! lecz czemuż tak błada?
 Już niespokojna, a jeszcze tak młoda!
 Na twarz jej martwo blask xiężycy pada,
 Tak marmurowy indyjski pagoda,
 Gdy noc miesięczna, za gazy pokryciem
 Igra od światła pożyczonem życiem.

Ciąglém westchnieniem pierś się jej wstrząsała,
 Jak dwie u brzegu kołysane fale;
 Słucha, ktoś idzie? z bojaźni drzy cała,
 I wnet zakrzyknie w radości zapale:
 To on! mój luby, o chwilo żądana!
 J już spoczęła w objęciach Hassana.

— «Ty i tak późno — czyś zapomniał Leli?
 Jakże Hassanie długo cię czekałam!
 Patrz! już na wschodzie ranny świt się bieli,
 A ja nie spałam — o tobie myślałam!
 Jakże tu ciemno było mi bez ciebie,
 Teraz już jedną więcej gwiazd na niebie.»

— «O nie jak gwiazda, przychodzę tu raczej
 Jak krwawą wojną grozący kometa!
 Spójrz! a wyraz szaleństwa, rozpacz,
 Znajdziesz w mych oczach, — tak! nim z minareta
 Lampy zabłysną, i blask swój podwoją,
 Muszę cię porwać — i unieść jak swoją.»

Wprzód ciężki dżeryd ciśnięty zdaleka (8)
 Pierzchnie jak strzała z drobnych rąk dziecięcia,
 Utkwi, i zadrga aż w piersi człowieka,
 Nim kto z mojego wydrze cię objęciami!
 — «Ach puść mię! nigdy tak mi zle nie było,
 Coś mi tak ciemno w oczach się zrobiło!»

— «Czyś zapomniała powietrznego posła?
 Przypomnij! wczora bagdadzka gołąbka (9)
 Na skrzydłach list mój do ciebie przyniosła:
 Piórka jej białe jak śnieg twego rąbka.
 A list pisany w jakiej był wymowie,
 Tego sam język kwiatów nie wypowie!

Zamilkli razem — wśród łez i wdychania,
 Po chwili s sobą rozmawiać zaczęli;
 To powtarzając częste całowania,
 Wisząc u szyi wzajem się objęli,
 Gdyby tak objąć! i przez długie lata
 Żyć w tym objęciu aż do końca świata!

Jakaż to piękna w objęciach mężczyzny,
 Leci ze wschodów krużganku haremu?
 Błada, jak rąbek jej nocnej bielizny,
 S trwożą, ze drzeniem tuli się ku niemu;
 A on jej szepee nie bój się Kochana!
 To piękna Leli na ręku Hassana.

Już dzień był — Pasza ze snu przetarł oko,
 I, w ranniej, w kwiaty wytykaniej szacie,
 Wstał, spójrzał, w okno — «już słońce wysoko!
 I wielkim krokiem chodził po komnacie.
 Znow spójrzał w okno, i wstecz cofnął kroku,
 Tygrysia wściekłość iskrzyła się w oku.

Héj straży moja! a straż śpi spokojnie,
 Janczar po uciecie ciężki sen oddycha;
 Któżby pomyślił o zdradzie, lub wojnie,
 Wieczor był piękny, noc tak była cicha!
 Nie jeden może we śnie zamiast zbroi,
 Brankę uściska, sny miłości roi.

Od gniewu Paszy twarz splonęła cała,
 Chwyta łuk, strzałą, przez okno wycelił;
 Naciągnął majdan — szyba zabrzęczała!
 Niktby tak trafnie z janczarki nie strzelił.
 Strzała co szybę w tej chwili przebiła,
 Razem Hassana i Leli zabiła.

Héj straży moja! zbudziły się straże,
 Senne cunuchy szły za nią i drzały.
 Pasza ich woła, znów im odejść każe,
 Sam wbiegł na ganek, i zdyszany cały
 Lecąc pomiędzy krużgankowe słupy,
 Uczepił nogą dwa leżące trupy.

Leli w bieliznie świeżą krwią zbryzgana,
 Z opartą głową o kamienne stopnie,
 A jedną ręką u szyi Hassana,
 Wisząc leżała. — Jak widzieć okropnie!
 Piękność, dla której nasze serce biło,
 A s której całe życie ustąpiło.

Pasza ją objął, całował, i łzami
 Rzewnymi zlewał zimne Leli ciało:
 On gorącymi grzejąc je ustami,
 Chciał wskrzesić serce co już bić przestało.
 Zalał rękę, wzrok od niej odwrócił,
 A na Hassana wściekłym okiem rzucił.

Wtém oku była cała wściekłość zmił,
 Na pierś mu wstąpił — i zdeptał ją nogą!
 Wtém na nim spostrzegł wiszący u szyi
 Złoty amulet — ach! pamiątkę drogą
 Pierwszej swój żony! — wspomniat młodość swoję,
 Swą żonę, syna — i płakał we dwoje.

I długą brodę darł, szarpał w rozpacz.
 Cóż mi zrobiła niewinna dziewczyna?
 Allahu! kto mi tę zbrodnię przebaczy?
 Jam zabił razem kochankę i syna!
 Co mojej duszy pierwszy pokój wróci?
 Ziemia mną wżgardzi, niecho mię odrzuci!

Szły dni i lata — Pasza od dnia tego
 Ni razu nie był widziany w Seraju,
 Cichość mieszkala w seraju Alego.
 On tak przemożny bogacz w swoim kraju,
 Wszak mu sam Sultan często dawał ucha,
 I z nim dym pijał z jednego cybucha. (10)

W kilka dni potem — kiedy w jednych wzrasta
 Ciekawość wieści, a drugich wieść nudzi;
 Cudowny Fakir zjawil się wśród miasta, (11)
 Złote jałmużny sypał między ludzi.
 A jakby wszystko jemu los odebrał,
 Sam o garść soli, o chleb u nich żebrał.

Raz s karawaną idącą do Meki,
 Gdy już wielbłądy pomdleli od znoju;
 Kiedy pielgrzymi wśród południęj spieki,
 W cieniu drzew wodę czerpali ze zdroju;
 Szedł i ów Fakir, odarty, ubogi,
 Rozmawiał s swoim towarzyszem drogi.

« Drugi raz noszę już pielgrzymie szaty,
 Przez morza lądy długom odbył drogę;
 Dziś w inne chyba powędruję światy,
 Bo tu już szczęścia spulować nie mogę!
 Już ciało moje nurt zbawienia skropił,
 A jeschcem troski mojej nie utopił.

Byłem ja w Mece — tam pomnę o zmroku
 Ciągłej pielgrzymki utrudzony biegiem,
 Siadłem na brzegu, świętego potoku:
 Sen mię zachwycił nad potoku brzegiem,
 Spałem — wtém we śnie z górnego obłoka
 Stępującego ujrzałem Proroka.

Opuść zawołał, tych zdrojów wybrzeże!
 Nie ulżą tobie te święcone zdroje;
 Gdzie bram Edenu święta Peri strzeże,
 Tam ci ich złote zamknięte podwoje.
 Ani huryska skromna, zrumieniona
 Po zgonie ciebie przytuli do łona! »

Widziałem we śnie, szczęśliwy kto marzy!
 Eden, Allaha tron wielki, wspaniały;
 Przed jego okiem, stojące na straży,
 Serafy skrzydłem twarz swą zasłaniały.
 Ach! sen ten precz już odleciał ode mnie,
 Cóż mi po raju? kiedy pickło we mnie! »

Zemdlony Fakir błagał u pielgrzymą,
 By wodą zdroju ochłodził mu czoło;
 Lecz nim dał wody pielgrzym — on oczyma
 Konającymi zatoczył w około.
 Ci co z nim byli, z ust jego słyszeli
 Jakiś imiona Hassana i Leli.

NOTY DO BEJRAMU.

- (1) Święto Róży na Wschodzie przypada wiosną, gdy kwiaty kwitnąc a murawa zielenieć poczyna. — Mor (Moor) w swoim poemacie (*the light of haram*) pięknie go opisał:

*The Valley holds its Feast of Roses.
That joyous time, when pleasures pour
Profusely round, and in their shower
Hearts open, like the Season's Rose.*

- (2) Klefity tak nazwani górale Grecii. Ci żyjąc w górach Tessalii Olympu i Agrafa, ciągłemi napadami strasząc Turków, i napadani bezskutecznie, najdłużej zachowali swoją niepodległość. — Patrz o nich obszerniejszą wiadomość w przemowie P. Alexandra Chodźki załączonej przy wzorowym jego przekładzie pieśni Nowo-greckich.

- (3) Bejram, karnawał, zapusty Muzułmańskie — gdy post Ramadanu się kończy a nadchodzi dzień Bejramu, przy zachodzie słońca odgłosy harmat zwiastują początek święta — przytém rżęsiło oświecają meczety, a strzelanie z broni ognistej przez całą noc słyszeć się daje.

- (4) Wewnętrzne mury świątyni po turecku (*kéabél*) przykrywają się materiją czarną, jedwabną, na

której są wyszyte rozmaite wersety i treści rozdziałów Koranu. Zastony te jak w Mece co roku odmieniają się, a dawne i podarte pielgrzymóm czyli Hassalom na wagę złota sprzedają.

— *Mœurs des Ottomans* p. 45.

- (5) Izan albo ezan, haśło modlitwy. Turek ze wschodem słońca wstępuje na dach meczetu i przeraźliwym głosem wypiewuje ezan w następnych słowach «Chodźcie na modlitwę, śpieszcie do świątyni! obudźcie się! słuszna jest modlitwa nad sen przekładać.»

- (6) Allahu! wykrzyknik poprzedzający wszystkie modlitwy i uczy Muzułmańskie.

- (7) Gęś Erdredonowa mieszka nad brzegami morskimi północnej Europy, Azji i Ameryki, a mianowicie w Islandyi Laponii i Szkocyi, puch tej gęsi słynie w handlu pod nazwiskiem Erdredonu (*Eidedaunen*), a tak jest sprężysty, iż do zrobienia całkowitej pościeli pięć funtów są dostateczne.

- (8) Dżeryd, toż co włócznia, nasz dziryd s Tureckiego (*Djerrid* albo *Jarreed*).

- (9) Gołębie z Bagdadu i Babilonu jako więcéj nad inne przemysłne, używane są na Wschodzie do

przenoszenia listów z jednego miejsca na drugie. Gołąb przywykły i przyuczony do podobnej postugi, nigdy jej nie uchybi. Przywiązując mu list do skrzydła, on odniosłszy go na miejsce oznaczone, nazad niezwłocznie powraca. — Za czasów Starożytności gatunek gołębi pocztarskim zwany (*columba tabellaria*) sławny był przeniesieniem listów z *Alexandryi* do *Alepu*.

(10) Palić fajkę z jednego cybucha jest przystawieniem u *Mahometanów* oznaczającym dawną miłość dwóma osobami zażyłość, toż co nasze «jeść z jednej misy.»

11) *Fakir*, żebrak, pokutnik.



Z LORDA BAYRONA.

WIEŻIĘ CZYLLON.

Z LORDA BAYRONA.

Z LORDA BAYRONA.

WIĘZIEN CZYLLONU.

Włos mój już siwy — lecz nie długie lata,
Nie przez noc jedną tak go wybieliły
Widma bojaźni, gdy strach s całej siły
Nagle w niemęskie serce zakolata.
Wzrost mój się chylił — lecz nie życia trudy
Ciała me zmogły, nie chorób cierpienia;
Lecz ta rdza ciąga spoczynku i nudy,
Co zwykle trawi ofiarę więzienia.
Los mój dzieliły nie jedne ofiary,
Równie wygnani s powietrza i ziemi;
Lecz że cierpiałem dla mych ojców wiary,
Lźej było walczyć z więzami długimi.
Ojciec dał głowę pod miecz na szafocie,
Za to że nie chciał zaprzec zdania swego;
I s tój przyczyny, wszystkie dzieci jego
Jęczały długo w więzienia ciemności.

Było nas siedmiu — bracia młodszy byli,
 Moja przekwitła, ich młodość kwitnąca;
 I jak zaczęli oni, tak skończyli
 S prześladowaniem łamiąc się do końca.
 Jeden w płomieniach, dwóch na polu chwaly
 Krew swą przelało — wszyscy równie stali,
 Śmiercią rodzica za Boga skonali,
 Któremu części wrogi zaprzeczały.
 Z losu więzienie było trzech udziałem,
 S których żyjący ja jeden zostałem.

Jest siedem kolumn gotyckiej struktury,
 Pośród starego Czyllonu więzienia;
 Jest siedem kolumn, których siwe mury
 Jakies pochmurne światło opromienia.
 Snać promień słońca zbłąkał się w swęj drodze,
 I wpadł w tę grotę przez szczelinę ściany;
 Tam jak meteor na bagnach zbłąkany,
 Wciąż po wilgotnej czołga się podłódze.
 W każdej kolumnie jest kruk zakrzywiony,
 Na każdym kuku łańcuch zawieszony,
 A każdy pierścień łańcucha jak żmija
 Żelaznym zębem do ciała się wpija.
 Ząb ten na nogach dotąd się czerwieni,
 Choć już oddawna zdjęto z nich okowy:
 A dotąd jeszcze blask obraża dniowy
 Wzrok mój odwykły od słońca promieni!
 Jak długie w więzach przecierpiałem lata,

Nie wiem — bo z żalu liczbę ich straciłem,
 Odtąd po śmierci ostatniego brata,
 Żywy s trupami w tym więzieniu żyłem.
 Trzech nas do słupów, jak jakich zbrodniarzy,
 Wszystkich osobno uwiązano zrazu;
 Ześmy niemogli, podobni do glazu,
 Ni kroku ruszyć ni widzieć swych twarzy.
 Chyba przy świetle co idąc skrós ziemi,
 Tak strasznie blade, tak ciemno świeciło,
 Że w swoich oczach byliśmy obcemi.
 Ręce związane — serce wolnie biło!
 Jeszcze nas zrazu to jedno cieszyło,
 To, żeśmy mogli brzękając okowy,
 Mówić, i słuchać wzajemnej rozmowy.
 Nieraz śpiewana pieśń rycerskiej treści,
 Lub z gminnych podań krajowe powieści,
 Ucho bawily, za duszę chwytały.
 Lecz i te z czasem obmierzły, schłodniały,
 A głos nasz przejął ton dzikiego brzmienia,
 Niby ton ccha od murów więzienia.
 Nie byl to, może to było złudzeniem
 Głos pełny, brząmiący, jak niegdyś, przed laty,
 Gdyśmy nie gorąc powietrza pragnieniem,
 Jeszcze nie znali tych murów i kraty.
 S pomiędzy trzech nas ja najstarszy byłem,
 Więc ich jak mogłem nadzieją cieszyłem.

I każdy kryjąc boleść co go tłoczy,
 Cieszył mię wzajem, a sam płakał skrycie;
 Najmłodszy ojca ulubione dziecię,
 Że miał błękitne naszej matki oczy,
 Twarzą i głosem podobny był matce;
 Jego los smutny czulem duszą całą,
 Zaprawdę serce patrząc boleło,
 Takiego ptaszka w takiej widzieć klatce!
 A on tak piękny był jako pogodny
 Dzień dla sokoła, gdy wolny, swobodny.
 Jak dzień polarny, co zachodu słońca
 Wprzód nie zobaczy, aż nim lato minie;
 Bezsenne lato, które dniem bez końca
 Płonie, przyświćca północnej krainie.
 Taka pogoda była jego czoła,
 Tak dusza czysta, taka myśl wesola,
 On i leż nieznał; — szczęśliwe stworzenie!
 Co wciąż uśmiechem zbywa smutki swoje!
 Łzy tylko chował na drugich cierpienie,
 I wtedy tylko wylewał ich zdroje.

Drugi miał różną, więcej męską duszę,
 Zdolną się ćwiczyć w twardej losów probie;
 Skłoną wycierpieć najszorstsze katusze,
 I świat do walki wyzwąć przeciw sobie.
 Lecz onby wołał wprzód z orężem w rękę
 Skonać, niż gnuśnie tak rdzewieć w kajdanach.
 Umysł niezgięty w złych losu odmianach,

W mych oczach wkońcu zwiędniał od ich szczęku.
 I jam też wędniał! — lecz cierpiąc kryjomu,
 Przez żal, przez litość musiałem w tych murach
 Cieszyć te drogie relikwije domu.
 On z młodu pierwszym był łowcem na górach!
 Gdzie w skałach śliska wykręca się droga,
 Tam ścigał wilka, lub gonił za łanią;
 Dziś to więzienie było mu otchłanią,
 A złém najgorszem uwięziona noga.

Jest przy Czyllonie lemańskie jezioro,
 Tysiąc stop w głębią jego wielkie wody
 Idą, z dna piasku swoje zrzódła biorąc;
 Wracają, szumią, wrą, lecą w zawody.
 A wał Czyllonu graniczy i leży,
 Tak blisko krętych jeziora wybrzeży,
 Iż mur i woda podwójne więzienie
 Zda się dla ludzi tam budują sobie,
 By w niem mieszkali jak w żyjącym grobie,
 Nad nami czarne wisiało sklepienie,
 Spodem błyszczwały jeziora przestrzenie.
 A tam war wody, jak stróż naszej groty,
 I dniem i nocą szumił nad głowami,
 Rażąc nam ucho ciągłemi loskoty.
 Raz wielki bałwan wydęty wiatrami,
 Przez kratę cisnął bryzg wody przed nami,
 I szedł szalejąc szturmować o chimury.
 Wstrząśnione więzień pochwiała się mury,

Zdało się, że się rospadną na ćwierci.
Jam na tę scenę z uśmiechem spoglądał!
Bo któżby w duszy wtedy nie zażądał
Mającęj z więzów uwolnić go śmierci?

Słuchajcie! co się z moim bratem stało:
Już wielkie jego serce upadało,
A głód mu siły ostatnie odbierał;
Nie żeby w karmi jak dziecko przebierał,
Gdyż nieraz dzieląc łowieckie wyprawy,
Smak nasz był przywykł do myśliwej strawy.
Lecz tam, nie z łani wydojoném mlekiem,
Splesniałą wodą s fosy nas poili;
A chleb nasz czarny, jakim nas karmili,
Wyglądał, jakby od stu lat, przed wiekiem
Już był moczony niewolników łzami:
Albo od czasu, jak myśl zapamięta!
Gdy pierwszy człowiek własnymi rękami
W lochach zamykał ludzi jak zwierzęta.
Lecz nie! — nie karmi brak go tak wychudził,
Nie z ziemskiej treści wielka dusza jego
Stworzoną była! — on w pałacach nudził,
Gardził powietrzem uwieżioném w murach;
Uciekał w pola, jedynie dla tego,
By pełniej, wolniej odetchnął na górach.
Po cóż odwlekać straszne prawdy słowo?
On umarł — z żalu do reszty się zmogłem;
Jak trup zwieszony nad zmarłego głową,

Drzałem, drętwałem — i umrzeć nie mogłem.
Chciałem, za słabe były siły moje,
Rozbić mój łańcuch, rozłamać na dwoje.
On umarł — wnet mu więzy otworzono,
I ciało jego ziemią przyrzuciono,
Tą samą ziemią z naszego więzienia!
Ja ich żebrałem, jak o dar, by ciało
Jego gdzieś dalej, pod oknem leżało,
Gdzieby dochodził przecie blask promienia
Śmieszna myśl! — lecz mnie tak się wtedy zdało,
Że i po śmierci jego piers tak wolna,
W takim więzieniu spoczywać niezdolna!
Wolalbym mileżeć — bo gdy ich błagałem,
Zamiast litości, śmiech tylko słyszałem,
Zimno się śmieli — i trupa grzebali —
Gorzko jest, komu tak nędzną się zdarza
Widzieć mogiłę tych cośmy kochali!
I próżny łańcuch nad nią dłoń grabarza
Zwiesiła. — Właśnie to pomnik zbrodniarza!

Lecz on, nadziei kwiat nad wszystkie kwiatki,
Pieszczota wszystkich, najmilszy, jedyny,
Wierny piękności obraz naszej matki,
Kochanek ojca i całej rodziny.
Cel mojej troski, nadziei ostatni!
Całe me życie ja w siebie zebrałem
Abym doczekał — ach niedoczekalem!
Chwili gdy wyjdzie z tej żelaznej matni.

On co zachował do ostatniej chwili
 Tę myśl wesołą cośmy w nim lubili,
 On też upadał ofiarą niewoli,
 W oczach mych wędniał i gasnął powoli.
 O Boże! straszny to widok sam w sobie,
 Gdy s ciała dusza uchodzi człowieka,
 W jakim bądź kształcie, w jakim bądź sposobie.
 Ja ją widziałem gdy ze krwią ucieka,
 Ja ją widziałem na przepaściach wody,
 Walczącą s szaleńcem morskiej niepogody;
 Aż ją w szaleństwie rozpacz objęły
 Fale, i paszczą śpioną polknęły.
 Widziałem chore trupie Grzechu łoża,
 Gdy się pasował z widmami sumnienia.
 Okropne sceny! — lecz widok cierpienia,
 Łez, żalu, s temi mieszać się nie może!
 On konał — smutek spokojny, łagodny
 Twarz jego lekka powlekał żalobą;
 Jakby się troszczył, a wzrok miał pogodny,
 Za temi, których porzucał za sobą.
 Rumieniec co wciąż jemu tica krasił,
 Był tylko śmierci szyderstwem — nic więcej!
 Bo wnet swą barwę gasił i zagasił,
 Jak słaby promień pierzchającej tęczy
 A takie światło z oczu jego było,
 Ze i w więzieniu zda się widnieć było!
 Żaden jęk, żadne sarkające słowo,
 I żadna skarga nad niewczesnym skonem

Z ust mu nie wyszła — choć mdlejącym tonem —
 Mówił, a jeszcze cieszącą rozmową
 Głaskał mą rozpacz; — wtém westchnął, i głucho
 Pół-echem tylko ozwały się mury:
 Był to przedśmiertny słaby jęk natury!
 Na głos westchnienia wytyżyłem ucho.
 Długo słuchałem — i nic nie słyszałem!
 Ja krzyczę, wołam — mnie się jeszcze zdało,
 Że w moich uszach jego słowo brzmiało.
 Chciałem biedz, lecieć — lecz, ja zapomniałem
 Że jeszcze łańcuch na nogach mi cisnął.
 Trąciłem nogą — i łańcuch mój prysnął!
 Bieję — przybiegam — on umarł — ja byłem.
 Jeden żyjący, z jedną duszą żywą,
 Ciężkim oddechem jeden tylko piłem
 Stęchłe, zatrute powietrze więzienia.
 Ostatnie, jedne najdroższe ogniwo
 Między mną, między granicą stworzenia,
 Co mię do życia wiązało jedynie,
 Pękło, prysnęło w tej czarnej godzinie!
 Jeden na ziemi byłem od téj chwili,
 A bracia moi oba już nie żyli.
 Wziąłem za rękę co zimna leżała
 Na trupięj piersi, oblałem ją łzami.
 Lecz wnet i moja okrzepła, schłodniała,
 I zdało mi się że już byłem w grobie;
 Lecz jeszcze, jeszcze czułem życie w sobie.
 Wściekle uczucie! kiedy już poznajem,

Że co kochamy, co nas kocha wzajem,
 Więcej nie będzie już dla nas i z nami,
 Już nie ożyje — w rozpaczę zawarłem
 Wszystkie dni moje; — czemuż nie umarłem?
 Wiara co weszła po nadziei skonie,
 Ta mi wstrzymała samobójcze dłonie.
 A co się potem uczuło, myśliło,
 Niepomnę, pamięć stępiała w żalości.
 Dla mnie powietrza i światła nie było,
 Wkońcu już czułem nawet brak ciemności.
 I żadnej myśli, uczucia żadnego
 Nie było we mnie; — martwy jak ta skała
 Dzika, nieplodna, którą mgła obwiała,
 Żyłem, niewiedząc po co, i dla czego?
 Pośród kamieni sam jak kamień stałem.
 Wszystko, co tylko dotknąłem, widziałem,
 Tak było białe, tak blade, tak siwe!
 Ni to noc była, ni dnia światło żywe;
 Ni to blask dzienny od lampy promyka,
 Co w nocy drażni oczy niewolnika.
 Lecz czerzość, co całą przestrzeń pochłonęła,
 Gdzie nieruchomość bez miejsca spoczęła.
 Był to kraj jakiś bez słońca pochodni,
 Bez gwiazd, xiężycy, bez ziemi — gdzie niema
 Czasu, stworzenia, ni enoty, ni zbrodni.
 Lecz cichość, oddech co s piersi olbrzyma
 Wyszedł, i uwiązał na ustach zamarły.
 Morze, którego wody się zaparły,

I stały, aż nim w jedne wielkie bryły
 Zlały się razem — zastygły, i gnily.
 Raz nagle w głowie, w myśli rozwidniało,
 Słyszałem ptaszka jakiegós śpiewanie;
 Co kiedy ucho wdzięcznego słyszało,
 Wszystko w niem było! — znowu byłem w stanic
 Rozpoznać dawne, znajome przedmioty
 Znowu ujrzałem mur, kratę mej groty,
 I ten sam promień, stońca, co s swej drogi
 Zbłądził, i leżał sród mokrój podłogi.
 Raz przez szczelinę, skąd się blask ten wlewał,
 Postrzegłem ptaszka, siedział w niej, i śpiewał,
 Piękny, miał piórka błękitne s czarnuemi,
 Zda się był więcej swojski jak na drzewie;
 Ja piękniejszego nigdy nie widziałem!
 On tysiąc rzeczy mówił w swoim śpiewie,
 Przynamnie dla mnie — ja go rozumiałem!
 Śnać on samotny był jak ja na ziemi,
 Chociaż w połowie mniej smutny ode mnie.
 On, gdym już nic miał nikogo na świecie
 Coby mię kochał, polubił mię przecie;
 Ja tego ptaszka lubilem wzajemnie.
 On jakieś światło na duszę mą rzucił,
 On mię uczuciu i myśli powrócił.
 Byłże on wolny? może przez swawolę
 Wybiegł s swój klatki, by śpiewać nad moją?
 Ptaszku mój! znając tak dobrze niewolę,
 Nie mogłbym tęsknić nawet i za twoją.

Może on tylko pod postacią ptaka
 Był gościem z raju? o Boże myśl taka!
 Przecież gdym płakał i śmiał się zarazem,
 Myśl ta roskosznym stała się obrazem:
 Ze jeszcze do mnie dusza mego brata.
 Przyszła w gościnę, aż nie s tego świata!
 Lecz raz gdy ptaszek w górę, w górę lceiał,
 Postrzegłem błąd mój w złudzeniu stokrotnym.
 Gdyby był brat mój. Onby nie odleciał,
 Tak mię nie rzucił podwójnie samotnym!
 Samotnym, jak trup po swoim pogrzebie,
 Jak jeden obłok na ogromnym niebie,
 Jak w dzień słoneczny jedna chmura mglista,
 Gdy reszta nieba pogodna i czysta;
 Co Bóg wie po co zjawia się? gdy wkolo,
 W niebie na ziemi tak jasno, wesolo!

Wtém nowa zmiana zaszła w moim losie.
 Widziałem litość w dozorcach więznicia;
 Oni tak zimni na widok cierpienia,
 Już przy mnie dzikość miękcyli w swym głosie.
 Przecież tak było; — więzy me skruszone
 Gdzieś na podłodze beczynnie leżały.
 Niby to wolny, w tę i owę stronę
 Chodziłem; nieraz dzień przechodzę cały,
 Odpocznę chwilę, znów wstaję na nogi,
 I zbijam mokre więzienia podłogi;
 To siedem kolumn raz obejdę kołem,

I znów powracam, skąd chodzić zacząłem.
 Lecz wciąż musiałem z jakąś stapać trwogą,
 Bym grobów braci nie zdeptał mą nogą,
 A ta myśl nieraz siły mi odjęła,
 Nieraz tak silno mój oddech ścisnęła,
 Iż go nie mogłem wytehnąć piersią całą;
 A chore serce drętwiało — i mdlało!

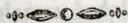
I raz przechadzka zaszedłem pod wały.
 Nie żebym stronił od tych miejsc zdaleka,
 Gdzie ręce moje wszystko pogrzebały,
 Co mię kochało w postaci człowieka.
 Co mi z wolności ' gdy ta ziemia cała
 Szerszém więzieniem tyłkoby się zdała!
 Gdzie krewnych, ojca, ni dzieci nie było,
 Nic słowem, co by mię do niej wabiło!
 Lecz od lat tyłu zamknięty w te mury,
 Byłem ciekawy, przez okno, z za kraty
 Spójrzeć, i widzieć te olbrzymie góry,
 Na które patrzeć lubilem przed laty.
 Spójrzałem — już mi przed oczyma były!
 Zawsze też same, nie się nie zmieniły.
 I śnieg ten samy leżał na ich czole,
 Śnieg lat tysiąca; — a u stóp ich w dole
 Błyszczą jezioro; — nurt tocząc wspaniale
 Tuż za niem Ronu błękitniejszą fale.
 Słyszałem dobrze, z jakimi łaskoty
 Druzgotał drzewa, przesadzał przez groty.

Biały mur miasta prześwićcał się w dali,
 Bielszy od muru lśnił żagiel na fali.
 Tam pośród wielkiej jeziora odnogi,
 Wznosi się wyspa nad wodne topiele:
 Mała, zielona zdała się niewiele
 Szersza od mojej w więzieniu podłogi
 Na nią widziałem trzy wysokie drzewa,
 Z gór wiatr wiejący ich liście powiewa;
 Przy nich tłum zrzódeł, tłum kwiatów na błoni,
 Tysięcznej barwy i roskosznej woni.
 Wesole ryby pod mur podpływały,
 Grając swobodnie w wodach się pluśkały:
 Orzeł, jak jeździec pędząc wiatr po chmurach,
 Nigdy nie leciał na tak rączych piórach!
 Leciał, i ku mnie swe skrzydła obrócił.
 Patrzałem — łzami oko się załało,
 Padłem na ziemię — ach! bo mi się zdało
 Żem jeszcze świeżych więzów nie porzucił!
 Rzuciłem okno; — s wstydem wyznać muszę,
 Że znowu ciemność mojego więzienia
 Jakby całunem padła na mą duszę.
 Straszna, okropna, grobowa ciemnica!
 Przecież w ciemności pragnęła spocznienia
 Światłem i łzami znużona źrenica.
 Były tygodnie, miesiące, dni, lata,
 Lecz ich rachuba wypadła mi z myśli,
 A z nią nadzieja oglądania świata.

Wkońcu dozorce moi do mnie przyszli,
 I zwiastowali wolność! — ich przybycie,
 Ich radość nawet dość zimno przyjąłem.
 Gdyż w moim staniu, już mi jedno było
 W więzach, czy bez nich smutne plużyć życie.
 A serce tak się od bólów zdrętwiło,
 Ze już w rozpacz podobać zacząłem!
 Odkąd dozorce ze mnie więzy zdjęli
 Nim od żelaza zamknęły się blizny,
 Mnie się zdawało, że oni znów chcieli
 Wyrwać mię z domu, z drugiej mej ojezyny!
 Gdyż jak pustelnik nieznany nikomu,
 Żyłem tu, jakby w swoim własnym domu.
 S każdym pająkiem ja w przyjaźni żyłem,
 Nieraz pamiętam, z roskoszą patrzyłem,
 Gdy mysz igrała przy świetle świecy,
 I czemuż mogłem ja mniej czuć jak oni?
 Wszyscyśmy do tej przywykli ustroni.
 Ja król ich rodu! człowiek, gasienica,
 Mogłem ich zabić! a przecie jak w grobie
 My s sobą w zgodzie, w pokojuśmy żyli!
 Ja i mój lancuch jak dwa druchy byli.
 Skutek nalogu! z długim nawykniem
 Stajem się wkońcu, czém jesteśmy w sobie.
 Jam wolność moję odzyskał z westchnieniem.

r. 1829. Petersburg.

OSKAR Z ALWY.



Jak pięknie świeci z niebieskich lazurów
Lampa wieczorna nad brzegami Lory!
Gdzie sterczą wieże siwych Alwy murów,
A wkoło tylko czarne szumią bory.

Nieraz tam księżyc z za chmur wyblakany,
Spotykał w północ snujących się mężów;
Rozświecał w północ rycerskie tartany,
Igrał s polyskiem rycerskich orężów.

I ku skrwawionej pogładając skale,
Śród mieczów szczęku śród wrzasku walczących,
Srebrząc swym blaskiem jej podnożne fale,
Błady przecierał twarze konających.

Ileż to oczu, co patrząc s téj skały
Wschodzącej zorzy oglądać nie miało,
Od rzezi wzrok swój zwracając omdlały,
Jeszcze przed śmiercią na księżyc patrzyło!

Niegdyś jak lampę miłości, te oczy
Piękny blask jego witały na niebie;
A dziś ten księżyc świeci im w pomrocy,
Świeci, jak smutne światło na pogrzebie.

Wygasł do szczętu ród Alwańskich panów,
Siwy ich zamek jeszcze widać w dali;
Lecz nikt myśliwych nie głaszcze brytanów,
Nikt na bój wiernych nie wie dzie Wassali.

Czemu mech cegły zamkowe tak brudzi,
Kto był ostatnim z alwańskiego domu?
Niczyja stopa echa w nim nie budzi,
Nic go nie budzi, prócz wiatru i gromu.

Tak, gdy się wichur w szpary zamku weisnie,
Wnet tarcz Oskara na ścianach się chwieje;
Lecz czarném piórem jego hełm nie błysnie,
Lecz sztandar jego z baszty nie powieje.

W pierworodnego dzień urodzin syna,
Angus Wassali zdaleka, i zbliżka
Ściąga na ucztę — ucztą się poczyną,
Tłumy się snują w około ogniska.

Ucztują w zamku, a każdy z Wassali
Pragnąłby radość swego Pana dzielić.
Wtém, by góralską ucztę rozweselić,
Wojenne rogi zabrzmiały po sali.

I ci co dziki dźwięk rogów słyszeli,
 Roili sobie, że też same rogi
 Zabrzmią im kiedyś przy dźwięku kapeli,
 Gdy ich syn pański powiedzie na wrogi.

Ledwo od uczty rok upłynął drugi,
 Już Angus drugim synem się raduje;
 Hojne podarki sypie między sługi,
 I wassał w zamku jak wprzód ucztuje.

Uginać łuki od ojca uczeni,
 Oskar i Alan w myśliwych szeregu,
 Ścigając sarny po Alwy przestrzeni,
 Gończe psy nieraz wyscigali w biegu.

Każdy z nich zdolność rycerską rozwijał,
 A dziećmi, jeszcze pod ojca opieką,
 Już każdy włócznią w powietrzu wywijał,
 I grot świszczący posyłał daleko.

Czarny Oskara włos wili się w pierścienie,
 Wiatr dziko igrał z ich gęstymi sploty;
 A włos Alana był jasny i złoty,
 Lica miał blade, pochmurne spójrzenie.

Alan był słynął z wdzięków swych uroku,
 Lecz Oskar duszę rycerską dziedziczy;
 Szczerłość jaśniała w jego czarnym oku,
 Lecz Alan w słowach więcej miał słodyczy.

A oba mężni; — pod ich stali siłą
 Saxońska włócznia nieraz się łamała:
 Serce Oskara bojaźnią gardziło,
 Lecz pierś Oskara więcej czuć umiała.

Alan był piękny — lecz dusza Alana
 Niesłusznie piękne ciało zamieszkała;
 Alan był dziki — i zemsta Alana
 Dzika jak piorun na wrogów spadała.

Z odległych gmachów, s Suzamonu wzgórką
 Przybyła damę na zamku witano.
 Przychodzi piękna Glenalwonu córka,
 Kraje Kennety przynosi na wiano.

Angus żądaniom syna się uśmiecha,
 Oskar dziewicę już pokochał skrycie;
 Dla dumy ojca rośnie stąd pociecha,
 Gdy syn zaślubi Glenalwonu dziecko.

Sluchaj! na zamku już brzmia rogów dźwięki,
 Sluchaj! już ślubne hymny brzmia do koła:
 W wesołej nocy płyną z ust piosenki,
 A piosnkóm wtórzy muzyka wesola.

I w zamku Alwy ludnięjszym niż kiedy,
 Sto piór, sto helmów błysnęło dorazu;
 Wassale strojni w kratowane pedy,
 W ciszy czekają pańskiego rozkazu.

Lecz dzisiaj Angus nie ciągnie do boju,
 Każdy w domysłach różne myśli rodzi;
 Wojenna trąba gra piosnkę pokoju,
 Śluby Oskara pan zamku obchodzi.

Lecz gdzie jest Oskar? i w dzień ślubu samy?
 Przecz tak leniwy? gdzie ta miłość żywa?
 Na zamku goszczą rycerze i damy,
 Oskar z Alanem jeszcze nie przybywa.

Nakoniec Alan do zamku zawitał,
 «Wszakżeś z Oskarem polował w dąbrowie!
 Gdzie Oskar?» żwawo Angus go zapytał,
 Gdzie on jest?« —niewiem, młodzieniec odpowie—

Może na swoich dzień ślubów niepomny,
 Pędząc za łanią, wieczor dniem być sądzi?
 Może po morzu błądzi nieprzytomny,
 Lecz łódź Oskara rzadko kiedy błądzi.»

«O nie, rzekł Angus zatrwożony srodze,
 Nie go nie wstrzyma, ni łowy, ni morze.
 Mogłoz co jego zatrzymać po drodze?
 Oskar dla Mory zimnym być nie może.

Śpieszcie rycerze! ty przejrzyj Alanie
 Każdy kąt Alwy, jaki tylko wiecie!
 Śpieszcie, a lećcie póki wam tchu stanie,
 Aż nim Oskara mojego znajdziecie!»

Szerzą się wrzaski, po Alwy dolinie
 Głośno i dziko brzmi imie Oskara;
 Brzmią dzikie jary i dzikie pustynie,
 Oskar!» nie jedna odbiła pieczara.

Trzy dni i nocy, sam niepomny na nic
 Za synem Angus błakał się w dąbrowie;
 Próżeń nadziei, w rozpacz bez granic,
 Plakał, i siwy włos szarpał na głowie.

O niebo! syna wróćcie mi» zawoła!
 Bóże starości ulituj się mojej!
 Lecz jeśli żal mój wskrzesić go nie zdola,
 Skarz jego zbójcę w całej zemście swojej!

Oskara kości wybielały może
 Łącząc na dzikiej, na bezludnej skale?
 O nie nie błagam, zdarz mi tylko Boże,
 Bym z nim zagrzebał siebie i me żale.

Może on żyje? Ty co mieszkasz w niebie
 Ty pociesz starca! lecz kto mi przebaczy
 Słów, com w tej chwili wybluźnił na ciebie?
 O Boże przebacz bluźniącą rozpacz!»

Tak się bez przerwy stary Angus smucił,
 Nim czas leczący cierpienia, niedole,
 Dawna pogodę jego twarzy wrócił,
 I zbyt gwałtowne ulagodził bole.

Nieraz tajemna cieszy go otucha,
 Że Oskar wróci, że Oskar nie zginął;
 Nie śmie jej wierzyć, a przecie jej słucha,
 W tej niepewności smutny rok przeminął.

Dni ciągle płyną jak wody potoku,
 Już krag słoneczny drugi bieg odprawił;
 Lecz Oskar ojca nie weseli wzroku,
 Oskar w rodzinnym zamku się nie zjawił.

Promień pocięchy jeszcze w starcu błyskał,
 Alan starego pocieszał rodzica:
 I serce Mory wnet Alan pozyskał,
 Alan był młody i piękne miał lica.

Myslila Mora, już Oskar śpi w grobie,
 A Alan piękny uwielbia me wdzięki:
 Gdyby żył jeszcze, mogłby inną sobie
 Poznać dziewczę, zapragnąć jej ręki.

A Angus mówił, już przeszły dwa roki,
 Rok jeden jeszcze niech ojciec przeplacze;
 Potem, przysięgam; żadnej, żadnej zwłoki,
 Sam wam Alanie dzień ślubu naznaczę.

Płyną miesiące, nakoniec dzień błogi
 Długo czekany dzień ślubu zaświecił;
 Przeszedł rok smutny udręczeń i trwogi,
 I uśmiech twarze kochanków zakwiecił.

Słuchaj, na zamku już brzmią rogów dźwięki,
 Słuchaj! już ślubne hymny brzmią dokoła;
 W wesolej nocy płyną z ust piosenki
 A piosukóm wtórzy muzyka wesola.

I znów rycerze alwańskiego klanu
 Tłumnie jak wprzód na zamku uczują;
 Winszują ślubów alwańskiemu panu,
 Szczęściem pańskiego syna się radują.

Kto jest ten rycerz s posepną żrenicą?
 Gdy radość z oczu uczujących błyska,
 Przed jego oczu silną błyskawicą
 Blednicje płomień błękitny ogniska.

Czarny płaszcz jego, s czerwonych piór duży
 Czub nastrzępiony krył szyszak świecący;
 Głos jego grzmiący jak piorun wśród burzy,
 Lecz krok był jego zbyt lekki i drzący.

Już północ — częsta szła kolej puharów
 Do dna spełniają oblubieńców zdrowie;
 Gdy zagrzmiał toast wśród biesiadnych gwarów
 Zaraz mu echo zamkowe odpowie.

Wtém rycerz powstał, i wśród tłumu stanie,
 Biesiadna ciżba wnet gwarzyć przestała.
 I widne s twarzy Angusza zmieszanie
 I Mory twogą piękna pierś zadrzała.

Starcze! zawołał, patrz jak chętnie piję
 Jak na ryccerza, na gościa przystoi;
 I jam wniósł toast, niechaj syn twój żyje!
 Teraz kielicha czekam z ręki twojej.

Dziś Mora śpieszy w Alana objęcia
 Dziś gdy weselem brzmią zamkowe ściany,
 Nicmaszże powiedz, innego dziecięcia;
 Czy już przez ciebie Oskar zapomniany?

A starzec s twarzą bladą i wylęklą
 Westchnął, i z ocz mu strumień łez się rzucił.
 «To stare serce ledwo że nie pękło,
 Odkąd mój Oskar ten zamck porzucił.

Trzeci raz słońce drogę swą poczyna
 Iak gdzieś tajemnie znikł mój Oskar luby,
 W Alanie moja pociecha jedyna,
 Od brata jego ucieczki lub zguby.»

«Dobrze, więc dobrze, przerwał nieznajomy,
 I groźnym wzrokiem cisnął wkoło sali,
 Los twego syna może mi wiadomy,
 Może nie umarł jakęście mniemali.

Możebyś starcze po nim tak nie szlochał,
 O! możebyście Oskara ujrzeli,
 Gdyby ci tylko, których on tak kochał,
 Poznać go, wezwać po imieniu chcieli.

Więc nim biesiadne uciszą się gwary,
 Niech wkoło stołu pełna krąży czara,
 Niech złotem winem zakipią puhary,
 Zamawiam puhar na zdrowie Oskara!»

«S całej mej duszy! Angus mu odpowie,
 A w rękę trzymał pełny puhar wina,
 Żyje, czy umarł? pijmy jego zdrowie!
 Nigdy nie będę miał lepszego syna.»

«Wypileś starcze, wdzięcznym ci we dwoje,
 Ty drzysz Alanie, i cóż ci się stało?
 Pij za umarłych, drzące ręce twoje
 Wzmocni, a puhar do ust przymknij śmiało!»

Alan s przestachu cały się szערwienił,
 To znowu bledniał, i wylękle czoło
 Śmiechem weselił, i znowu się mienił,
 Zimny pot śmierci oblał go wokóło.

Potrzykróć puhar do ust swych przymykał,
 Potrzykróć puhar postawił na stole;
 Bo trzykróć gościa dzięki wzrok spotykał,
 I groźbę czytał na zmarszczoném czole.

«Także brat zimno pije zdrowie brata?
 Rzekł gość z uśmiechem, taka twa przyjaźni,
 Czulej miłości taka twa zapłata?
 A cóżbym jeszcze wnosił s tej bojaźni!»

Wzruszon szyderstwem, wzniosł puhar, i rzecze,
 «Jak bez Oskara smutna ta biesiada!»
 Wtém trupia bladeść jego twarz powlecze,
 J z drzących ręku puhar mu wypada,

«To on morderca! głos mi jego znany,
 Głośno zakrzyknie wzrastająca mara,
 To głos mordercy!» brzmia echa i ściany,
 I cizba wtórzy, to zbójca Oskara!

Światła poblady, kilka gromów padło
 Na dach zamkowy — a pomiędzy tłumem
 Widomie stoi grobowe widziadło,
 A burza ciągłym wre i huczy szumem.

Olbrzymie kształty skrywał pęd zielony,
 Helm s czarnym piórem a miecz miał przy boku.
 Z otwartej piersi znać że krwią zbroczony,
 Szklisty blask lśnił się w nieruchomém oku.

I przed Angusem uchylił kolana,
 A śmiał się dziko, wzrok ciskał w około.
 Wtém leżącego na ziemi Alana
 Spotkał z uśmiechem — i namarszczył czoło.

Piorun zagasił pochodnie godowe,
 Rzekłbyś, że w zamku całe wrzało pickło:
 Grobowe widmo przez wrota zamkowe
 Na skrzydle wichrów świszczących uciekło.

Smutnie weselne skończyły się gody,
 Na sali widać jakichś dwóch rycerzy;
 To stary Angus, przy nim drugi młody,
 To martwy Alan na podłodze leży.

Angus z omdlenia powrócił do siebie,
 Lecz lekarz zamku napróżno się trudzi,
 Już dni Alana policzone w niebie,
 Już Alan ze snu więcej się nie zbudzi.

Gdzie widać czarne Glentanaru błonie,
 Tam zimny Oskar śpi pod cieniem drzewa;
 Mysliwa strzała tkwi w Oskara łonie,
 A wiatr jesieni jego włos rozwiewa.

Kto było widmo, kto gość nieznamomy?
 Próżno badali, próżno się pytali,
 Nikt nie był wieści prawdziwej świadomy,
 W widmie wassale Oskara poznali.

Strzała Alana szybko z łuku leci,
 Ale jej ostrze czyjąż krew zbroczyła?
 Krew ta na piersi Oskara się świeci,
 Ta strzała jego zdroj życia wypila.

I oczy Mory promienne pięknoscią
 Władaly sercem Alana zaciekle;
 Przebóg! te oczy co świecą miłoscią
 Mogłyby duszę jego natchnąć pickłem?

W dali od zamku, lśniąciami marmury
Alwańskich panów świecą się mogiły;
Alana sztandar nie wznosi się, w chmury,
Bo jego krople krwi bratniej splamiły.

Miałżeby jaki bard s sędziwą brodą,
Alana czyny na arfie wygrywać?
Pieśń najpiękniejszą jest chwale nagroda.
Lecz kto mordercy będzie chwałę śpiewać?

I żadnej cześci nie odebrał zbójca,
Żadna pieśń jego nie brzmiała imienia;
A w Alwie tylko brzmiały przekleństwa Ojca,
I brata dzikie, przedśmiertne jęczenia.

I.

IF SOMETIMES IN THE HAUNTS OF MEN»

Jeżeli czasem w biesiadniczym tłumie,
Twój obraz niechąc zgubią moje oczy;
Samo:na chwila znów cię stworzyć umie,
I znów twym cieniem mą duszę zamroczy.
Wnet mię samotność do ciebie powróci,
A troska moja, wprzód w tłumie ludzi
Nie śmiejąc skarżyć, znowu się przebudzi,
I znowu skargę śmiało z ust wyrzuci.

Przebacz mi! jeśli nie po mojej chęci
Zgubię myśl w tłumie którym winien tobie;
Gdy twarz uśmiechem, choć serce w żalobie
Rozjaśnię twojej niewierny pamięci,
Nie sądz, gdy każe śmiać się ustom moim,
By twa mi pamięć mniej być drogą miała!
Niechciałbym gdyby ciżba podsłuchała
Westchnienie, które tak całkiem jest twoim!

Jeśli zawrótnęj piję treść jagody,
Mniejsza, czy troski w niej pogrążę moje,
O! dla rozpaczy słabe te napoje,
Chyba Letęskie ją upoją wody.
Lecz niepamięci, jeśli w mojej duszy
Stłumisz myśl wierną jej o każdej dobie,
Zdruzgocę czarę — i pomysle sobie,
Wolę ją w słodkiej dręczyć się katuszy!

Bo gdy w mej myśli nie będziesz przytomnie,
I któż zamieszka puste serce moje?
I któż o luba! tu zostanie po mnie,
By łzami uczcił święte prochy twoje?
Nie, nie, aż nadto dumna żalność moja!
By ktoś miał drugi płakać na twym grobie;
Świat cały może zapomnieć o tobie,
Lecz ze mną wiecznie będzie pamięć twoja!

I ty zapłaczesz na moim pogrzebie!
 Bo kogoż więcej zgonby mój zasmucił?
 Nicopłakany światbym ten porzucił.
 Świat ten, gdzie nikt mię nie kochał prócz ciebie!
 Znam ja! nie dla mnie cię stworzyły nieba,
 Jam że cię ziemskim zapalił płomieniem?
 Ach, chyba naszą miłość nazwać trzeba
 Snem, czarodziejskim, niebieskim marzeniem!

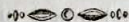
II.

«OH SNATCHED AWAY IN BEAUTY'S BLOOM.»

O wydarta nam w samym wdzięków twych roskwicie!
 Dziewico! ni cię dumne przytłoczą mauzole,
 Wiosna ci s swych jedwabi wysnuje pokrycie,
 Na niem róże i młode porosną topole:
 A cyprys ścieląc gałąź żalobnych warkoczy
 Melancholijne cienie nad grobem rostoczy.

O! nieraz nad tym brzegiem srebrnego potoka,
 Czarna Boleść przechylili zadumane czoło;
 I myśl topiąc w pamiątkach, marząc niewesoło,
 Cichym krokiem stąd pójdzcie, łzę wyleje z oka:
 Jakby echo jój kroku, jakby łza żrenicy
 Zdolne były przebudzić wieczny sen dziewicy!

Cóż nam dadzą niewieście szlochania i jęki?
 Wszak nikt u śmierci życia zmarłym nie wyplacze?
 Przecież równe łzy lejem, równe cierpim męki;
 Bo któż na wodzy słuszne utrzyma rozpacze?
 I ty sama!...co dziś mi życzysz zapomnienia,
 Bładaś... i łza blask twego przygasza spojżenia.



III.

«THERE'S NOT A JOY THE WORLD CAN
 GIVE LIKE THAT IT TAKES AWAY.»

*O Lachrymarum fons, tenero sacros
 Ducentium ortus ex animo: quater
 Felix! in imo qui scatenem
 Pectore te, pia Nympha sensit*

GRAY.

Świat raz wydartych uciech niczém nie nagrodzi,
 Gdy żar myśli młodzieńczej wypali się zbytnie,
 Nie tylko, że z lic szkarłat przedwczesnie uchodzi,
 Wprzód kwiat serca zwiędnieje, nim młodość przekwitnie.

O! wtedy rozbit szczęścia brnie w zbytów głębinie,
 Na skały namiętności pochwyca go fala:
 Ciska kompas, napróżno wskazujący zdala
 Brzeg, którego z rozdartym żaglem nie dopłynie.

Wtedy zimno śmiertelne drętwi naszą duszę,
Martwą dla drugich, własne bolą ją katusze.
Wtedy zrzódło łez naszych zmrozi chłód grobowy,
A jeśli załsnia w oku, to jak śron zimowy.

Nieraz łzami zlewając bezsenne pościele,
Licem pokój klamiemy, ustami wesele:
Tak po baszcie sędziwój młody bluszczył się wspina,
Zwierzchu kwitnie zieloność — cóż spodem? — ruina!

Obym mógł czuć jak czulem, być czém kiedyś byłem,
I płakać jak płakałem, marzyć jak marzyłem!
Podobny schnącym zdrojóm w bezwodnym jeziorze,
Jeszcze na stepach życia zapłakałbym może?



IV.

ŚPIEW MEDORY

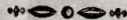
(s Korsarza.)

Miłość moja aż na dnie duszy mojej żyje,
Samotna, i na zawsze utajona w cieniu;
A jeśli twemu wzajem serce me odbije,
Zadrzy, i znów jak wprzódę dręczy się w milczeniu!
Płomień jój, jak pogrzebna lampa nad mogiłą,
Ciągły, lecz niewidziany rzuca blask po ziemi;

I chłodna noc rozpaczy jego nie zaciemi,
Chociaż sam tak lśni martwo, jakby go nie było!

Wspominaj mię! lecz jeślić inne zajmą wdzięki,
Omiń grób mój, nie przychodź już uragać do mnie!
Bo tej jednej wycierpieć nieśmiałałabym męki,
Mysłąc tylko żeś kiedy mógł zapomnieć o mnie!

Niech więc ciebie ostatni, tęskny głos mój wzruszy!
Ja umrę, ty sam doli ulituj się mojej!
Żal za zmarłych twój męskiej nie zniewieści duszy.
Ach! za tyle miłości, czegoż chcę? — lzy twojej!



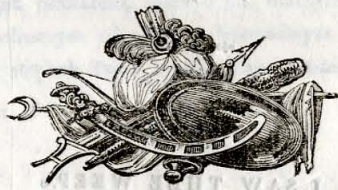
V.

I SAW THEE WEEP.

Widziałem płacz twój! gdy ła jasna, wielka,
Weszła na ciemnym twych oczu błękiecie;
Zda się, że widział fioletek o świcie,
Gdy na nim jeszcze lśni rosy kropelka.

Widziałem potem twój uśmiech uroczy!
Jak słabo przy nim safir się płomieni,
Safir nie zgasi żyjących promieni,
Ktorými gorą uśmiechu twe oczy.

Jak bliski obłok zachodniego słońca
 Coraz żywszego nabiera koloru,
 Sam ledwo ciemność na niebie rostrąca,
 A jeszcze światło przedłuża wieczoru.
 Tak nieraz dusza gdy w smutku żalobie,
 Wesoly uśmiech smutne lica kwieci;
 I blask słoneczny zostawia po sobie,
 Który nad sercem jeszcze długo świeci.



Z HORACIUSZA.

H. 1823 — 24. w Wilnie.

Z HORACIUSZA.

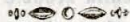
DO MECENASA.

Mecenas atavis edite regibus.

Lib. I. car. 1.

Meceno! etruskiego gałąsko plemiona,
Mój ty świetny zaszczyć, ty moja obrona!
Są którzy lubią, nawet mają za trud miły,
Chwytać w szrankach wrzuczone olimpijskie pyły:
Tych rydwan, gdy o metę koleś nie zawadzi,
W oklaskach ziemskie Pany między Bogi sady.
Ten lubi gdy go cizba sporna i zmiennicza
Potrzykroć między pićwsze urzędniki wlicza.
Ten żeby w swe zasicki różne zamknął zboże
Ile tylko afrycka ziemia zrodzić może.
Ten wesół kraje plugiem ojezyste ugory,
Choćbyś mu atalowe obiecował zbiory
Nie zwabisz niepewnego o los przyszłej doli,
By wiosłem siekał morze zmiennym wiatróm gwoli.

Strwożony Eurów z morzem ciąglęmi zapasy,
 Kupiec wielbi swą wioskę, chwali wiejskie wczasy;
 To znowu do wsi swojej nowe czując wstęty,
 Wnet spycha poprawione na wodę okręty.
 Są którzy do starego ochotni Massyku,
 Lubią się przy szemrzącym upijać strumyku:
 I żartem dzień zbywając w zielonej gestwinie,
 Próżnującą godzinę radzi topią w winie.
 Wielu miły w obozach żywot niespokojny,
 Ten obmierzłe polubił czułym matkóm wojny.
 Myśliwy młodej doma odbiegłszy małżonki,
 Pod mroźnym niebem pędzi na lasy na łąki;
 Czy gdzie psami wyszczwana szybka łani leci,
 Czy dzik marsyjski krzepkie porozrywa sieci.
 Ciebie nagroda mądrych głów, wieniec bluszczowy
 Mieści w rzędzie niebianów. — mnie chłodne dąbrowy,
 I skoczne Nimf połotnych s Satyrami tańce,
 Nad lichy gmin wynoszą i poziomu krańce!
 A gdy dla mnie Euterpe swęj lutni nie wzbroni,
 Gdy lesbijskiej cytary nie wychwyci z dłoni;
 A ty jeśli mię wliczysz między wieszczę Feba,
 Szczęśliwy! głową sięgnę gwiazdzistego nieba!



DO SEXTA.

Solvitur acris hiems.
Lib. I. car. 4.
 Rosprysnął lody ciepławy Fawoni,
 Żeglarz na morze mnogie łodzie ciska;
 Bydło zagrody rzuca, a ogniska
 Odbiegłszy pasterz na piszczałce dzwoni.
 A skoro światło zabłyśnie miesięczne,
 Już Wenus błyska stopami śnieżnymi;
 Z nią społem Nimfy i Gracje wdzięczne
 Tańcząc ledwo tykają się ziemi.

Już Jowiszowi Wulkan starczy grotów,
 Z nim się Cyklopy pocą czarno-lice;
 A szelest iskier, szczęk i kołat młotów
 Wypełnia hukiem pracowne kuźnice.

Teraz mój Sexcie, Romułowe plemie!
 Gdy już przybyciem wiosny świat cieszony,
 Czas i włos świetny stroić w mirt zielony,
 Lub w kwiaty które miękkie rodzą ziemi.
 Tak gdy się fraszka nasycim do woli,
 Zabiegłszy w gaju ustronia cieniste,

Ubijem w darze Faunowi gwoli,
Czy młodą sarnę, czy jagunię welniste.

Sexcie! śmierć blada pałacowe słupy,
Równie jak kmiecie druzgoce chalupy;
Czas rączy, w krótkiej żywota kolei,
Broni nam długiej poczynać nadziei.

Wnet cię noc czarna ujmie i zażenie
W czczy dóm Plutona między kłamne cienie:
Tam skoro znidzisz, już i wdzięk Licйда
I winna uczta na nic się nie przyda.



DO POLIONA.

Motum ex Metello consule.

Lib. II. car. 1.

Więc zbrojne za Metella współziomków zapędy,
Los wojny, jój koleje, przyczyny i błędy,
Gry fortuny, przyjaźni Panów zgubne światu,
I gwałt ubroczonego bratnią krwią bułatu,
Co go dotąd błagalne nie omyły wody,
Opiewasz, wykazując przeszłych klęsk zarody.

Zaprawdę, dzieło trudne Polionie miły!
Pragniesz deptać te żary co popioły skryły.
Niech twa Muza surowa na czas lez nie leje,
Gdy Rzeczypospolitej będziesz konał dzieje;
Wtedy bądź powrócony płacziwej kamenie,
I koturnem ateńskim zabłyszni na scenie.
Ty którego niewinność wierzona obronie,
Czerstwa rado sanatu zacny Polionie!
Twój to wieniec w dalmackiej zdobyty wyprawie
Twe imie więkopomnej przyporuczył sławie.
Przebóg! już teraz gromy i trąba chrapliwa
Bijąc ucho z mileżącej karty się ozywa!
Już i światło od lśniącej odstrzelone broni,
Strach blady ciska w oczy rycerzów i koni.
Widzę jak dzielni wodze do boju ruszyły,
Jak się łamią zbrukani zaszczytnými pyły.
Świat znękany upada, chwije się i kona,
Jedno umysł niezgięty wickuje Ratona.
Juno i miła Afróm bogów družba cała
Zgromiona, swe świątynie s wstydem odbieżała.
Lecz mściwy tą zniewagą wkrótce na ofiary
Cienie Rzymian Jugurcie szle w Pluta pieczary.
Któżż krwią Rzymianina rospojone pola,
Nie poświadczą co mogła naganna swawola?
A loskot Włoch upadku przez niezgody bratnie
Przedarł się gdzieś aż w Persów kończyńy ostatnie.
Jakaż topliel zmarłými nie pasła się gminy?
Krwia waszą zarumienił siebie Neptun siny.

Stój muzol cejskiej lutni porzuć smutne tony,
 Ot lepiej siadłszy sobie w chłodniku Diony,
 Cukrując mnogie życia naszego gorycze,
 Śpiewać miłość, swobodę i wdzięki dziewicze.



DO CHLOI.

Vitas hinnuleo me similis Chloë.

Lib. I. car. 23.

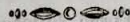
Czemuż odemnie Chloë urodziwa
 Stronisz, jak ona sarneczka pierzehliwa,
 Matki po górach, kniejach szukająca,
 Z bojaźni drżąca.

Bo czy to wietrzyk co s trawką się pięści,
 Ruchomym listkiem zwolna zaszeleści;
 Czy wąż zasyczy, już tracąc nadzieję,
 Cała plótnieje.

Wszakże ja, świadkiem i ludzie i bogi!
 Ni lew afrycki, ani tygrys srogi,
 Abym miał szarpać drapieźniami szpony,
 Twój włos pieszczony.

Przez litość folguj żalowi mojemu!
 Riedyc już i czas i wiek jest po temu,
 Odbiegłszy matki, Chloë ulubiona,

Sam tu do łona!



DO MECENASA.

Nolis longa feræ bella Numantiae.

Lib. II car. 12.

Niechciej, bym niemilęmi Meceno dźwiękami,
 Na miękkiej lutni twarde śpiewał Anibale!
 Jak długo dzicz numańska łamała się z nami,
 Lub Sykulskie krwią Penów ubroczone fale.
 Ni opilych Centaurów z Lapitami boje,
 Ani ciebie Aleydzie wspomną usta moje,
 Coś uniżył Tytanów buntownicze rogi,
 Gdy w gwiazdzistych pałacach potruchląły bogi.
 Ty sam lepij w poważnym historyi toku,
 Skreślisz czyny Cezara potomnemu oku;
 Jak swe czoło w zwycięskie przesłoniwszy wieńce,
 S krwi królów za swym wozem dumne wodził jeńce.

Bo moja Muza mniej wzniosłemi tony,
 Śpiewać Licynę urodziwą woli!
 Któręj blask oka, której głos pieszczony,

Zdolny z najtwardszej serce zmiękczyć stali:

Lub kiedy ona swoim chęciom gwoli;

Wzajemnym ogniem się pali.

Wszystko jej pięknie! czy wśród świąt Diany

Z gładkimi dziewczki różne wiąże tany;

Czy w trefnym żarcie śmiechem krasi lica,

I wzrok uwięzi, i duszę zachwyca.

Niech kto skarby Arabów wznosi pod niebiosą,

Lub słynną żyźność Frygijczyków roli:

Zdumion blaskiem Licyny jedwabnego włosa,

Czyżbyś zazdrościł Achemena doli?

Któż jej pocisk spójżenia wytrzyma?

Gdy w biesiadniczej swawoli,

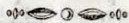
Do pocałunku nachyli swe lica:

A gdy młodzieniec ust dotknięcia bliski,

Wnet wzgardę kłamic oczyma;

I znów roskoszy słodkiej zwolennica,

Ogniste wzajem zarzuca uściski.



DO POMPEIUSZA.

O saepe mecum tempus in ultimam

Deducte....

Lib. II. car. 7.

Ty coś zemną już nieraz w pokruszonej łodzi,

Wędrował po burzliwej jednych kłęk powodzi

I któż cię zdrowo wrócił domowej zacisz,

Pompejuszu; ozdobo moich towarzyszy?

S tobą to, gdy syryjskie włos poleją wonie,

Nieraz przy winie wieńcem osłoniwszy czoło,

Dzień gdzie indziej leniwy, schodził mi wesolo.

I s tobą, świadkiem filipijskie błonie,

Nie bez niesławy broń nas odbieżała;

Gdy kwiat młodzi, nadzieja naszych swobód cała,

I wprzód tak groźne Tryumwirów plemie,

Zaległo ziemię!

Lecz mnie s tej bitwy połotny Merkury,

Uniosł drżącego w modre skrywszy chmury,

Ty znowu przez wilgotne pobiegłs rozlogi,

Hartownym mieczem dumne ścierać wrogi.

Dziś poślubione bogom oddaj dary!

I bok wśród wojennego znużony zawodu,

Złożywszy w cieniu zielonego chłodu,

Wypróżniaj tobie przeznaczone czary.

Więc pijmy? niech Massyku puhar troskę goni,

Niech i włos zagangeskiej napije się woni!

Ha! kto nam skroń mirtowym oprowadzi mająm,

Kto dziś będzie zarządzał biesiadnicze koło?

Będę szalał swawolnych Edońców zwyczajem!

Miło jest s przyjacielem i podpici wesolo.



DO HIRPINA.

Quid bellicosus Cantaber.

Lib. II. car. 11.

Co gdzieś tam przy adryjskiej siedzący głębinie,
Duma Scyta wodami rozgrodzon od świata;
I co krzepki Kantaber, nie badaj Hirpinie!
Darmo w otchłań przyszłości myśl śmiertelna lata.

Bo gdy nas starość w siwe zwickła sieci,
I rzeka młodość, i urody chwały,
I sen powolny z oka precz uleci,
I wiek serdeczne przystudzi upały.

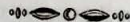
Nie ciągle w krasne kwiat się stroi szaty,
Nie ciągle jasna twarz złotego Feba:
Przecz słaby czleku twój umysł skrzydlaty,
Śledzi wyroków niezbadanych nieba?

Ot lepić w cieniu dorodnej topoli,
Gdzie czysta struga smug jedwabny chłodzi,
Pijmy Hirpinie! gdy jeszcze się godzi
I włos namaścić, i napić do woli.

Troski w bachowym niech utoną soku!
Ha! już nas wino nie pomału pali.

Sam Chłopcze! wody zaczerpnij ze stoku,
Przygasim ogień falernejskiej fali.

Bież! — i z gościnnych dziewczek Lida żywa
Co szczuple krzepi płomienie,
Warkocz swój w kształtne związawszy pierścienie,
Niech z lutnią do nas przybywa!



DO DELLIUSZA.

Aequam memento rebus in arduis

Servare mentem.

Lib. II. car. 2.

Czy cię mój Delli los pokarał srogo,
Dobrej bądź myśli; czylić nazbyt błogo,
Miarkuj wesele, a dumy daleki,
Pomnij! że chłodnym snem zaśniesz na wieki.

Bądź twoje lica ciągłym wilżysz płaczem,
Bądź łąk kwiciste zaległszy obszary,
Dni święte darząc bachowym haraczem,
Próżnisz Falernem perłace się czary.

Gdzie s czarną jodłą srebrnej liść topoli,
Lubi gościnne społecznic ochłody;

Gdzie strumień, swoim krzywym brzegóm gwoli,
Zwolna szeleszcząc czyste sączy wody.

Tam sporą wina każ podać szklanicę,
I kwiat co krótko swą się krasą szczyci;
A nie skąp woni, póki trzy siostrzyce
Czarnęj ci życia nie wysnują nici.

Ustapisz Delli tej wsi i dąbrowy,
I ziemi, którą płócze Tyber płowy:
A hojnym złotem okupione domy,
Po tobie dziedzic zadzierży łakomy.

Bądź krew swą czerpasz w starym królów rodzie,
Czysz żebrak zbratan s podłęjszemi gminy;
Musisz, chwilowy gość ziemskiej niziny,
W twardego Orka zamieszkać gospodzie.

Każdy z nas prędzej, lub później tam stanie!
A skoro z urny zgubny los wyleci,
Już wszystkich, jako jednej matki dzieci,
Śmierć nas na wieczne zapędzi wygnanie.



DO KALIOPE.

Descende caelo...

Lib. III. car. 4.

Królowo! z górnych niebios znieś twą boską stopę,
A zagraj nam na fletni piękna Kaliope!
Bądź pragniesz z miękkiej lutni wylać dźwięk pieszczony.
Bądź w bardon Teba zagrasz uroczyste tony.

Słyszysz! czy pijanemi mózg mój gore szaly?
Śpiew zabrzmiął; — już Elizu święte zwiedzam gaje;
Rędy i aury świeże, i wodne kryształy,
Ciagle łąk ukwieconych odświeżają maje.

Mnie jeszcze dzieckiem, pośród Wulturny zacisza
Gdy ma pierś zmordowana cichy sen wydysza,
Srebrnymi skrzydły głosząc zamknięte źrenice,
Gałąskami przykryły twoje gołębice.

Zdumiała się d iez gruba patrząc na te dziwy,
Co po górach jak gniazda lesne wiąże budy:
I po gajach bantyińskich koczujące ludy,
I co żyżne Forentu uprawiają niwy.

Jak dziecko, próżen szwanku przy bogów pomocy,
Spalem lauru i mirtu osłonięty cieniem:

Że mię ani wąż szkodnym opasał pierścieniem,
Ni mię ze snu wypłoszył niedźwiedz błakacz nocy.

Wasz to ja muzy! wasz to kochanek jedyny,
Zwiedziłem chłodny Pernest, górzyste Sabiny;
Czy niższego Tyburu pochodziste gaje,
Czyli się mi pomorskie podobały Baję.

Muzy! do których chorów wliczać się mi godzi.
Ani mię sławne rzezią filipijskie pola,
Nie starły z drzewem; nawet w sykulskiej powodzi,
Nie spotkała mię smutna Palinura dola.

Obyście były ze mną! wiercie mi, ohotnie
Przez rozburzony Bospor popłynę bez trwogi;
Piaszczyste Assyrii zwidziłbym samotnie,
Gdzie dręczą podróżnika słońcowe pożogi.

Pójdę między Brytanów niegościnne rody,
Kędy mieszka Kantaber końskiej krwi łakomy;
Gdzie sajdacznych Gelonów koczujące domy,
A śmiało s scytyjskiego Domu czerpnę wody.

I sam Cezar waszemi przychęcony dary,
Gdy złożywszy na chwilę żelazne ciężary,
Na słodki wczas zapędzi uznójone roty,
Trud marsowy pokrzepia wśród Pijerskiej groty.

Wy mu rady wlewacie mądrością natchnione,
Że i same ohotnie przyjmujecie one.
Wszak wiemy, jako starszy niepobożne tłumy,
Jowisz ogniem przykrócił Tytanowej dumy.

Bo on ziemie i morze gdy się wzbył rozdyma,
W granicach zakreszonych statkujące trzyma:
Przed nim drzy Tartar; ludzie i bogi zarazem,
Pod jego wszechmocności hołdują roszkazem.

Zaprawdę, wielkie niebo obiegły postrachy,
Gdy młodzież buntownicza społeczném ramieniem
Grzbiet Pelionu moszcząc górami, kamieniem,
Zuchwale się wdzierać w olimpijskie dachy.

Co może krzepki Mima, co Tyfeusz śmiały;
Co Porfirion zdziałał groźniejszy postacią?
Co Retus, co Encelad śmielszy między bracią
Rosłe drzewa a wielkie ciskający skały?

Patrzcie, patrzcie! już zabrzmiał dźwięk Minerwy tarczy,
Już z liparskiej kuźnicy Wulkan grotów starczy;
I dorodny Apollo ciągle łukiem zbrojny,
Miejąc strzały olbrzymiej niesie koniec wojny.

Apollo! co licejskiej panujesz krainie,
I co w Delos ojczystej przesiadasz dziedzinie,

Pięknyś! gdy pływający włos twe barki skryje,
Co go żródół kastalskich czysty kryształ myje.

Moc próżna rady własnym ciężarem niszczy,
Jedno władza rozumna z złych następów sztydzi,
Lecz kto na zbrodnię waży, niebo się nim brzydzi,
Ani się jego skutkiem uwieczną nadzieje.

Świadkiem czego i Cyges stóręki, i śmiało
Ow Orion brojący, o którym wieść niesie,
Gdy przezczystą Dianę chciał zaskoczyć w lesie,
Legł z jej dłoni, dziewiczą ugodzony strzałą.

Skarży ziemia, że potwór ten wydając s siebie,
Ciężarem swoich garbów własne plody grzebie.
Próżno wparci piorunem w podziemne pieczary,
Przez garła Etny ciągle oddychają żary.

Próżno się skarży Tyfój, że się nazbyt męczy,
Strażnik jego bezwstydy, sęp go ciągle dręczy:
I Pirytoj przykuty gdzieś do Orka ściany,
Jęczy, nierozłamane dźwigając kajdany.

DO DIANY I APOLINA.

Dianam tenerae dicite virgines.

Lib. I. car. 21.

Dianę dziewczki zaspiewajcie młode,
Ty różna młodzi zagraj hymn uczony!
A zanóć piękną Apolla urodę,
I Jowiszowi milęj cześć Latony.

Wy drzew cieniste lubiące warkocze,
Które w swych nurtach modra fala płócze;
I Algid chłodny, albo Kraj zielony,
Lub w gaj porosłe Erymantu strony.

A wy rozgłoście pieniem niezrównanem,
Kraj ten gdzie leży tesalska dolina;
I niezłomnego barki Apolina,
Strojne braterską lutnią a kołczanem.

Niech on waszemi ubłagany proźhy
Gdy dziś nam Cezar panuje żądany,
Wojny, i śmierci wędrującej groźby,
Przepędzi między Party a Brytany.

DO XANTIA FOCEJCZYKA.

Ne sit ancillae tibi amor pudori

Lib. II. car. 4.

Przecz Focejczyku wstydem płonisz lica,
 Żeć w więzach piękna trzyma służebnica?
 Wszak śnieżnej twarzy i Bryzeis miła,
 Niegdyś twardego Achilla zmiękczyła.

Sam groźny Ajax własnej niewolnicy,
 Miłośne w sercu karmił niepokoje:
 Pali się Atryd silną burząc Troję,
 Na sam rzut oka porwaną dziewczycę.

Gdy Tesaleczyka broni rozgłos samy,
 Rospędził chmury barbarzyńskiej dzicy:
 Gdy śmierć Hektora warowne Pergamy
 Złamanym Greków oddała w zdobyczy.

A kto wie? może ci piękna Filida,
 Jasnemi rody nowych blasków przyda?
 Może królewskie oplakując progi,
 I krew swą skarży, i niesłuszne bogi!

Nie myśl, że w niskim urodzona gminie.
 Wierz mi, ślachetna krów w jej żyłach płynie!

O! ta co wiernie s tobą dzieli łożę,
 Z bezwstydną matki rodzić się nie może.

A że ci krągłość toczystą ramienia,
 I twarz jej chwale, niemiej podejrzania!
 Ja niewiem, czy już jakiej wdzięk urody
 Czterdziestoletnie mogłby rozgrzać lody?



DO APOLINA, WO

Quid dedicatum poscit Apolinem.

Lib. I. car. 31.

O cóż cię Apolinie wieszcz twój prosić może,
 Lejąc ci młode wino z ofiarniczją czarą?
 Nie myślę ja Sardyńskie zadzierzcć obszary,
 Gdzie czarne role suto wyzłocilo zboże.
 Fraszka! czy mi indyjską rzezbą błyszczy sala,
 Czy mą łakę spasają kalabryjskie stada:
 Ni cię błagam o wioskę możnego sąsiada,
 Którą Lirys mileżącą srebrna liże fala.
 Niech ten komu los wielkie podarował sady,
 Swém żelazcem kalejskie strzyże winogrady;
 Niech i handlarz w syryjskie zasobny przepychy,
 Kupnego wina złote wypija kielichy.

Snać miły bogóm! — jemu bezkarnie się godzi,
 Potrzykroć po Atłańskiej żeglować powodzi.
 Mnie oliwka wyżywia i ślaz ogrodowy,
 O zdarz mi Febie! abym spokojny i zdrowy,
 Nim mię starość zapędzi do grobowej cieśni,
 Wolny trosk, na mej lutni słodkie nócił pieśni.



OWOC NIE DOJRZAŁY.

Patrz! jak twa ciółka dumna dziecinną swobodą,
 Ani myśli do pluga pierś przyuczać młodą:
 Ni ścierpi, gdy ją goniąc śród południej skwary,
 Pan stada nań miłośne zarzuci ciężary.

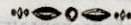
Częściej ona na smugach kwiecistych przesiada,
 To w czystych zdrojach chłodzić letnie znoje rada;
 To ze śwemi równianki depce zdrojów brzegi,
 To znów wiatry podrażnia swawolnemi biegi.

Więc zawściągnij chęć próżną, ani za pogody
 Łakomą dłonią młodój nie zrywaj jagody!
 Za czasem jesień biegu swojego dokona,
 I purpurą zielone zafarbuje grona.

Wierz mi, lotem sokolim czas nam rączy bieży,
 On i dumę dojrzałszej piękności łagodzi:
 A ta co dziś tak dumnie najgrawa się z młodzi,
 Sama potem za tobą Lalage pobieży.

Lalage! któraż z dziewcząt sprosta jej w urodzie?
 Gdy krągłą, białą piersią błysnie memu oku,
 Lśni się jak czysty księżyc o wieczornym zmroku,
 Srebrne blaski po morskiej gdy rozleje wodzie.

Tej sam Gyges ustąpi, gdy z wieniec na czole
 Strefiwszy włos swój stanie w liczném dziewcząt kole,
 I wzrok częsty posyła za chłopców drużyną;
 Że kto z obcych nań spojrzeł, wierzył go dziewczyną.



NAUKA MORALNA.

Odi profanum vulgus et arceo.

Lib. III. car. I.

Precz niepobożna czerni! precz swe odwróć czoła,
 Słuchajcie mię dziewczęta a młodzi wesola!
 Muz kapłan pieśń wam zagrzmi lirycznego ducha,
 Pieśń do dzisiaj waszego nieznajomą ucha.

I wami groźnie ziemi królujące Pany,
 Jowisz włada, co starlszy olbrzymów napady,
 Po ich karkach zwycięskie przepędził rydwany,
 Co świat skinieniem oka wstrząsa s swęj posady,

Ten winnej latorośli urodziwym gajem,
 Rozległjsze od drugich zasadza ogrody;
 Ten krew swoję uszlachcił wielmożnemi rody,
 Ów sławą i przystojnym slynie obyczajem.

Ten znów w tłumne służalców zamożniejszy dwory,
 W polu Marsa wysokie ubiega honory:
 Lecz śmierć pany i slugi równie ima snadnie.
 Biada, komu z jej urny zgubny los wypadnie.

Gdy nad głową tyrana miecz zawiśnie goły,
 Ni sykulskim przepychem zaprawione stoły,
 Ani pieśni słowicze, ani śpiew dziewicy,
 Ni dźwięk lutni snu pańskiej nie zwabia żrenicy.

Częściej on gościć lubi wśród wieśniaczej chaty,
 Nicraz z miasta pod niskie rad uchodzi strzechy;
 Gdzie zefir pijąc róży wiosenne oddechy,
 Chłodzącem skrzydłem muska piękne dolin kwiaty.

Szczęśliwy! komu złotą mierność nieba dały,
 Ani tobie pogrozą rozdąsane wały;
 Ni mroźnym tchnące wiatrem północne Arktury,
 Gdy do nieba szturmują wodnistymi góry.

Równość! czy na twe pola zgubne idą grady,
 Czy wicher z letniej szaty obnaży ci sady:
 Ni cię troszczy słonecznym uszkodzona skwarem
 Latorośl winogrodu przygięta ciężarem.

Patrzcie! jak bogacz ziemskie zbrzydziwszy dziedziny
 Najemną dłonią morskie ulądził kryształy!
 Tak, że już kunsztownemi opasane wały,
 Na swe państwa ściśnione wodne skarżą gminy.

Daremnie trosk skrzydlatej unikasz pogoni!
 Bądź rumaka doświadczysz, bądź wędrujesz w łodzi,
 Choćbyś sam wśród bałtyckiej zamieszkał powodzi,
 I tam ciebie lecąca zgrzyzota dogoni!

Więc jeśli strop s frygijskich wycięty kamieni,
 I s Falernem zmieszane achemcńskie wonie,
 I szata od sydońskiej błyszcząca czerwieni,
 Trosk i cierpień w frasowném nie uszczupli łonie;

Przez mam złotą ozdobą drogie strojąc dachy,
 Pełne trosk niepokojów zakupować gmachy?
 Bóg was żegnaj bogactwa! — wolę w mej Sabinie
 Snem słodkim na cienistej zasypiać dolinie;



DO PLANKA.

Laudabunt alii claram Rhodon.

Lib. I. car. 7.

Ci chwałą Rod budowny, ci Epiru góry,
 Ci Efez, ci Koryntu pomorskiego mury;
 Ci tessalskie doliny przybyłców gościnne,
 Teby Bachem a Delfy Apolinem słynne.
 Ten lubi skroń oliwnym osłoniwszy cieniem,
 Czcic dziewiczą Palladę uroczystém pieniem.
 Ten Miceny, ten pałac kadzidla Junonie,
 Sławi Argos karmiącą wiatronogie konie.
 Co do mnie? nad cierpliwych Spartanów zagony;
 Nad Larysę w rolnicze nieubogą plony;
 Wołę cię wód Albunu wędrowny kryształę,
 Was Anium sąsiednie tyburskie fale;
 Kędy latorośl waszą wilgocią pojona,
 Dojrzałą krasą winne umaluje grona.
 Więc jak nieraz wśród deszczów złoty uśmiech Feba,
 Chmurami zasępienie wypogodzi nieba,
 Tak ty Planku, złożywszy s siebie trosk ciężary,
 Bądź los w lśniące Gradywa zapędzi szeregi,
 Bądź zalegniesz Tyburu cienistego brzegi,
 Pomnij swe znoje chłodzić winnemi nektary!
 Wszak i Teucer z rodzinnej wygnany ojczyzny,
 Gojąc winnym balsamem świeże serca blizny,
 Skroń w topol wystrojszy, wśród chłodnej dąbrowy,

Zalanych łzami druhów temi cieszył słowy:
 «Darmo bracia toniecie w ciągłej lez powodzi,
 Lepszy los nieużytość ojca wynagrodzi!
 Pod Teukra wodzą słuszna jest umknąć rospaczy,
 Błogą nam przyszłość wyrok Apolla tłumaczy;
 Może drugie zbudujem sałamińskie grody.
 O druhy! męźnie znośmy wojenne przygody.
 Teraz winem rospędźmy i troski i żale,
 A jutro znów przez morskie powędrujem fale.»

o o o o o o o o

NA ZEPSUCIE WIEKU.

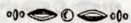
Jam pauca aratro.

Lib. II. car. 15.

Już do tyła w beżmiernych gmachach Rzym się kocha,
 Ze i gruntu wieśniacza już nie znajdzie socha!
 Cała ziemia lukryńskiem zapłynie jeziorem,
 Wiąż miłośny przed wdowim ustąpi jaworem.
 Już bogacz na swych ojców niedbały intraty,
 W same mirty a jolki żyźne stroi błonie;
 Gdzie wprzód strzelał krzew złotą oliwką bogaty,
 Dziś tam róża w powietrzu swe rozlewa wonie.
 Dzis tam chłodnik z laurowej związany zieleni,
 Letni upał słońcowych przystudza promieni.
 Nie takie stary Kato dawał nam przykłady,
 Ni Romul, ani życiem skromniejsze pradziady.

Każdy syty miernością, chętnie swe dochody,
Słał Rzeczypospolitej, — ani dla ochłody,
Latem z głazu wycięty słup dziesięcio-stopy,
Krużganków pańskich dźwigał porfirowe stropy.

Lecz skromne polubiwszy wioski swój mieszkanie,
Rad każdy na darniowym spoczywał dywanie:
A jak prawa kazały, miast społeczne mury,
I świątynie w kosztowne ubierał marmury.



EPILOG.

Dźwignąłam pomnik trwalszy nad miedziane blachy,
Nad królewskich mauzolów urodziwe gmachy!
Jemu ni żrące deszcze s chłostającym gradem,
Ni pogoń czasu, smutnym pogrozą upadem,
Wicki przetrwam! — A póki w pobożnym obrzędzie
W Kapitol kapłan nieme dziewcze wodzić będzie,
Póty zacniejszą siebie nie umrę połową!
Zgrzybiała sława znów się odmłodzi na nowo.
Wkrótce bystre posłyszają Aufidu wody,
I gdzie Daunus rolnicze owładał narody,
Żem pierwszy, a co wszyscy zatwierdzą bez klótni,
Pieśń cołską przyswoił do italskiej lutni!
Więc dumna swoim wieszczem, jego dumna weną,
Więćz mię laurem delfickim chętna Melpomeno!

UŁAMEK S POETYKI WIDY (*)

O HARMONII NAŚLADOWCZĘJ.

(S Xięgi III. od wiersza 355.)

Sam tu młodzianie! oto niezmierzony okiem
Pójrzyj! swe tajnie tobie Helikon roskrywa.
O gdybyś niezemdlonym tam dobieżał krokiem,
Kędy cię muza, kędy piękny Febus wzywał
Bo Bóstwa od początku, jeszcze w młodym świecie

(*) Marek Hieronim Wida, trzymający zaletne miejsce między Poetami włoskiemi, urodził się w Kremonie r. 1470. — Poeta ten w wierszowaniu łacińskiem najwięcej przybliżył się do pisarzy czasów Augusta. — Pisał on Poema Chrystyanida w VI pieśniach, szachy które wzorowie naśladował nasz Jan Kochanowski, Sielanki i wiele innych rytymów. Sądem znawców literatury za najcelniejszy płód tego Poety uznana jest Poetyka we trzech pieśniach, s której wyjątek ten umieszczamy — Wida w tej Poetyce jak i w wielu poezijach nie spuszcza z oka swojego mistrza Wirgiliusza, niekiedy nawet dosłownie wyjęte wyrażenia stosuje do obranego przedmiotu, tak naprzykład — «tum longe sale saxa sonant refracta remurmurat unda» i tym podobne,

Dozwolily się z niebem pobratać pocię.
 Sam rodzić Bogów nie chciał, by sztuka tak cudna
 Dostępna gminu była, zbrodniom mało trudna.
 Więc tępszych zmysłów ciżbie tam się wniść nie godzi,
 Wybrańsza tylko liczba w jej przybytek wchodzi!

Mnogie uczonych wieszczów cisną prac ciężary,
 Nie dosyć im zamykać wiersz w przyjęte miary;
 Trzeba rzeczy słów mocą obiaśniać treściwą:
 Nadać zgodną harmonję, myśl przywiązać żywą:
 Śpiewane głosem trafnie malować przedmioty,
 Przy tém różny kształt wiersza w łatwe nagiąć zwroty.
 Zaprawdę, różny wierszom dawać kształt należy,
 W różnej się wykazywać powinien odzieży;
 By nie raził słów jednych brzmieniem niewolniczym,
 Niech z rozmaitem na świat zawita obliczem.

Ten szybki nóg ręczością i skrzydły bystręmi,
 Lekką po potoczystej stopą płynie ziemi.
 Ow zaś ciężki brzemieniem cielska ogromnego,
 Schylony, ledwo kroku sunie leniwego.
 Patrz! młodzian piękny licem, jak cudny tok ciała!
 Którego Wenus kształty boskim tchem oblała.
 Ten znów straszny postacią, włosami odziany,
 Brew przyrosła k-żrenicy, ogón załamany.
 Twarzą oku niewdzięczny, głosem uchu twardy!
 Lecz nie myśl, by ta dziwność godną była wzgardy.
 Kształt i odzież właściwą niech noszą obrazy,

Co wydać różnym dźwiękiem powinny wyrazy.
 Patrzaj gdy ciżba majtków morzu nawę ciska,
 Jak śpioniony wał wody kryształem połyska.
 Wzburzona pod swym fala ciężarem osiadła,
 I krzywa łódź wilgotne zaryła zwierciadła.
 Huczą opoki, Neptun szklanne góry leje,
 Wstrząśniona wichrem topiel dąsa się szaleje;
 Z łoskotem grmiący balwan na skały się zwała,
 A złamana mu s szumem odegrzmiała fala.
 Niedługo Sycylja w swęj zadrzy posadzie,
 Olbrzymie góry wbiegą na góry w nieładzie.
 Lecz gdy modry Nereusz siedząc morskiem na dnie,
 Spójrzy, wnet gniewne burze głuchym snem pokładnie,
 I łódź po uciszonej zwolna plynie wodzie.
 Ileż podobnych dziwów pośledzisz w przyrodzie!
 Tak gdy Wulkan na pola wysła pożary.
 Las zboża trawi ogień, s trzaskiem lecą żary:
 Podobnie wrząca s-kotła w górę bije woda,
 Gdy główniom dopalonym łom się chróstu doda.

Ani lekko chropawe można nócić głazy.
 Jeśli nam nieposępane malujesz obrazy,
 Niech s pogodą na czole wiersze biegają żywe,
 Niech wesołym brzmia dźwiękiem słowa nieleniwe;
 Czy młode s przyjściem wiosny śmieją się zielenie,
 Czy Wszchemocny Olympu rozjaśni sklepienie.
 Lecz niech smutny wiersz chmurę na swe wciąga lice,
 Wtenczas, gdy ptak złowrogi śród nocnej ciemnice,

Siedząc na pustém zgłiszczu, przez tumany mgliste
Sze głos grobowy, wiosła zwiesiwszy pierzyszc.

Rzecz mała i średniością słów się zaspokoi,
Olbrzymóm dziwność służy, nadludzkość przystoi;
Twarz ogromna, pierś wzdęta silna ciał budowa,
Krępkie członki, zarazem tęga żył osnowa,
Stąd jeśli coś wielkiego twoja myśl wybierze,
Pracuj, i słowa stobą niech pracują szczerze,
Czy kiedy rolnik w znoju co mu siły staje,
Dwójzębcem pluga twarde bryły ziemi kraje:
Czy żeglarz trudem złany skoro błysnie zorze,
Urodziwy okrętu maszt zwraca na morze,
Lecz w zdarzonej przygodzie śpieszyć się wypada!
Bo gdy nadybiesz żmiję co ci szkodzić rada,
Co żywo mieć się broni; — precz zwłoka precz trwoga,
Nieś ogień, ciskaj gromy, pędź na lasy wroga!
Jak chyżo noc w ocean niezmierzony splywa,
Lub jak ciężko zalega ziemię wół rzezany:
Tak i wiersz leci szybko, nie go nie wstrzymywa.
Chceszli cichość malować? — spoczynek im dany.
Więc pracuj, by śród wiersza w swym wstrzymany biegu,
Spoczął, jak pociszona w morskim fala brzegu.
A gdy cichość nocnego masz opiewać mroku,
Staraj się, byś zawściągnął śród zaczęcia kroku.
Cóż gdy starzec, którego bliska wieczność goni,
S chłodném sercem niesilny grot wypuszcza z dłoni?
Niech z nim i wiersz podeszły nie igra jak młody,

Bo krew skrzepla niezdolna stare rozgrzać lody;
Słuszna jest, męskiej broni imać się, młodzieży!
Wymiatać na wiatr domy, wdrzeć się na wierzch wieży
Piersią o pierś uderzać, a wrogów gromady
Gnać mieczem, kędy cienie Kocyt pławią błady.

Ten się mądrym mnie wieszczem bez chluby rozumie,
Kto się zniżać, a w wielkich rzeczach wznieść się umie.
Patrzaj! jak ten słów skąpy cichą stopą kroczy,
Przecież i myśl owładnie i zmysły uroczy.
Ten znowu hojny w słowa, po szerokiej drodze
Leci w szranki swawolne popuściwszy wodze.
A gdy błogi dostatek do malowni bierze,
Słów morze po kreślonym rozlewa papierze,
Podobny śniegu, którym wielki Pan przyrody,
Odziewa chłodnych Karpat olbrzymie urody.

Lecz niekiedy rączego wierszóm zwolnij kroku!
By szły jak ciche wody w kryształowym stoku;
By nie górnie nie nisko pośrednio bieżały,
A tą się drogą wzbijesz do przybytku chwały.



ODA PINDARA.

DO AZOPICHA (*) Z ORCHOMENY.



Καφίτιον δάτων λαχόσων.
Olym. XIV.

Charyty, Orchomenu (**) królujące ziemi,
I co władacie stare Miniaków rody;
Sławione hymny śpiewniami!
Wy, którym z losu wypadło
Odzierać bogate siadło,
Zrzódeł cefizyjskiej wody,
Farmiące mnóstwa wiatronogich koni.
Słuchajcie mię! i wasze chluby lutnia dzwoni!
Bo od was wszelka słodycz śmiertelnym wypływa!
I wieszcz śpiewem słynny,
I dziewczka urodziwa,

(*) Azopich syn Kleodama młodzieniec z Orchomeny odniósł wieniec na igrzyskach Olimpijskich, Olimpiady (LXXVI). S tej okoliczności Poeta składając hold Charytom jako bóstwom opiekuńczym Orchomeny tę odę napisał.

(**) Orchomenos miasto Beocji leżące nad rzeką Cefizem.

I mąż dobroczynny,
Waszemi uszlachcon dary.
Wy pouczacie i same niebiany,
Jak zgodnie s chorem rażne wiązać tany,
Z biesiadniczej pijać czary.

Bo mające trony swoje
Przy pityjskim w łuk złoty strojnym Apolinie,
Charyty leją słodkie uciech zdroje,
Wszystkich roskoszy w Olympie sprawczynic!
Przez nie i wieczna chwała Kroniona słynie.

Aglajo, Eufrozyno! możne Zeusa córy,
Ty Talijo lubiąca śpiewające chóry!
Znijdźcie moim prozhom gwoli,
Rędy uroczysta pompa,
Dla złotój powodzeń doli,
Lekką w tańcu nogą stapa.
Wy pokrząpcie lot mój śmiały!
Niech lidyjskiej lutni stróny,
Lejąc s siebie dźwięk pieszczony,
Azopicha zabrzmia chwały.
Wszak przez was w olimpijskim zwycięzca przegonic,
Miniak w laur wystroił tryumfalne skronie.

A więc Echo (*) bystrém piórem,
Zleć do domu Prozerpiny,

(*) Echo zwykle Pindar zwywa zamiast wiesci.

Grodzonego czarnym murem,
 Głośne ojcu wieszcząc czyny!
 Niech i Kleodam wspomina,
 Walecznego męstwo syna:
 Że mu na pizańskiej błoni,
 Gdzie się łamie mężów siła,
 Sława włos młodzieńczej skroni
 Chlubnym pierzem uwieńczyła.



250882